

Korak syn Tarzana

Burroughs Edgar Rice

Książka IV z Tarzan



calibre 0.9.43

PRZYGODY TARZANA

CZŁOWIEKA LEŚNEGO

TŁUMACZYŁA J. COLONNA-WALEWSKA

CZEŚĆ IV: KORAK SYN TARZANA

ROZDZIAŁ I

W KTÓRYM ODNAJDUJEMY STARYCH

ZNAJOMYCH

Wielka łódź ratunkowa, należąca do parowca "Mariorie W", płynęła z prądem po szerokiej rzece Ugambi. Załoga rozkoszowała się leniwie chwilowym wypoczynkiem po ciężkim wysiłku wiosłowania przeciw prądowi. O trzy mile stamtąd, w dole rzeki, stał sam parowiec "Mariorie W" gotów do podróży, oczekujący tylko na powrót załogi i na przyczepienie łodzi. Wreszcie uwaga ludzi w czólnie wyteżyła się w jednym kierunku; jedni przerwali pogawędkę, drudzy otrząsnęli się z zamyślenia, wszyscy zaś spoglądali w stronę północnego wybrzeża rzeki. Tam, wydając rozpaczliwe okrzyki piskliwym głosem, z wyciągniętymi, wychudłymi ramionami, stała dziwna zjawka ludzka.

- A to co za lichy!?! - zawołał jeden z załogi.

- Biały człowiek! - mruknął podszyper - dalej, do wiosel chłopcy! - krzyknął. - Podpłyniemy ku niemu i dowiem się czego żąda.

Skoro zbliżyli się do brzegu, ujrzeli wynędzniałe stworzenie z rzadkimi, białymi kędziorami, skołtunionymi i spletanymi na lysej czaszce. Zgarbione, chude ciało było nagie, za wyjątkiem szmaty na biodrach. Człowiek ów wybelkotał coś do nich w obcej gwarze.

- Po rosyjsku gada - zauważył podszyper. - Czy rozumiesz po angielsku? - zawołał do nieznanego.

Potrafił zrozumieć i w tymże języku, krztusząc z wolna z przestankami wyrazy, jak gdyby już dawno nie miał tej mowy w użyciu, jął ich prosić, aby go zabrali z tej okropnej krainy. Skoro już znalazł się na pokładzie "Mariorie W", cudzoziemiec opowiedział swoim wybawcom smutne dzieje swej nędzy, swych przygód i męczarni, obejmujące przeszło dziesięć lat swego życia. W jaki sposób dostał się do Afryki, nie wspomniał im wcale pozostawiając ich w mniemaniu, że straszliwe jego przeżycia wyniszczyły go tak duchowo jak i fizycznie, zacierając w nim pamięć o wszystkim, co się z nim działo przed jego tutaj przybyciem. Nie wyjawiał im nawet swego prawdziwego nazwiska. Przedstawił im się jako Michał Sabrow, co prawda trudno byłoby odnaleźć coś wspólnego między tą ruiną ludzka, a postacią Aleksego Paulwiera, awanturnika bez czci i wiary, niemniej jednak pełnego energii pomysłowości.

Dziesięć lat już minęło, odkąd Aleksey Paulwier uszedł całemu straszemu niebezpieczeństwu, kiedy to zginął jego przyjaciel chytry i zacięty Rokow, i nieraz już podczas tych dziesięciu lat przeklinał ów los, który przecinając pasmo dni Rokowa, oszczędził mu wszelkich cierpień,

Paulwiera zaś skazał na straszliwe przygody, tułaczkę znacznie gorszą od śmierci, zdającej się go stale unikać.

Paulwier, ujrawszy zwierzęta Tarzana, wraz ze swym dzikim władcą zalegające pokład parowca "Kincaid", zemknął w stronę dżungli i, w przerażeniu przed możliwą pogonią z jego strony, zagłębił się w dziewicze lasy, po to tylko, aby wreszcie wpaść w ręce jednego z dzikich, ludożerczych plemion, któremu dała się odczuć złośliwa i brutalna przemoc Rokowa. Dziwny kaprys wodza tego plemienia oszczędził Paulwierowi śmierci, skazując go w zamian na życie pełne męczarni i nędzy. Przez dziesięć lat był pośmiewiskiem osady dzikich: kobiety i dzieci biły go i ciskały w niego kamieniami, wojownicy smagali go i kluli, zapadał na złośliwe, malaryczne gorączki. Nie umarł jednakże. Czarna ospa nawiedziła go również, zostawiając niezatarte ślady brzydoty na jego obliczu. Ślady te i dokuczliwe obchodzenie się z nim szczepu dzikich, zmieniły go tak, że nawet rodzona matka nie byłaby w stanie rozpoznać ani jednego rysu w tej ohydnej masce, która dawniej była twarzą przystojnego mężczyzny.

Rzadkie, splątane, siwożółtawe kędziory, zastępowały bujną, niegdyś kruczą czuprynę. Członki jego były powykręcane, chodził niepewnym, trwożliwym krokiem, z pochylonym korpusem. Zębów nie posiadał, wybili mu je

okrutni władcy. Nawet jego umysł był tylko smutną

parodią dawnych zalet i zdolności.

Zabrano go tedy na pokład "Mariorie W", karmili go tam

i pielęgowali starannie. Odzyskał nieco sił, ale wygląd

jego nie zmienił się na lepsze - znaleźli go, jako wyrzutka

rozbitego i umęczonego, takim wyrzutkiem miał pozostać

aż do śmierci. Chociaż zaledwie dobiegał do czterdziestki.

Aleksy Paulwier mógłby z łatwością uchodzić za

osiemdziesięcioletniego starca.

Niezbadane wyroki natury nałożyły na współnika zbrodni

znacznie sroższą karę, niż na głównego winowajcę.

W duszy Aleksego Paulwiera nie było innych pragnień,

prócz chęci zemsty, tkwiła tam tylko ślepa nienawiść do

człowieka, którego obaj z Rokowem bezskutecznie starali

się pokonać. Nie chciał pamiętać też Rokowa, jako tego,

który go wplątał w te straszliwe przygody. Nienawidził też

policji tych wszystkich miast, z których musiał uciekać.

Nienawiść względem prawa, względem porządku

społecznego, nienawiść względem wszelkiej rzeczy. Każda

chwila jego istnienia po ocaleniu była przesycona

gorączkową potrzebą zemsty, jego istota duchowa, tak jak

i cała jego zewnętrzna postać była uosobieniem wścieklej

nienawiści. Niewiele miał, a raczej nic nie miał wspólnego z

ludźmi, którzy go ocalili. Był za słaby, aby wziąć się do

pracy, za posępnym, aby stać się pożądanym w

towarzystwie, wkrótce tedy pozostawili go w spokoju z własnymi myślami.

Parowiec "Mariorie W" był zakontraktowany przez syndykat zamożnych fabrykantów, zaopatrzony w laboratorium, w sztab uczonych specjalistów, wysłanych na poszukiwanie pewnej rośliny, która to dotychczas sprowadzana była wielkim nakładem z Południowej Ameryki. Co to była za roślina, tego nikt na pokładzie statku nie wiedział prócz uczonych. Nie zależy wam na tej wiadomości, wystarczy, gdy dowiecie się, że ekspedycja udawała się w stronę pewnej wyspy, leżącej na wybrzeżu Afryki, w chwili, gdy Aleksy Paulwier został przyjęty na pokład parowca.

Okręt zarzucił kotwicę na wybrzeżu, na przeciąg kilku tygodni. Jednostajność życia na pokładzie zaczęła stawać się uciążliwą dla załogi. Majtkowie często docierali na wyspę, wreszcie i Paulwier poprosił, aby go wzięli ze sobą.

I jemu również sprzykrzył się monotony tryb dnia na okręcie. Wyspa była obficie zadrzewiona. Gęsta dżungla rozciągała się nieomal do samego wybrzeża. Uczni zapuścili się w jej głąb, w poszukiwaniu cennej rośliny, o której słyszeli, że się tu znajduje w wielkiej obfitości.

Marynarze łowili ryby, polowali i zwiedzali okolice.

Paulwier włóczył się wzdłuż wybrzeża lub leżał w cieniu wielkich drzew. Pewnego dnia, gdy ludzie z załogi zebrani byli niedaleko od brzegu, podziwiając olbrzymią panterę, upolowaną przez jednego z myśliwych w głębi wyspy, Paulwier leżał pod drzewem, pogrążony w głębokim śnie. Przebudziło go dotknięcie czyjejś ręki. Zerwał się strwożony i ujrzał obrzymią antropoidalną małpę, samca z gatunku goryli, przypatrującą mu się bacznie. Rosjanin przeraził się nie na żarty. Spojrzał w kierunku marynarzy, którzy znajdowali się w oddaleniu od niego. Małpa dotknęła znowu jego ramienia, skomląc żałośnie. Paulwier nie zauważył groźby w pytającym wzroku, ani w postawie zwierzęcia. Podniósł się z wolna i stanął. Małpa stanęła obok niego.

Nie bardzo pewny siebie, Paulwier jął sunąć ostrożnie w stronę marynarzy. Małpa ruszyła razem z nim, biorąc go pod rękę: Doszli już blisko do gromadki ludzi, zanim zostali spostrzeżeni. Paulwier wówczas przekonał się, że zwierzę nie miało złych intencji. Samiec był widocznie przyzwyczajony do obcowania z istotami ludzkimi.

Rosjanin uświadomił sobie, że małpa przedstawiała znaczną wartość pieniężną i zanim doszli do marynarzy postanowił, że to musi wykorzystać. Gdy marynarze spostrzegli dziwacznie dobraną parę, zbliżającą się do

**nich, ogarnęło ich wielkie zdumienie i jęli biec ku nim
spiesznie. Małpa nie okazała najmniejszej trwogi. Każdego
z marynarzy chwytala za ramię, patrząc mu w oczy długo i
poważnie. Po dokonanej inspekcji, małpa wróciła do
Paulwiera, bolesny zawód odbijał się na jej twarzy i
postawie.**

**Marynarze byli uradowani z przybysza. Tłoczyli się
wszyscy do Paulwiera, zarzucając go pytaniami i
przyglądając się jego towarzyszowi. Rosjanin oznajmił im,
że małpa jest jego własnością. Nie był w stanie zdobyć się
na inne słowa i tylko powtarzał ustawicznie: - Małpa jest
moja, małpa jest moja!**

**Jednemu z marynarzy, znudzonemu tym gładzeniem,
przyszedł figiel do głowy. Stanąwszy za małpą uklął ją w
grzbiet szpilką. W mgnieniu oka zwierzę rzuciło się z
błyskawiczną szybkością na swego prześladowcę i w jednej
chwili spokojne, dobrotliwe stworzenie przemieniło się w
demona złości. Na twarzy marynarza, który już szczyrzył
zęby do uśmiechu, uciecha z konceptu ustąpiła miejsca
rozpaczliwej trwodze, objawiającej się bolesnym
skrzywieniem. Starał się uniknąć objęcia kosmatych
ramion, wyciągających się do niego, widząc jednakże, że
ujść im nie zdoła, pochwycił sztylet wiszący mu u pasa.
Jednym szarpnięciem małpa wyrwała broń z ręki majtka,**

zatapiając swoje żółte kły w jego ramię. Pozostali marynarze rzucili się na zwierzę z pałkami i nożami, podczas gdy Paulwier kręcił się rozpaczliwie koło wzburzonej, roznamiętnionej gromady miotającej przekleństwa i groźby. Widział on swoje marzenia o bogactwie, rozpryskujące się pod nożami marynarzy. Małpa jednakże nie okazała się łatwą do pognębienia ofiarą. Oderwawszy się od sprawcy całego zajścia, potrząsnęła swymi olbrzymimi ramionami, uwalniając się w ten sposób od dwóch marynarzy, którzy przywarli jej do pleców.

Kapitan i podszyper, wyladowujący właśnie z parowca, byli z daleka świadkami walki. Wkrótce też Paulwier ujrzał ich, biegnących z wyciągniętymi rewolwerami, za nimi zaś pośpieszali dwaj marynarze. Małpa stała, jak gdyby rozglądając się po spustoszeniu jakie wywołała. Paulwier jednak nie mógł odgadnąć czy oczekiwała ona nowego ataku, czy też namyślała się, którego ze swych wrogów zgładzić najpierw. W każdym razie zdawał on sobie dobrze sprawę z tego, że skoro tylko dwaj oficerowie znajdą się niedaleko zwierzęcia, strzały ich położą szybko kres jego życiu, o ile im w tym zamiarze nie przeszkodzi. Małpa nie uczyniła najmniejszego ruchu zaczepnego w stronę Rosjanina, nie mógł on jednakże ręczyć czy w razie,

gdy się do niej zbliży, nie napadnie na niego. Zawahał się chwilę i znowu marzenia o bogactwie, jakie mógłby osiągnąć za pomocą antropoidalnej małpy, przywożąc ją do Londynu, wzięły górę nad strachem.

Kapitan wołał na niego, rozkazując mu zejść z drogi, chciał bowiem wycelować do małpy; zamiast posłuchać go Poulwier przysunął się do niej i chociaż ręka mu drżała ze wzruszenia, opanował trwogę i chwycił zwierzę za ramię.

- Pójdź tu! - rozkazał i szarpnął zwierzę, chcąc je odciągnąć od marynarzy, z których kilku siedziało na ziemi, kilku zaś pelzało na czworakach, aby umknąć przed gniewem zwycięzcy.

Małpa pozwoliła się odprowadzić na bok, nie objawiając najmniejszej chęci pokrzywdzenia Rosjanina. Kapitan zatrzymał się w odległości paru kroków od dziwacznej pary.

- Usuń się na bok, Sabrow! - rozkazał. - Przepędzę bestię, tam, gdzie nie znajdzie ludzkiego mięsa na swoje zęby.

- To nie była jej wina, kapitanie - wstawiał się Paulwier. - Proszę, nie strzelaj pan. To oni zaczęli pierwsi. Wszak pan widzi, że ona ze mną jest potulna, zresztą to moja własność, najzupełniej moja. Nie dam panu jej zabijać! - dodał, mając znowu na myśli wszystkie rozkosze, których się nie mógł spodziewać, o ile nie skorzystałby z tak

szczęśliwego trafu, jaki dla niego przedstawiało posiadanie małpy.

Kapitan opuścił broń.

- Czyżby to moi ludzie zaczepili ją pierwsi, czy tak? -

powtórzył. - Jak się to wszystko stało? - Tu zwrócił się do marynarzy, którzy przez ten czas podnieśli się z ziemi, bez szwanku, prócz sprawcy awantury, który otrzymał dotkliwą ranę na ramieniu.

- To Simpson narobił wszystkiego - odezwał się jeden z ludzi. - Wpakował małpie szpilkę w grzbiet i ona rzuciła się na niego, co mu się zresztą należało, napadła i na nas, w czym nie ma nic dziwnego, boć przecież napadliśmy wszyscy na nią.

Kapitan spojrział na Simpsona, który ze wstydem przyznał się do winy. Podeszedł do małpy, jak gdyby chciał zbadać sam jej usposobienie, trzymając przy tym ciągle nabity rewolwer w pogotowiu. Przemówił jednakże uspakajająco do zwierzęcia, które kucnęło obok Rosjanina i rozglądało się wkoło. Skoro kapitan zbliżył się, małpa powstała i podeszła ku niemu. Na jej twarzy odmalowało się znowu zaciekawienie, chęć rozpoznania kogoś, jaka się dała już zauważyć przy zbliżeniu się jej do marynarzy. Stała bliźutko oficera i położyła mu jedną łapę na ramieniu, przyglądając mu się badawczo przez długą chwilę. Ten

sam wyraz bolesnego zawodu odmalował się na jej twarzy, wydała przy tym nieomal ludzkie westchnienie, wreszcie zwróciła się na takie same oględziny do podszypra i do dwóch przybyłych z kapitanem majtków. Za każdym razem wzdychała nad doznanym zawodem, wreszcie znowu kucnęła obok Paulwiera nie okazując już zainteresowania względem nikogo z załogi, jakby niepomna niedawnej utarczki.

Następnie wszyscy powrócili na pokład "Mariorie W".

Paulwierowi towarzyszyła małpa obawiająca się rozłączenia z nim. Kapitan nie opierał się temu i wielki antropoid z rodu goryli stał się członkiem załogi parowca.

Gdy znalazł się na pokładzie, zbadał raz jeszcze szczegółowo każdą nową twarz, okazując ten sam zawód, jakiego doznał już przedtem zapoznając się z innymi.

Oficerowie i uczeni, będący na okręcie, często rozprawiali między sobą, nie byli jednak w stanie wytłumaczyć sobie dziwacznych oględzin odbywanych przez małpę po pojawieniu się każdego nieznanego człowieka. Gdyby została znaleziona na kontynencie Afryki albo w jakiejś innej miejscowości można byłoby przypuszczać, że została oswojona przez ludzi, tu jednak na tej odludnej i nieznannej wyspie trudno było coś podobnego podejrzewać. Małpa zdawała się kogoś ciągle szukać. W pierwszych dniach

podróży powrotnej widziano ją często węszącą po różnych częściach parowca; skoro jednak przyjrzała się dobrze wszystkim twarzom i zbadala wszystkie kąty na okręcie, zapadła w najzupełniejszą obojętność na wszystko, co się wokoło niej działo. Nawet Rosjanin nie wzbudzał w niej zainteresowania, ożywiała się tylko, gdy jej przynosił żywność. Nieraz zdawało się, że ledwie go znosi. Nigdy mu nie okazywała przywiązania, zresztą zachowywała się z tą samą obojętnością względem wszystkich innych ludzi na okręcie, ani razu również nie objawiła podobnie dzikich wybuchów jak wówczas, gdy została zaczepiona przez marynarzy.

Najczęściej przesiadywała na pokładzie wpatrzona w widnokrąg, jak gdyby przeczuwając, że okręt udaje się do portu, gdzie znajdą się inne ludzkie twarze do oglądania.

Bądź co bądź Ajax, takie bowiem mu dali imię, był uważany za najmądrzejszą małpę, jaka kiedykolwiek podróżowała na pokładzie "Mariorie W". Nie tylko cechowała ją nadzwyczajna inteligencja, ale też jej postawa i budowa fizyczna były jak na małpę godne podziwu, wzbudzały lawet pewien przestach. Widać było, że była ona w podeszłym wieku, siły jednak fizyczne i spryt dopisywały jej pod każdym względem.

Skoro wreszcie "Mariorie W" przyплыł do Anglii,

oficerowie i uczeni pełni współczucia dla nieszczęsnego

rozbitka, znalezionego wśród dżungli, obdarowali

Paulwiera pewną sumą pieniędzy, życząc szczęścia jemu i

Ajaxowi. W porcie i podczas podróży do Londynu

Rosjanin miał sporo kłopotu z małpą. Każda nowa twarz,

spośród tysiąca pojawiających się ciągle, musiała być przez

nią starannie badana, ku wielkiemu przerażeniu badanych

osobników, w końcu jednak, widocznie po daremnym

dopatrywaniu się tego kogo szukał, wielki Ajax popadł w

smutną obojętność, od czasu do czasu tylko zwracając

uwagę na przesuwającą się przed nim nową osobę.

W Londynie Paulwier udał się natychmiast do znanego

trenera zwierząt. Człowiek ten, zachwycony Ajaxem.

zgodził się wyuczyć go popisowych sztuk za znaczny udział

w zyskach, oraz podjął się utrzymywać przez ten czas tak

właściciela jak i małpę.

Oto jak Ajax dostał się do Londynu i jak zostało ukute

nowe ogniwo w łańcuchu dziwnych okoliczności, które

miały wywrzeć wpływ na losy wielu osób.

ROZDZIAŁ II

KŁOPOTY PANA MOORE

Pan Harold Moore był młodzieńcem o melancholijnym

wyrazie twarzy, rozmiłowanym w nauce. Przejęty sobą,

zapatrywał się poważnie na życie i na swą pracę,

polegającą na kształceniu synka angielskiego arystokraty.

Czuł, że jego uczeń nie robi takich postępów, jakich rodzice mogli się spodziewać i obecnie starał się z całą sumiennością wytłumaczyć swoje skrupuły matce chłopca.

- Nie zbywa mu wcale na zdolnościach - mówił - gdyby tak było, miałbym nadzieję powodzenia, gdyż z całą energią zabrałbym się wówczas do przełamania jego tępoty; cały kłopot tkwi w tym, że jest on wyjątkowo inteligentny, uczy się lekcji tak szybko, że nie mogę znaleźć najmniejszej usterki w ich przygotowaniu. Co mnie jednakże trapi, to jego brak zainteresowania przedmiotami, których go uczę. Odrabia on po prostu każdą lekcję, jak nudny obowiązek, którego się chce pozbyć jak najprędzej i pewien jestem, że myśl o nauce nigdy nie zaświta mu w głowie, dopóki nie nadejdzie czas do odrabiania zadań. Zajmują go jedynie objawy fizycznego męstwa oraz czytanie wszystkiego, co się tyczy dzikich zwierząt lub życia i obyczajów pierwotnych plemion; szczególnie jednak interesują go zwierzęta. Gotów przesiadywać całe godziny nad dziełem jakiegoś afrykańskiego podróżnika i już dwa razy przyłapałem go na czytaniu dzieła Karla Hagenbecka o dzikich szczepach i zwierzętach.

Matka chłopca poruszyła się niespokojnie.

- Stara się pan to zapewne zwalczyć? - zapytała nieśmiało.

Nauczyciel zmieszał się nieco.

- Ja, hm... starałem się odebrać mu książkę, ale, hm... syn

pani ma na swój młody wiek nader wyrobione mięśnie.

- Nie pozwolił odebrać sobie książki? - zagadnęła matka.

- Nie pozwolił - przyznał nauczyciel. - Nie uniósł się zresztą

wcale, twierdził tylko, że jest gorylem, ja zaś szympansem,

skradającym się po jego łup. Chwycił mnie na ręce, uniósł

wysoko ponad swoją głowę, rzucił mnie na swoje łóżko i

wykonawszy pantonimę wyrażającą, że grozi mi śmierć

przez uduszenie, wydał straszliwy okrzyk, który, jak mi to

objął, jest okrzykiem zwycięskim małpy samca.

Wówczas zaniósł mnie do drzwi i wypchnął do

przedpokoju, zamykając drzwi na klucz.

Nastąpiło parę minut milczenia, wreszcie matka chłopca

odezwała się znowu.

- Jest to nieodzowną koniecznością panie Moore - rzekła -

aby pan czynił wszystko to, co leży w pańskiej mocy, by

przewyciężyć w Jacku tę skłonność, on... - nie dokończyła

jednakże. Przeciągle "hoop", dolatujące od strony okna,

zerwało oboje na równe nogi.

Pokój, w którym siedzieli, znajdował się na drugim piętrze

domu, zaś naprzeciw okna rosło wielkie drzewo, sięgające

jedną ze swych gałęzi nieomal do samego gzymsu. Na tej

gałęzi właśnie spostrzegli przedmiot swej rozmowy, dobrze

zbudowanego, słusznego chłopca, kołyszącego się swobodnie jak na huśtawce i wydającego okrzyki radości bez względu na przerażenie, malujące się na twarzach widzów. Matka i nauczyciel rzucili się ku oknu, zanim jednak znaleźli się na środku pokoju, chłopiec skoczył zwinnie na gzyms i znalazł się między nimi.

- Dziki człowiek z Borneo przyjechał dziś do miasta! - wyśpiewywał, wykonując przy tym rodzaj wojennego tańca koło swej przerażonej matki i zgorszonego pedagoga, na zakończenie zaś rzucił się matce na szyję i ucałował ją w oba policzki.

- Ach, mammo! - zawołał. - Taką cudowną, uczoną małpę pokazują teraz w jednym z cyrków. Willie Grinsby widział ją wczoraj. Twierdzi, że umie ona wszystko i tylko brak jej mowy. Jeździ na bicyklu, przy jedzeniu używa noża i widelca, liczy do dziesięciu i wykonuje wiele jeszcze innych nadzwyczajności, czy mogę również pójść ją zobaczyć?

Ach, mateczko, proszę cię, pozwól mi iść!

Matka pogładziła pieszczotliwie syna po twarzy, potrząsając jednakże przecząco głową:

- Nie Jacku - powiedziała - wiesz dobrze, że nie pochwalam takich widowisk.

- Nie rozumiem dlaczego, mammo - odparł chłopiec. -

Wszyscy inni chłopcy chodzą do cyrku, zwiedzają też

ogród zoologiczny, a ty mi i tego bronisz. Mógłby kto

myśleć, że jestem dziewczyną albo jakim niedołągą. Ach,

tatku - zawołał, gdy w drzwiach ukazał się wysoki, o

stalowych oczach mężczyzna. - Ach, tatku czyż ja nie mogę

tam iść?

- Iść? Dokąd mój synu? - zapytał nowo przybyły.

- Chce iść do cyrku, aby tam zobaczyć uczoną małpę -

wyjaśniła matka, rzucając ostrzegawcze spojrzenie na

męża.

- Zobaczyć Ajaxa? - wypytywał dalej ojciec. Chłopiec

skinął twierdząco głową.

- No, nie widzę powodu ganić twej chęci synku - powiedział

ojciec - sam nic bym nie miał przeciw temu, aby go

zobaczyć. Mówią, że jest on bardzo osobliwy i olbrzymiego

wzrostu, jak na antropoidalną małpę. Pójdźmy wszyscy

Janko, co o tym myślisz? - Tu zwrócił się do żony, ta

jednakże potrząsnęła przecząco głową, bardzo

stanowczym ruchem, i zwracając się do pana Moore

spytała go, czy nie pora, aby on i Jack udali się do

szkolnego pokoju dla odbycia porannych lekcji. Gdy syn z

nauczycielem opuścili pokój zwróciła się do męża.

- Janie - rzekła - należy czynić wszystko, co możliwe, aby

zwalczyć w Jacku skłonność do tego, co mogłoby pobudzić

w nim pragnienie dzikiego, awanturniczego życia, które,

lękam się, że odziedziczył po tobie. Wiesz z własnego

doświadczenia, jak silnym bywa pociąg do tego życia.

Wiesz, ile trzeba ci było wysiłków nad sobą samym, aby

przemóc tę nieomal chorobliwą żądzę, ogarniającą cię od

czasu do czasu, nawołującą cię do pogrążenia się w

dżungli, gdzie przepędziłeś tyle lat życia, a zarazem

zdajesz sobie chyba sprawę, co za straszny los czekałby

Jacka, gdyby skłonności jego były w nim rozwijane.

- Wątpię, czy Jackowi grozi niebezpieczeństwo dziedzictwa

tych moich upodobań do życia w dżungli - odparł mąż. -

Nie mogę sobie wyobrazić, aby podobne cechy mogły być

przekazywane z ojca na syna. Czasami jednakże myślę,

Janko, że w twej matczynej trosce o jego przyszłość

przesadzasz nieco. Pociąg malca do zwierząt, chociażby ta

jego chęć zobaczenia uczonej małpy, jest tylko naturalnym

objawem w zdrowym, normalnie rozwiniętym chłopcu w

jego wieku. Dlatego, że chce on zobaczyć Ajaxa, nie

dowodzi to bynajmniej, że pragnąłby bliższych związków z

małpim rodem, a nawet, gdyby tak było, kto jak kto, ale ty

właśnie, Janko, nie miałabyś prawa się tym gorszyć! - tu

Jan Clayton, lord Greystoke, objął żonę, roześmiał się do

niej wesolo i, pochyliwszy się nad nią, pocałował ją czule.

Wreszcie, nieco poważniejszym tonem, ciągnął dalej. -

Nigdy nie opowiadałaś Jackowi o moim dawniejszym

życiu, ani nie pozwoliłaś mi wspomnieć mu o tym.

Uważam, że nie miałaś słuszności. Gdybym mógł opowiedzieć mu o przygodach Tarzana wśród małp, byłbym z pewnością potrafił rozproszyć w jego wyobraźni wiele złudzeń co do uroku życia w dżungli, które to złudzenia tkwią w umyśle tych, co tego życia nigdy nie zaznali. Mógłby wtedy skorzystać z mego doświadczenia; a tak, gdyby go kiedyś żądza przygód pociągnęła do dżungli, nie będzie miał żadnego przewodnika, oprócz własnych popędów, wiem zaś jak takich popędów słuchając można zabrnąć łatwo w niewłaściwym kierunku.

Lady Greystoke jednakże potrząsnęła przecząco głową tak, jak to zwykła czynić była już nieraz, gdy sprawa ta poruszana była między nią a mężem.

- Nie, Janie - powtórzyła znowu - nigdy się nie zgodzę na zaszczepienie w Jacku jakichkolwiek wiadomości o życiu w dżungli, od którego oboje pragniemy go ochronić.

Przedmiot tej rozmowy został podjęty dopiero wieczorem przez samego Jacka. Siedział on w fotelu, pochłonięty czytaniem i nagle, podniósłszy głowę, zwrócił się do ojca.

- Dlaczego - zagadnął, poruszając jądro kwestii - dlaczego nie mogę iść zobaczyć Ajaxa?

- Twoja matka jest temu przeciwna - odparł ojciec.

- A ty, ojczu?

- To nie ma nic do rzeczy - odpowiedział wymijająco lord Greystoke. - Powinno ci wystarczyć, że mama sobie tego nie życzy.

- A ja i tak pójde go zobaczyć - oznajmił chłopiec po chwili namysłu. - Nie różnię się przecież od Willa Grimsby, ani od wszystkich innych chłopców, którzy go widzieli. Nie zaszkodziło im to wcale, więc i mnie tak samo nie zaszkodzi. Mógłbym pójść, nie opowiadając ci się wcale, ale tak postąpić nie chcę, oznajmiam ci więc zawczasu, że pójde zobaczyć Ajaxa.

Nic nie było uchybiającego ani wyzywającego w tonie mowy, ani w zachowaniu się chłopca. Stwierdzał fakt po prostu, bez uniesienia. Ojciec zaledwie mógł powstrzymać się od uśmiechu lub od okazania swego podziwu na ten iście męski sposób wyrażania się syna.

- Podziwiam twoją szczerłość, Jacku - powiedział. - Pozwól mi odplacić ci się równą szczerością. Jeżeli pójdziesz oglądać Ajaxa bez pozwolenia, zostaniesz za to ukarany. Nigdy nie zadałem ci cielesnej kary, ostrzegam cię jednak, że gdybyś przekroczył zakaz matki, kara taka spotka cię niechybnie.

- Rozumiem, ojcze - odparł chłopiec, a po chwili dodał - powiem ci zatem o wszystkim, po zobaczeniu Ajaxa.

Pokój pana Moore'a znajdował się tuż obok sypialni Jacka

i co wieczór nauczyciel zaglądał do chłopca, aby się przekonać, czy śpi spokojnie. Tego właśnie wieczoru nauczyciel postanowił podwoić czujność, pod wpływem rozmowy z rodzicami pupila, podczas której szczególny nacisk został położony na niedopuszczenia malca do cyrku, gdzie odbywały się pokazy Ajaxa. Skoro więc otworzył drzwi około wpół do dziesiątej, doznał niemiłego wrażenia, chociaż nie zdziwił się zbytnio, widząc przyszłego lorda Greystoke'a ubranego do wyjścia i wymykającego się przez otwarte okno na ulicę.

Pan Moore dał szybkiego susa przez pokój, ta energia jednakże okazała się bezcelową, skoro bowiem chłopiec zrozumiał, że zamiar jego został ujawniony, zawrócił, jak gdyby rezygnując z zamiaru.

- Dokąd się to wybieralesz? - zawołał mocno podniecony pan Moore.

- Idę zobaczyć Ajaxa - odparł spokojnie chłopiec.

- Dziwię się bardzo! - krzyknął pan Moore; jednakże chwilę później poczuł się jeszcze bardziej zdziwiony, gdyż chłopiec, zbliższy się do niego, schwycił go nagle wpół, podniósł go i rzucił na łóżko, zagłębiając mu twarz w poduszkę.

- Proszę o spokój - przestrzegł zwycięzca - inaczej zaduszę pana.

Moore usiłował się bronić, ale jego wysiłki były daremne.

Jakiegokolwiek cechy Tarzan mógł przekazać synowi,

obdarzył go w każdym razie nadzwyczajną sprawnością

fizyczną, jaka cechowała go w tych samych chłopięcych

latach. Nauczyciel był tylko manekinem w rękach chłopca.

Kłęcząc na nim, Jack szmatami rozdartego w tym celu

prześcieradła, związał mu ręce z tyłu. Obrócił go na plecy i

wpakował mu w usta knebel z tegoż prześcieradła, który

umocował bandażem, związanym w tyle głowy swej ofiary.

Przez cały ten czas przemawiał do niego z cicha i

rozsądnie.

- Ja jestem Waja ze szczepu Wajów - tłumaczył. - Pan zaś

jest Mohamedem Dubnem, szejkiem arabskim, który

mordował mi ludzi i wykradał moją kość słoniową - tu

zręcznie raz jeszcze związał mocno obie pięści i nogi

Moore'a. - Ach, nędzniku! Mam cię nareszcie w mej mocy.

Idę, lecz powrócę niebawem! - I syn Tarzana przemknął

przez pokój, wyskoczył przez otwarte okno, zsuwając się

wzdłuż rynny na ulicę.

Moore rzucał się bezsilnie na łóżku. Był przekonany, że się

zadusi, o ile pomoc szybko nie nadejdzie. W szale

przerażenia udało mu się wykonać szereg ruchów i spaść z

łóżka. Wstrząśnienie i ból doznany przy spadaniu

oprzytomniły go ze strachu i nieco spokojniej rozpatrywał

się w położeniu. Przyszło mu wreszcie do głowy, że pokój, w którym przebywali lord i lady Greystoke, gdy się z nimi rozstał, znajdował się pod sypialnią Jacka. Uświadomił sobie, że upłynęło już trochę czasu od tej pory i mogli już udać się na spoczynek, zdawało mu się bowiem, że już wieki upłynęły, odkąd leżał na łóżku, starając się daremnie zrzucić swoje więzy. Trzeba było zwrócić uwagę innych, dając znać o swym położeniu tak, aby go usłyszano na dole. Po pewnym zatem wysiłku udało mu się przybrać taką postawę, by móc zastukać nogą w podłogę. Czynił to w małych odstępach i po długiej chwili został wynagrodzony odgłosem czyichś kroków na schodach, wreszcie ktoś zapukał do drzwi. Moore zastukał znowu energicznie butem w podłogę, nie mógł bowiem odpowiedzieć w inny sposób. Pukanie w drzwi powtórzyło się. I ponownie Moore zastukał jak poprzednio. Czyż oni nie domyśla się otworzyć drzwi? Potoczył się z wysiłkiem w stronę progu. Pukanie rozległo się znowu, nieco głośniejsze i nareszcie jakiś głos zawołał: - Panie Jacku!

Był to jeden ze służących, Moore rozpoznał jego głos.

Natężył się, aby krzyknąć "proszę wejść", narażając się nieomal na pęknięcie struny głosowej. Po chwili służący znowu zapukał, tym razem głośniej i znów zawołał imię chłopca. Nie otrzymując odpowiedzi, poruszył klamką i w

tej chwili nauczyciel przypomniał sobie z przerażeniem, że sam przecież wchodząc do ucznia, zamknął drzwi na klucz. Posłyszał jak służący daremnie próbował otworzyć drzwi i odszedł, wówczas Moore popadł w omdlenie.

Przez ten czas Jack doznawał zakazanej przyjemności w cyrku. Dostał się do tej świątyni wesela właśnie w chwili, gdy Ajax zaczynał swój występ. Kupiwszy krzesło w loży, przechylił się za balustradę, śledząc ze wzruszeniem, z szeroko otwartymi oczami, za każdym ruchem wielkiej małpy. Trener zauważył niebawem ładną, rozpaloną ciekawością twarzyczkę chłopca, że zaś jedną z głównych sztuk Ajaxa było wchodzenie do różnych łóż, najwidoczniej w celu odszukania dawno utraconego krewnego, jak tłumaczył trener, ten ostatni uświadomił sobie nadzwyczajne wrażenie, jakie będzie można wywołać, posyłając małpę do loży chłopca, który nie omieszka się przerazić, widząc tak blisko siebie tę potężną i groźną postać.

Skoro więc nadeszła pora, aby Ajax, wywoływany przez publiczność, ukazał się na bis, trener zwrócił uwagę małpy na chłopca, który sam jeden zajmował lożę. Jednym susem wielkie zwierzę z widowni znalazło się w loży, trener jednakże nie wywołał śmiesznej sceny przerażenia, jakiej się spodziewał. Rozradowany uśmiech rozjaśnił oblicze

chłopca, który położył rękę na ramieniu swego olbrzymiego gościa. Małpa, chwyciwszy Jacka za oba ramiona, przypatrywała mu się długo i z przejęciem, podczas gdy ten gładził ją po głowie i coś do niej cicho przemawiał.

Nigdy Ajax nie poświęcił tyle czasu na przyglądanie się nowej twarzy, jak tym razem. Wyglądał jak zmieszany skomląc, mamrocząc coś do chłopca i gładząc go pieścotliwie, tak, jak dotychczas nie gładził nikogo.

Wreszcie usiadł sobie w łoży tuż przy boku Jacka.

Publiczność była rozradowana, radość ogólna wzmogła się jeszcze, gdy trener chciał wyperswadować Ajaxowi, aby wyszedł z łoży. Małpa nie chciała się ruszyć z miejsca.

Dyrektor cyrku, niezadowolony z zajścia, nalegał na pośpiech, lecz gdy trener wszedł do łoży, aby odciągnąć opornego Ajaxa, został przyjęty błyskiem klów i groźnym zaciśnięciem łap.

Widownia szalała z uciechy. Oklaskiwano małpę oraz jej towarzysza, drwiąc przy tym niemilosiernie z trenera i z samego dyrektora, który miał niefortunny pomysł wejścia do łoży, aby pomóc trenerowi w wyprowadzeniu zwierzęcia.

Wreszcie trener, przyprowadzony do ostateczności uświadamiając sobie, że taki upór Ajaxa może

przeszkodzić dalszym jego występom, pobiegł do ubieralni po bicz, gdy jednak zagroził tym narzędziem kary małpie, znalazł się w obliczu dwóch wrogów, chłopiec bowiem zerwał się na nogi i chwytając za krzesło, stanął obok małpy, gotów do obrony nowego przyjaciela. Uśmiech ustąpił z jego ładnej twarzy. Jego stalowe oczy miały błyski, które powstrzymały natarcie trenera. Olbrzymi zwierz, pomrukując groźnie, gotował się do ataku.

Nie wiadomo jak skończyłoby się zajście, gdyby nie przerwano na czas rozprawy, w każdym razie trener nie wyszedłby cało z tej przygody: świadczyła o tym wymownie postawa obu sprzymierzeńców.

Błąd z przerażenia służący wpadł do biblioteki lorda Greystoke'a oznajmiając, że zastał drzwi pokoju Jacka zamknięte na klucz i nie mógł otrzymać innej odpowiedzi na kilkakrotne pukanie i wołanie prócz głuchego stukania i odgłosu, powodowanego najwidoczniej ciężarem wijącego się po podłodze ciała.

Przeskakując po cztery stopnie naraz John Clayton znalazł się na górze. Jego żona wraz ze służącym pośpieszyli za nim. Zawołał syna głośno po imieniu, nie otrzymując żadnej odpowiedzi, wyważył drzwi swoim potężnym korpusem i zaporą z trzaskiem usunęła się, padając na ziemię.

U drzwi leżał zemdlony Moore, na którego przewaliły się one z hałasem. Przez otwór wskoczył do pokoju Tarzan i zapalił elektryczność.

Upłynęło parę minut zanim odnaleźli nauczyciela, drzwi bowiem nakryły go zupełnie; wyciągnięto go wreszcie, wyjęto mu knebel z ust i zerwano więzy, przywołując go do przytomności za pomocą zimnej wody.

- Gdzie jest Jack? - Było to pierwsze pytanie Jana Claytona, a potem - Kto to zrobił? - przyszedł mu bowiem na myśl Rokow i jego sztuczki.

Moore z wysiłkiem podniósł się na nogi. Powędrował spojrzeniem po pokoju. Wreszcie powrócił do siebie, a ostatnie smutne doświadczenie stanęło mu w pamięci.

- Proszę pana o zwolnienie mnie natychmiast z posady - były to jego pierwsze słowa. - Nie trzeba nauczyciela pańskiemu synowi, należałoby go oddać raczej pod opiekę trenera dzikich zwierząt.

- Ale gdzież on jest? - zawołała lady Greystoke.

- Poszedł oglądać Ajaxa - brzmiała odpowiedź.

Z wielkim wysiłkiem Tarzan powstrzymał uśmiech i przekonawszy się, że nauczyciel był więcej przerażony niż pokrzywdzony, udał się w stronę cyrku.

ROZDZIAŁ III

TARZAN ODNAJDUJE SWEGO DRUHA,

A PAULWIER OBMYŚLA ZEMSTĘ

Podczas gdy trener stał z podniesionym biczem, niepewny co począć, na progu łoży naprzeciw dwóch gotowych do obrony zapaśników, wysoki, barczysty mężczyzna odsunął go na bok i stanął między nimi. Chłopiec, spojrzawszy na przybysza, zarumienił się z lekka.

- Ojciec! - zawołał.

Małpa obrzuciła spojrzeniem angielskiego lorda i podskoczyła ku niemu belkocząc coś niewyraźnie, ten zaś stanął skamieniały w swym zdumieniu.

- Akut! - wyrwało mu się nagle.

Chłopiec spoglądał ze zdziwieniem to na ojca, to na małpę, trener zaś rozdziawił szeroko usta z przerażenia, usłyszał bowiem najwyraźniej, jak ów angielski dżentelmen wymawiał gardłowe, urywane dźwięki, na które olbrzymia małpa dawała w taki sam sposób odpowiedź, tuląc się pieszczotliwie do przybysza.

Za kulisami zgarbiony starzec przypatrywał się scenie w łoży, podczas gdy jego rysy zeszpecone ospą odbijały kolejno całą gamę uczuć: od radości do trwogi.

- Długom cię szukał, Tarzanie - rzekła małpa - teraz, gdym cię znalazł, udam się do twojej dżungli i zamieszkam z tobą na zawsze.

Lord Greystoke gładził zwierzę po głowie. W jego pamięci

zamajaczył cały szereg wspomnień unoszących go w nieskończone głębie dziewiczej puszczy afrykańskiej, gdzie owa olbrzymia, o ludzkim wyglądzie małpa walczyła obok niego przed laty. Ujrzał znowu czarnego Mugambi, wywijającego swoją sękatą pałką, zaś koło nich straszną Szitę, z wyszczerzonymi kłami i nastroszonym wąsem, a dalej za Murzynem i za złowrogą czarną panterą, potworne małpy Akuta. Lord Greystoke westchnął głęboko. Tęsknota do dżungli, którą uważał za raz na zawsze wygasłą, odezwała się znów w jego sercu. Ach! Gdyby tak mógł tam powrócić bodaj na miesiąc, poczuć szorstkie dotknięcie gałęzi leśnych na obnażonej skórze, wchłaniać w siebie zapach zgniłych roślin, stanowiący upajającą woń dla rodowitego mieszkańca dżungli, wsluchiwać się w bezhalaśliwe kroki wielkich drapieżników tropiących po ludzkim śladzie, polować na nie i być przez nie ściganym, jak zwierzyzna mierzyć się z nimi, zabijać...

Ponętny był to obraz, wnet jednak w pamięci stanęła mu postać młodej i pięknej żony, grono przyjaciół, ognisko domowe, ukochany syn... Lord Greystoke wzruszył barczystymi ramionami: - Tak być nie może, Akucie, lecz co do ciebie, o ile byś tam chciał powrócić, postaram się ci ułatwić podróż. Ty nie będziesz szczęśliwy tutaj, ja

mógłbym już nie znaleźć szczęścia tani.

Trener przybliżył się, małpa wyszczerzyła kły mrucząc złowrogo.

- Idź z nim. Akucie - rzeki Tarzan - przyjdę cię tu jutro odwiedzić.

Zwierzę niechętnie podeszło do trenera. Ten ostatni, na prośbę Clayton'a objaśnił, gdzie ich można odnaleźć.

Tarzan zwrócił się do syna.

- Chodź ze mną! - rzekł i obydwaj wyszli z cyrku. Wsiedli do samochodu, gdzie chwilę siedzieli w milczeniu, chłopiec przemówił pierwszy.

- Małpa cię poznała, ojciec - powiedział - i rozmawialiście obaj w małpiej gwarze. Co to znaczy, że ona ciebie zna, i w jaki sposób tyś nauczył się jej mowy?

Wówczas po raz pierwszy Tarzan opowiedział, w skróceniu, synowi historię całego swego życia - o swoich narodzinach w dżungli, o śmierci swych rodziców, o Kali, wielkiej małpie samicy, która go wykarmiła i wychowała nieomal do lat dojrzałych. Przedstawił mu również niebezpieczeństwa i okropności dżungli, wspominał o drapieżnych zwierzętach, czyhających dniem i nocą na ofiary, o ulewnych deszczach padających całymi tygodniami, o tropikalnych upałach, o głodzie, nędzy, o niemożności zaspokajania najpierwszych potrzeb.

Opowiedział mu o tym wszystkim, co mogłoby zrazić cywilizowaną istotę, w nadziei, że świadomość tego wykorzeni w chłopcu wszelki, budzący się w nim, pociąg do przygód. A jednak to wszystko właśnie wytwarzało owo pełne dla Tarzana uroku życie w dżungli. W opowiadaniu swoim zapomniał o jednym, o tym mianowicie, że chłopiec, słuchający go teraz z namiętą ciekawością, był jego rodzonym synem, dzieckiem Tarzana, wzrosłego wśród małp.

Skoro chłopiec został ułożony do snu, nie otrzymawszy zapowiedzianej kary, Jan Clayton opowiedział żonie zajścia owego wieczoru dodając, że nareszcie zaznajomił syna z dziejami swego życia w dżungli. Matka, która przewidywała, że z czasem trzeba będzie wyjawić synowi tę tajemnicę dziejów ojca, jako dzikiego zwierzęcia w puszczy, westchnęła głęboko, usiłując wmówić w siebie nadzieję, że urok dżungli, tak silnie jeszcze działający na męża, nie został przekazany w dziedzictwie chłopcu.

Tarzan odwiedził nazajutrz Akuta; nie wziął ze sobą syna, pomimo usilnych błagań malca. Zobaczył tym razem ospowatego właściciela małpy, lecz nie poznał w nim dawnego Paulwiera. Pod wpływem nalegań Akuta, zaproponował staremu sprzedaż małpy. Paulwier jednakże nie chciał wymienić ceny, mówiąc, że musi się nad tą

sprawą zastanowić,

Gdy Tarzan powrócił do domu, Jack był w stanie ciekawego podniecenia i chciwie słuchał szczegółów o wizycie ojca u małpy.

Prosił wreszcie, aby ojciec ją kupił i przywiózł do domu.

Lady Greystoke przeraziła się tą myślą. Mąż wyjaśnił, że chciał nabyć Akuta i odesłać go do ojczystej dżungli, na to lady Greystoke zgodziła się w zupełności. Jack znowu ją prosić, by mu pozwolono odwiedzić małpę, na to wszakże otrzymał stanowczą odmowę. Pamiętając jednakże adres, wskazany ojcu przez trenera, zdołał w dwa dni później zmylić czujność nowego nauczyciela, następcy pokonanego

Moore'a, i po długim błędzeniu w nieznaney dzielnicy

Londynu trafił nareszcie do ciemnego, dusznego mieszkanca ospowatego właściciela małpy. Stary sam otworzył drzwi na jego pukanie, a gdy oznajmił, że przyszedł odwiedzić Ajaxa, wpuścił go do izdebki zajmowanej wspólnie z olbrzymią małpą.

W dawnych czasach Paulwier był wykwintnym lotrzykiem, jednakże dziesięć lat straszliwego życia wśród kanibali Afryki wykorzeniły z niego wszelkie ślady kulturalnych obyczajów. Miał na sobie wygniecione i poplamione ubranie, jego ręce były zasmolone, rzadkie kędziory nie czesane. Izdebka, w której zamieszkiwał, była uosobieniem

niechlujstwa i nieładu. Chłopiec, wchodząc za próg, ujrzał wielką małpę siedzącą na rozgrzebanym łóżku, na stosie brudnych śmierdzących kolder. Na widok Jacka małpa zeskokczyła z łóżka podchodząc ku niemu. Paulwier, nie poznając swego gościa, stanął między nimi, a lękając się napaści ze strony zwierzęcia, rozkazał przy tym małpie, aby wróciła na łóżko.

- Ajax mi nie robi krzywdy! - zawołał chłopiec. - Jesteśmy przyjaciółmi, a dawniej jeszcze był on przyjacielem mego ojca. Znali się jeszcze w dżungli. Mój ojciec jest lordem Greystoke. Nie wie, że tutaj przyszedłem. Mama mi tego zakazała, ale ja chciałem koniecznie zobaczyć Ajaxa i wynagrodzę pana, jeżeli mi pan pozwoli często go odwiedzać.

Na wspomnienie nazwiska Greystoke, źrenice Paulwiera przymrużyły się z doznanego wrażenia. Od kiedy ujrzał Tarzana za kulisami cyrku, w jego zamarłym mózgu zakiełkowało pragnienie zemsty. Jest to cechą szczególną słabych i zbrodniczych ludzi, że przypisują innym nieszczęścia wypływające z ich zdoźnego postępowania, dlatego też Aleksy Paulwier przypomniał sobie teraz zdarzenia ze swej przeszłości, zasadzki, które on i Rokow czynili na życie Tarzana i wszystkie klęski, jakie go dotknęły po tych nieudanych zamachach.

Nie wiedział jeszcze, w jaki sposób będzie mógł wykorzystać znajomość z chłopcem, aby zemścić się na Tarzanie, uświadamiał sobie jednak, że znajomość ta jest dla jego celów bardzo ważna, postanowił tedy zaprzyjaźnić się z Jackiem. Opowiedział chłopcu wszystkie szczegóły dotyczące się życia ojca w dżungli. Kiedy dowiedział się, że wszystko to było utrzymane w największej tajemnicy przed chłopcem, któremu nawet zwiedzanie ogrodów zoologicznych było wzbronione, że musiał on związać i zakneblować swego nauczyciela, aby móc wyrwać się do cyrku, by zobaczyć Ajaxa, odgadł natychmiast, że rodzice lękają się pociągu chłopca do awanturnicznych przygód życia w dżungli, odziedziczonego po ojcu.

Tak więc Paulwier zachęcał Jacka do odwiedzania go często i rozwodził się szeroko nad szczegółami życia w dżungli, które mu aż nadto były znane. Zostawiał go samego z Akutem przez dłuższe chwile i pewnego dnia zdziwił się niepomierne słysząc jak chłopiec porozumiewa się z małpą, Jack bowiem przyswoił sobie wkrótce wiele słów z prymitywnej gwary antropoidów.

Ze swej strony Tarzan bardzo często odwiedzał Paulwiera.

Okazywał on wielką chęć kupienia Akuta, w końcu zwierzył się staremu szczerze, iż oprócz pragnienia, aby ułatwić małpie powrót do rodzimej dżungli, idzie mu o

uspokojenie żony lękającej się, aby syn ich nie odkrył miejsca przebywania zwierzęcia i nie nabrał chęci do poznania dżungli oraz do przygód, którymi było przepelnione życie ojca.

Rosjanin zaledwie zdołał powstrzymać się od uśmiechu na te słowa lorda Greystoke'a, ponieważ dopiero przed pół godziną przyszedł lord Greystoke siedział właśnie na jego barłogu belkocząc coś do Ajaxa tak płynnie, jak gdyby był sam urodzoną małpą.

Podczas tej właśnie rozmowy Paulwier ułożył sobie w myśli pewien plan, w myśl którego zgodził się przyjąć za małpę bardzo wygórowaną sumę, po odebraniu której miał dostawić Akuta do portu i umieścić go na okręcie odpływającym z Duvru do południowej Afryki w dwa dni później. Miał on podwójny cel na myśli przyjmując propozycję Clayton'a. Po pierwsze nęciły go bardzo pieniądze, małpa bowiem odkąd zobaczyła Tarzana stale odmawiała występowania w cyrku, przestając tym sposobem być źródłem dochodu. Zdawać by się mogło, że małpa zgodziła się opuścić dżunglę i pozwoliła się wystawiać na widok publiczny jedynie po to, aby odszukać swego dawno utraconego przyjaciela i pana. obecnie zaś odnalazszy go nie chciała już obcować z tłumem ludzkich istot obcych dla niej. W każdym razie opierała się

stanowczo dalszym występom, zaś gdy trener chciał pewnego razu zniewolić ją do tego siłą znalazłby się w niemałych opałach, gdyby nie Jack, który się zjawiał w samą porę, aby powstrzymać rozgniewanego Akuta od wymownego okazania swej przewagi fizycznej .

Oprócz nadziei zarobienia pieniędzy Paulwier, przez ciągle rozpamiętywanie swego nędznego życia, podniecał w sobie chęć wywarcia zemsty na Tarzanie, sądził przy tym, że to Tarzan zniechęcił Akuta do cyrku.

Pomimo że Paulwier, na skutek ciężkich przejść życiowych, zatracił nieco zmysł kombinacyjny, jednakże plan jego zemsty był dość przebiegły. Postanowił on, otrzymując umówioną kwotę od Greystoke'a, ukarać lorda za urojone winy, pozbawiając go ukochanego syna. Nie było w owym brutalnym planie finezji, cechującej sztuczki dawnego Paulwiera, współnika arcymistrza łotrostwa Mikołaja Rokowa, w każdym jednak razie sposób wykonania szelmowskiego pomysłu zapewniał mu bezkarność, gdyż posądzenie o ohydny mord miało być rzucone na Akuta, który w ten sposób miał zostać ukarany za swój opór.

Wszystko zdawało się sprzyjać zamiarom Paulwiera. Jack posłyszał jak ojciec opowiadał matce o swoim zamiarze odesłania Akuta do rodzinnej dżungli i jął prosić, by raczej

małą sprowadzić do domu jako towarzysza zabaw dla niego. Tarzan nie byłby może sprzeciwiał się żądaniu chłopca, lady Greystoke jednak przeraziła się na samą myśl o podobnej możliwości i pomimo usilnych próśb syna nie chciała na to pozwolić. Wreszcie chłopiec dał sobie wyperswadować, że jego kosmaty przyjaciel musi powrócić do Afryki, on zaś pojedzie do szkoły, w której przebywał dotychczas, kończył się bowiem czas wakacji.

Tego dnia nie odwiedził już Paulwiera, ale zajęty był pilnie robieniem jakichś tajemniczych sprawunków, które starannie ukryte przyniósł ukradkiem do domu. Miał on zawsze sporo "kieszonkowych" pieniędzy, tak że z łatwością mógł poczynić różne zakupy.

Nazajutrz rano, tuż po powrocie ojca od Paulwiera, któremu wręczył umówioną sumę pieniędzy, chłopiec pobiegł do kwatery Rosjanina. Nie znając go dobrze lękał się zwierzyć mu ze swego planu, aby czasem cała rzecz nie została wyjawiona ojcu przez starego. Poprosił go tylko, aby to on właśnie mógł odwieźć Ajaxa do Duvru.

Wy tłumaczył mu, że to oszczędziłoby męczącej dla niego podróży, przysparzając mu nieco pieniędzy, chciał bowiem sownie wynagrodzić właściciela małpy.

- Widzi pan - ciągnął dalej - nie ma obawy wykrycia mojego planu, mam przecież wyjechać dziś po południu do

szkoły. Tymczasem, gdy mnie rodzice odwiozą na dworzec i wrócą do domu umieściwszy mnie w pociągu, ja wyskoczę z wagonu po ich odejściu i przybiegnę tutaj. Będę mógł odwieźć Akuta do Duvru i przyjadę do szkoły z jednym dniem opóźnienia. Nikomu przez to krzywda nie stanie, a ja się przez ten cały dzień Akutem nacieszę, zanim go na zawsze utracę.

Projekt ten zgadzał się z projektem Paulwiera, gdyby jednak znał prawdziwe zamiary Jacka, byłby niewątpliwie popierał plan chłopca, rezygnując z morderstwa Paulwier nie mógł jednak przewidzieć przyszłości.

Nazajutrz po południu lord i lady Greystoke, umieściwszy synka w przedziale I-szej klasy i uściskawszy go serdecznie, powrócili do domu uspokojeni, że malec za kilka godzin znajdzie się w szkole. Zaledwie się z nim rozstali, Jack wyskoczył z pociągu i - zabrawszy walizki - wsiadł do dorożki, która zawiozła go do mieszkania Paulwiera.

Było już szaro, gdy się tam zjawił. Paulwier oczekiwał go, chodząc nerwowymi krokami po izdebce. Małpa była przywiązana mocnym sznurem do łóżka. Jack po raz pierwszy zobaczył spętane zwierzę. Spojrzał pytająco na Paulwiera. Ten objaśnił go mrukliwie, że zwierzę odgadło, iż ma być odesłane i że chciał się zabezpieczyć przed jego

możliwą ucieczką.

Paulwier trzymał w ręku długi, równie gruby sznur, u którego końca zwieszała się wielka pętla, bawił się nią przechadzając się po pokoju. Jego ospowate rysy kurczyły się pod wpływem jakiegoś wysiłku, mamrotał coś do siebie cicho. Chłopiec nigdy go takim nie widział, zaniepokoiło go to trochę. Wreszcie Paulwier zatrzymał się na przeciwległym krańcu pokoju, daleko od małpy.

- Chodź no tu - rzekł do chłopca - pokażę ci, jak masz wiązać małpę, gdyby ci się przypadkiem zbuntowała w drodze.

Chłopak roześmiał się.

- Nie będzie to wcale potrzebne - odparł - Ajax będzie mnie we wszystkim słuchał.

Stary tupnął gniewnie nogą. - Chodź tu, kiedy ci mówię - powtórzył. - Jeżeli nie będziesz mnie słuchał, nie pojedziesz z małpą do Duvru, bo nie będę się starał ci dopomóc.

Chłopiec z uśmiechem na ustach podszedł do Rosjanina.

- Obróć no się tyłem do mnie - dyrygował stary - chcę ci pokazać, w jaki sposób możesz szybko związać zwierzę.

Jack posłuchał natychmiast, zakładając ręce na plecach wedle wskazówek Paulwiera. W tej samej chwili, stary założył pętlę na jedną z rąk chłopca, przewlekł sznur przez drugą rękę i związał na parę mocnych węzłów.

Skoro tylko chłopiec został skrępowany, zachowanie Paulwiera uległo zmianie. Miotając przekleństwa, jął tarmosić swego więźnia, powalił go o ziemię, kopiać go przy tym zawzięcie. Małpa przywiązana do łóżka mruzczała złowrogo, szarpiąc swoje więzy. Chłopak ani pisnął - odzywała się w nim dzika natura ojca, którego długie lata w dżungli, po śmierci mlecznej matki, wielkiej małpy Kali, nauczyły, że nikt nie przybywa na pomoc zwyciężonym. Palce Paulwiera jęły szukać gardła Jacka. Wykrzywił się strasznie, zaglądając w oczy swej ofiary.

- Twój ojciec mnie zrujnował - zacharczał. - To mu będzie zapłatą. Będzie myślał, że cię zamordowała małpa. Ja mu powiem, że to zrobiła małpa, gdy ją zostawiłem na parę minut samą, żeś ty się wkradł do pokoju i że ona cię zamordowała. Jak tylko cię zaduszę, rzucę twoje ciało na łóżko, a jeżeli sprowadzę twego ojca, zobaczy on małpę siedzącą na nim - tu okropny starzec zaniósł się od złowrogo śmiechu. Jego palce zacisnęły się na gardle chłopca.

W głębi izdebki pomruki rozwścieczonego zwierzęcia odbijały się głuchym echem o ściany. Chłopiec zbladł, ale nie było śladu strachu na jego twarzy, wszakże był synem Tarzana! Palce starca zacieśniały się na jego szyi, oddychał z trudem, sapiąc ciężko. Małpa nagłym ruchem

wyskoczyła na całą długość sznura i owinąwszy go sobie na rękach, całym ciężarem rzuciła się w tył: potężne jej mięśnie wyprężyły się w tym wysiłku. Wtem dał się słyszeć nagły trzask, sznur nie rozerwał się, ale cała połowa drewnianego łóżka, do którego był przywiązany, oderwała się z hukiem, uwalniając Akuta.

Paulwier obejrzał się na ten odgłos, twarz mu zbieleła z przerażenia. Zwierzę jednym susem rzuciło się na niego.

Stary jął gwałtownie krzyczeć, małpa zaś oderwała go od chłopca, potworne palce ujęły go, żółte kły rozwarły się tuż nad jego gardłem. Stary daremnie próbował stawić opór, skoro zaś kły owe zatopily się w jego szyi, nędzna dusza Aleksego Paulwiera dostała się w posiadanie demonów czyhających na nią od dawna.

Chłopiec podniósł się z ziemi przy pomocy Akuta, który przez dwie godziny, według wskazówek przyjaciela, pracował nad rozwiązaniem więzów na jego rękach.

Wreszcie udało mu się je rozluźnić i chłopiec odzyskał swobodę ruchów. Wówczas Jack odciął sznur, zwieszający się jeszcze z bioder małpy, otworzył jedną z walizek i wyjął różne części ubrania. Plan jego był dobrze obmyślony. Nie pytał się o zdanie Akuta, który słuchał go ślepo we wszystkim. Wysunęli się wówczas obydwaj z domu na ulicę, nikt jednakże patrzący na nich nie domyśliłby się, że

jednym z przyjaciół była przebrana małpa.

ROZDZIAŁ IV

ZATARTY ŚLAD

Zabójstwo, dokonane na osobie starego, nieznanego nikomu Rosjanina, Michała Sabrowa, przez jego uczoną małpę, było przez kilka dni przedmiotem rozpraw we wszystkich gazetach londyńskich. Lord Greystoke, który o tym czytał, powziął wszelkie ostrożności, aby jego nazwisko nie zostało wmieszane w ten wypadek, ze swej strony zaś śledził uważnie poszukiwania policji, czynione w celu odnalezienia zwierzęcia.

Tak jak ogół publiczności, zaciekawiony był on głównie tym, w jaki sposób mógł się ulotnić morderca. Sprawa ta zajmowała go, dopóki się nie dowiedział, że Jack nie stawiał się w oznaczonym terminie w szkole, pomimo że sam umieścił go bezpiecznie w przedziale I-szej klasy. Nawet i wtedy jeszcze ojciec nie kojarzył zniknięcia syna z tajemnicą otaczającą ucieczkę małpy. Dopiero w miesiąc później mozolne badania wykazały, że chłopiec wyskoczył z wagonu, zanim pociąg opuścił stację i odnaleziono dorożkarza, który go odwiózł do mieszkania Rosjanina, wówczas Tarzan uświadomił sobie, że Akut był związany w jakiś sposób z zagadkową ucieczką Jacka.

Od chwili, kiedy dorożkarz dowiózł chłopca do kamienicy,

zamieszkiwanej przez Rosjanina, wszelki ślad po nim zaginął zupełnie. Nikt inny nie widział od tej pory Jacka, ani małpy. Właściciel domu przypominał sobie malca jako częstego gościa u właściciela małpy, poza tym nic o tym nie wiedział. U bramy starego, ponurego budynku w brudnej dzielnicy Londynu, wszyscy natrafiali na martwy punkt i zatrzymywali się zmyleni w swych poszukiwaniach.

Nazajutrz po śmierci Aleksego Paulwiera wyrostek, towarzyszący swej chorej babce, wsiadł na statek odpływający z Duvru. Staruszka miała na twarzy gęstą woalkę, tak była przy tym osłabiona chorobą i sterana latami, że należało ją wtoczyć na pokład na wózku.

Chłopiec nie chciał nikomu pozwolić tknąć wózka i sam wprowadził wiekową damę do przeznaczonej dla nich kajuty, w której pozostała nie pokazując się nikomu na pokładzie, aż do chwili wylądowania. Poczciwy wnuczek sam uprzątał kajutę, twierdząc, że babka jego cierpi na rozstrój nerwowy i nie znosi obecności obcych ludzi koło siebie.

Poza kajutą, nikt na statku nie wiedział co robił, chłopiec zachowywał się tak, jak każdy przeciętny normalny i zdrowy syn Albionu. Gawędził z pasażerami, stał się wkrótce ulubieńcem oficerów i zaprzyjaźnił się z majtkami. Jego zachowanie było naturalne i swobodne,

cechował go jednakże wyraz szlachetnej godności i siły charakteru, tak że mimo woli wzbudzał podziw i sympatię u wszystkich swych nowych przyjaciół.

Pomiędzy pasażerami znajdował się pewien Amerykanin, z zawodu szwindlarz i filut, który był poszukiwany za różne "kawały" w kilku znaczniejszych miastach Stanów Zjednoczonych. Nie zwracał on uwagi na chłopca, aż do chwili, gdy ujrzał u mego przypadkiem sporą garść banknotów. Od tej pory Caudon zaczął szukać sposobności zaznajomienia się z młodym Anglikiem. Dowiedział się z rozmowy z nim, że chłopiec podróżował sam z niedolężną babką, a celem ich podróży była niewielka portowa miejscina na wschodnim wybrzeżu Afryki, niedaleko od równika, że nazwisko ich brzmiało Billings i że nie mieli żadnych przyjaciół w miejscowości, w której zamierzali wylądować. Caudon nie zdołał dowiedzieć się, z jakiego powodu udawali się, aż tak daleko, chłopiec co do tego okazywał się powściągliwy.

Kilka razy Caudon próbował wciągnąć chłopca do gry w karty, jednakże upatrzona przezeń ofiara nie okazywała zainteresowania grą, przy tym oburzone spojrzenia, rzucane przez innych pasażerów, którzy dostrzegli te próby, skłoniły Amerykanina do szukania innych sposobów przywłaszczenia sobie banknotów chłopca.

Pewnego dnia wreszcie parowiec zarzucił kotwicę w lesistej zatoce, gdzie kilkanaście rozrzuconych domków świadczyło o panowaniu tam cywilizacji. Poza obrębem miejsciny widać było lepianki tubylców, malownicze w swej pierwotności, dopełniające niejako tło podzwrotnikowej dżungli, w przeciwieństwie do szpetnych, monottonnych budowli wzniesionych rękami białych ludzi.

Chłopak, przechylając się nad balustradą pokładu, spoglądał poza miasto - dzieło ręki ludzkiej - w przepaścistą dżunglę - dzieło potęgi Bożej. Dreszcz oczekiwania wstrząsnął nim, wówczas zupełnie mimo woli stanęło mu przed oczami wyobraźni słodkie, kochające oblicze matki, a obok niego pełna nie mniejszej miłości, surowa twarz ojca. Postanowienie jego osłabło nagle. Stojący przy nim jeden z oficerów nawoływał na łodzie kierowane przez tubylców, aby podpłynęły dla odebrania ładunku, przeznaczonego dla niewielkiego portu.

- Kiedy wyrusza stąd następny parowiec do Anglii? - zagadnął chłopiec.

- "Emanuel" powinien by zjawić się tu lada chwila.

Myślałem, że go tu spotkamy - objaśnił oficer i jął wykrzykiwać dalej rozkazy do tłumu czarnych oblegających pokład.

Przeniesienie babki chłopca do łodzi było połączone z

niemałymi trudnościami. Chłopiec nie chciał odstąpić od jej boku, skoro zaś została bezpiecznie umieszczona w łódce kocim susem znalazł się przy niej, a tak był przejęty przenosinami, że nie zauważył, jak woreczek zawierający banknoty wysunął mu się z kieszeni i wpadł w morze.

Zaledwie łódź, w której zasiedli chłopiec i staruszka, ruszyła w stronę wybrzeża, Caudon wynajął inną łódkę po drugiej stronie parowca i, wytargowawszy się o cenę z jej właścicielem, wylądował na brzeg. Okrążył z daleka nędzny, dwupiętrowy budynek z wywieszonym szyldem "hotel", zwabiający na niewygodny nocleg niedoświadczonych podróżnych i dopiero o zmierzchu zdecydował się w nim rozgościć.

W tylnym pokoju, na drugim piętrze, chłopiec starał się wytłumaczyć swej babce, nie bez trudności, że postanowił powrócić do Anglii następnym odpływającym stąd parowcem. Wysilał się, aby przekonać starszą damę, że może sobie ona pozostać w Afryce, o ile zechce, ale że sumienie nakazuje mu powrócić do ojca i do matki, którzy zapewne teraz cierpieli strasznie z powodu jego nieobecności. Z tych jego słów można było wywnioskować, że rodzice chłopca nie byli powiadomieni o tej awanturycznej podróży do Afryki.

Powziąwszy to postanowienie, chłopiec uczuł pewną ulgę w

strapieniu, które go dręczyło przez wiele bezsensnych nocy.

We śnie, który mu tej noc skleił powieki, odnalazł

ukochanych rodziców. Jednakże nieubłagane

przeznaczenie czyhało na niego z ciemnego korytarza

nędznego, hotelowego budynku. Okrutne fatum w postaci

amerykańskiego łotrzyka Caudona.

Caudon ostrożnie podszedł do drzwi pokoju chłopca. Tam

przyczał się nadsluchując, dopóki nie posłyszał

regularnego chrapania świadczącego, że mieszkańcy

pokoju mocno zasnęli. Wsunął złodziejski klucz w zamek,

naciskając równocześnie klamkę, wszedł do pokoju na

palcach, zamykając za sobą drzwi. W przeciwległym

krańcu pokoju coś się ukradkiem poruszyło, z ostrożnością

przewyższającą nawet ostrożność rzezimieszka. Księżyc

był w tej chwili zasnuty chmurami. Złodziej szedł po

omacku przez ciemny pokój szukając łóżka, w którym

spodziewał się zastać młodego chłopca i jego bezbronną,

niedolężną babkę.

Amerikanin myślał tylko o zwitku banknotów. Jeżeli uda

mu się zagarnąć go, tym lepiej, jeżeli miał się spotkać z

oporem, był i na to również przygotowany. Ubranie

chłopca leżało na krześle obok łóżka, przeszukawszy na

próżno kieszenie, złodziej zrobił ręką ruch w stronę

poduszki sądząc, że woreczek tam jest ukryty, wtem

księżyc wysunął się nagle spoza przesłaniającej go chmury, rzucając smugę światła na pokój. W tej samej chwili chłopak otworzył oczy i spoglądał zdumiony na Caudona. Ten uświadomił sobie nagle, że chłopiec leżał w łóżku sam, wyciągnął rękę, aby go zadusić. Gdy tylko chłopiec podniósł się Caudon usłyszał poza sobą głuchy pomruk. Odczuł dotknięcie innych rąk, ostrych i włochatych, które złapały go z tyłu za ramiona. Obejrzał się przerażony, włosy stanęły mu na głowie z przestrawu, oto za nim, odciągając go od łóżka przemocą - stała olbrzymia, antropoidalna małpa. Wielkie kły były tuż przy jego szyi, chłopiec przez ten czas próbował skrzepować mu rękę. Caudon rozejrzał się w osłupieniu po pokoju: gdzież była babka chłopca? W czyjejże mocy znajdował się teraz? Oswobodziwszy jedną rękę, wymierzył silny policzek chłopcu. Wówczas, jak gdyby demon szalu ogarnął włochate stworzenie, duszące łotrzyka za gardło. Złowrogi pomruk nad uchem Caudona był ostatnim dźwiękiem, jaki usłyszał w swoim życiu. W mgnieniu oka został powalony na ziemię, a kły rozwścieczonego zwierza wpiły mu się w gardło i gdy małpa podniosła się, trup Caudona leżał rozciągnięty na podłodze. Chłopiec przejęty grozą zeskoczył z łóżka i pochylił się nad ciałem. Wiedział, że Akut popełnił morderstwo dla

ocalenia mu życia, tak jak zamordował Michała Sabrowa, ale jakież los czekał ich teraz w tej dzikiej Afryce z dala od rodziny i przyjaciół?

Dobrze sobie zdawał sprawę, że śmierć była powszechnie przyjętą karą za morderstwo, wiedział, że współnik bywa karany na równi ze sprawcą zbrodni. Któż się za nimi mógł wstawić tutaj? Wszystko będzie przeciw nim i w tej na wpół dzikiej osadzie zostaną może po prostu skazani na śmierć przez powieszenie?!

Czytał przecież, że takie wypadki zdarzają się na dalekim Zachodzie Ameryki, a cóż dopiero w tej części Afryki, gdzie niższy jeszcze był poziom kultury i cywilizacji, niż w dalekiej ojczyźnie jego matki! Co mieli począć? Nazajutrz zbrodnia będzie wykryta i niechybnie zostaną obaj powieszeni. Pomimo słusznego wzrostu i odziedziczonej po ojcu siły, Jack był małym chłopcem: wylęknionym, stęsknionym za rodzicami, o bardzo jeszcze 'szczupłym zakresie doświadczenia. Mógł tylko myśleć o jednym: oto obaj z Akutem zabili człowieka i znajdowali się w obcym kraju, którego mieszkańcy czyhali na krew pierwszej ofiary, jaka im wpadła w ręce. Wyczytał to wszakże w tanich wydawnictwach o podróżach i przygodach w dzikich krajach. Tak, zostaną niechybnie powieszeni na pierwszej lepszej gałęzi.

Czyż nie było na to rady?

Pomyślał przez chwilę w milczeniu, wreszcie podszedł do krzesła, na którym leżało ubranie. Pieniądze mogą zaradzić na wszystko, pieniądze mogą zbawić jego i Akuta!

Jał obmacywać kieszeń, w której zwykle przechowywał woreczek z pieniędzmi. Kieszeń była próżna! Zabrał się tedy do przetrząsania pozostałych kieszeni z początku spokojnie, potem gorączkowo, wreszcie zapalił lampę i pelzając po podłodze szukał banknotów pod łóżkiem po wszystkich kątach pokoju. Bezskutecznie. Zawahał się chwilę nad trupem Amerykanina, lecz w końcu, zebrawszy na odwagę, przesunął go, aby się przekonać, czy na miejscu, gdzie leżał, nie znajdzie pieniędzy. Domyślał się, że Caudon napadł go w celach kradzieży, lecz nie przypuszczał, aby mógł on zdążyć odnaleźć pieniądze w tak krótkim przeciągu czasu. Przewyciężając wstręt, jał obszukiwać trupa, zdejmując zeń jedno po drugim części ubrania, wstrząsając nawet obuwie. Wszystko na próżno! Był na wpół oszalały z rozpacz, usiadł na łóżku w niemym osłupieniu, mając przed oczami oczekujący ich niechybnie sąd doraźny.

Jak długo tak przesiedział, nie wiedział sam, ocknął się wreszcie na odgłos kroków na pierwszym piętrze.

Zerwawszy się na równe nogi, zgasił lampę, przekręcił

klucz w drzwiach i podszedł do małpy z powziętym już postanowieniem. Ubiegłego wieczoru był zdecydowany wrócić do domu przy pierwszej sposobności i prosić o przebaczenie rodziców za tę swoją szaloną eskapadę.

Obecnie wiedział, że może ich już więcej nie zobaczy. Krew ludzka zbrukała mu ręce, w swoim przerażeniu przypisywał sobie odpowiedzialność za morderstwo.

Pieniędzmi można było przekupić władze, ale bez grosza?

Jakaż mogła być dla cudzoziemców nadzieja ocalenia?

Ale gdzie się mogły podziać pieniądze? Starał się sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni dobywał woreczka, nie mógł jednak pojąć, w jaki sposób zniknął, gdyż nie zauważył, jak mu się wysunął z kieszeni, podczas wskakiwania z parowca do łodzi.

Zwrócił się do Akuta:

- Chodź - rzekł do niego w języku wielkich małp.

Zapominając, że miał na sobie tylko lekką pidżamę, podszedł do otwartego okna. Wychylił głowę, rozglądając się uważnie. O kilka łokci od domu rosło wielkie drzewo, chłopiec skoczył zwinnie, opuszczając się na ziemię. Wielka małpa poszła w jego ślady. O dwieście kroków stamtąd rozciągał się łańcuch lesistych wzgórz. Kierowali się właśnie w tę stronę. Nikt ich nie widział, wkrótce potem przepadli w dżungli i Jack Clayton, przyszły lord

Greystoke znalazł się poza obrębem ludzkiego

społeczeństwa.

Nazajutrz, późnym rankiem, służący Murzyn zastukał do

drzwi pokoju zajmowanego przez panią Billings i jej

wnuka. Nie otrzymując odpowiedzi spróbował otworzyć

drzwi swoim kluczem, przekonał się jednak, że były one

zamknięte i że klucz tkwił w zamku od wewnątrz.

Zawiadomił o tym zaraz pana Skopfa, właściciela hotelu,

który pośpieszył natychmiast na drugie piętro i jął walić

gwałtownie w drzwi. Nie otrzymując żadnej odpowiedzi

nachylił się, aby zajrzeć do pokoju przez dziurkę od

klucza, ponieważ zaś był korpulentny stracił równowagę i

zmuszony był dla utrzymania jej oprzeć dłoń na podłodze,

aby się nie przewrócić. Poczul, że macza rękę w jakiejś

lepkiej cieczy. Podniósł ją do oczu, aby się przekonać czym

ją zawałał. Tu wstrząsnął nim dreszcz przerażenia,

albowiem w półmroku korytarza rozpoznał, że były to

ślady krwi. Wówczas wyważył drzwi ramieniem. Pan

Skopf jest barczystym mężczyzną, a przynajmniej był

takim wówczas, nie wiem czy się od tego czasu nie zmienił.

Licho sklecone drzwi ustąpiły pod jego ciężarem i pan

Skopf wpadł gwałtownie do pokoju.

Na podłodze u jego nóg leżało martwe ciało ludzkie. Szyja

trupa była jakby przegryziona przez kły drapieżnego

zwierza. Ciało było nagie, ubranie leżało bezładnie rzucone przy trupie. Staruszka wraz z wnukiem zniknęli. Okno było otwarte. Musieli ulotnić się przez nie, drzwi bowiem były zamknięte od wewnątrz.

Ale w jaki sposób chłopiec zdołałby sprowadzić niedołęzną babkę z okna drugiego piętra na ziemię? Było to nieprawdopodobne. I znowu pan Skopf rozejrzał się po całym pokoju. Zauważył, że łóżko zostało odsunięte od ściany, ale nie mógł pojąć dlaczego? Zaglądał kilkakrotnie pod nie. Tajemnicza para zniknęła, jednakże rozsądek mówił mu, że starsza dama nie mogła wyjść z hotelu bez pomocy tragarzy, którzy wnieśli ją do pokoju poprzedniego dnia.

Dalsze poszukiwania pogłębiły tylko tajemnicę. Ubrania obojga znajdowały się w pokoju, jeżeli zatem wyszli, to chyba nago albo w nocnej bieliźnie.

Pan Skopf potrząsnął głową i zaczął się po niej drapać nerwowym ruchem. Był zupełnie stropiony. Nigdy nie słyszał o Sherlocku Holmesie, inaczej byłby wezwał z pewnością dawnego detektywa, który miałby tu szerokie pole do działania. Była to prawdziwie zawila zagadka. Oto niedołęzna staruszka, którą trzeba było przenosić z łodzi do hotelu i jej wnuk, ładny chłopaczek, zajęli pokój na drugim piętrze ubiegłego popołudnia. Zniesiono im obiad

do pokoju i od tej pory nikt już ich nie widział. O
dziewiątej rano nazajutrz jedynie trup obcego człowieka
zajmował ów pokój. Żadna, łódź nie opuściła portu od
wczoraj, najbliższa stacja kolejowa znajdowała się o sto
mil odległości, chcąc się dostać do najbliższej osady
"białych", do której można było zresztą trafić jedynie pod
przewodnictwem dobrze uzbrojonego tubylca, trzeba było
zdecydować się na kilkudniową podróż pieszo w
uciążliwych warunkach. Owa dziwna para rozplynęła się
po prostu w powietrzu, skoro Murzyn, którego pan Skopf
wysłał na wywiady nie mógł odnaleźć śladu niczyich
kroków koło domu. Jakież to więc były istoty, które mogły
przebyć tak rozległą przestrzeń od domu aż do dżungli, nie
stąpając po ziemi? Pan Skopf trząsał się cały z wrażenia.
Tak, była to niezrozumiała sprawa, coś niesamowitego.
Myśl o tym była mu uciążliwą i lękał się nadejścia nocy.
Całe zdarzenie było tajemnicą dla pana Skopfa i
niewątpliwie tajemnicą pozostało dotychczas.

ROZDZIAŁ V

ZEMSTA SZEJKA

Kapitan Armand Jacot, z Legii Cudzoziemskiej, siedział na derce rozłożonej pod wysoką palmą. Jego barczyste plecy i ciemna, kędzierzawa głowa opierały się o chropowaty pień palmy. Wyciągnięte na całą długość nogi wystawały poza obręb derki, dotykając piaszczystego gruntu małej oazy. Kapitan wypoczywał po męczącym dniu jazdy wśród ruchomych piasków pustyni.

Palił leniwie papierosa, przyglądając się jak ordynans przygotowuje wieczerzę. Był zadowolony z samego siebie i z całego świata. Nieco dalej na prawo krzątali się opaleni legionieści, podśpiewując i gwarząc wesolo, zwolnieni na tę chwilę od regulaminu dyscypliny wojskowej, przyrządzali posilek, pierwszy po dwunastogodzinnym poście. Pomiędzy nimi stało pięciu ponurych, milczących Arabów. Byli oni mocno skrupowani i znajdowali się pod silną strażą.

Widok tych właśnie Arabów napelniał kapitana Jacota zadowoleniem. Przez cały długi, upalny miesiąc, na czele swego małego oddziałku, przejeżdżał rozległe przestrzenie pustyni w poszukiwaniu bandy maruderów, na których sumieniu ciążyły nie tylko rozliczne kradzieże wielbłądów, kóz i koni, ale jeszcze morderstwa.

Tydzień temu udało mu się ją wytropić. W potyczce stracił

wprawdzie dwóch ludzi, bandyci za to zostali zmiażdżeni do szczętu. Około sześciu zdołało uciec, reszta, oprócz pięciu wziętych do niewoli, zginęła pod kulami legionistów. Najważniejszym zaś było to, że naczelnik bandy, Ahmed Ben Hadin, znajdował się między uwięzionymi.

Od więźniów myśli kapitana Jacota powędrowały do garnizonu w maleńkiej osadzie, gdzie nazajutrz miał być witany serdecznie przez ukochaną żonę i córeczkę. Jego oczy nabrały marzącego wyrazu tak jak zawsze, ilekroć o nich pomyślał. Już teraz dostrzegał urodę żony, odbijającą się w dziecięcych rysach czteroletniej Jani. Obie te drogie postacie przywitają go z uśmiechem, gdy będzie zsiadał z konia nazajutrz wczesnym wieczorem. Odczuwał już zawczasu miłe dotknięcie aksamitnych policzków na swojej zahartowanej, żołnierskiej twarzy.

Jego rozmyślania przerwane zostały głosem strażnika stojącego na czatach, który pokazywał coś kapralowi. Skierował spojrzenie w tę stronę. Słońce nie zaszło jeszcze; kilka drzew oazy odbijało się mętnie w niewielkim źródelku, podczas gdy cienie ludzi i rozsiodłanych koni rozciągały się daleko na wschód poprzez złocisty piasek. Strażnik właśnie wskazywał na wschodnią stronę widnokładu kapral zaś, mrużąc oczy, śledził za czymś uważnie.

Kapitan Jacot zerwał się na równe nogi. Nie zadawał się nigdy patrzeniem poprzez cudze oczy, sam chciał zawsze wszystko zobaczyć. Zazwyczaj dostrzegał to, co należało, o wiele szybciej niż inni, nie darmo tedy zyskał sobie przydomek "Jastrzębia". Teraz właśnie zauważył w oddali kilkanaście ciemnych plamek poruszających się wśród rozległych piasków.

Plamki owe ukazywały się i znikaly, stając się jednak coraz wyraźniejsze. Byli to jeźdźcy - jeźdźcy pustyni - zbliżający się do oazy. Sierżant oddziału podbiegł do kapitana. Jacot dał mu kilka krótkich rozkazów, ten zasalutował i.

wykręciwszy się na piętach, powrócił do żołnierzy. Zebrał natychmiast dwunastu ludzi, którzy - osiodławszy konie - dosiedli ich i wyruszyli na spotkanie nieznanym jeźdźców. Pozostali żołnierze szykowali się do natychmiastowej obrony. Nie było wykluczone, że owi konni, zbliżający się pełnym klusem do obozu, mogli być odsieczą dla Arabów. Kapitan powątpiewał o tym, ponieważ nadjeżdżający nie starali się ukryć. Cwałowali szybko i śmiało w stronę obozu. Można było co prawda, pomimo tej pozornej otwartości, posądzać ich o zdradę, kto jednak znał dobrze "Jastrzębia", ten nie mógł przypuszczać, aby wpadł on w zasadzkę.

Sierżant na czele swej gromadki spotkał Arabów w

odległości dwustu metrów od obozu. Jacot widział go rozmawiającego z wysoką postacią w białym burnusie, najwidoczniej z naczelnikiem karawany. Wreszcie Arab wraz z sierżantem podjechali razem do obozu i - zatrzymując wierzchowce - stanęli obydwoj przed kapitanem.

- Szejk Amor Ben Khatour - oznajmił sierżant, przedstawiając nowo przybyłego.

Kapitan Jacot spojrział bacznie na przybysza. Znał on dobrze wszystkich znaczniejszych Arabów na tym kilkusetmilowym obszarze, tego człowieka jednak dotychczas nigdzie nie spotkał. Był to słuszny, ogorzały, o zaciętym wyrazie twarzy mężczyzna, lat z górą sześćdziesięciu. Źrenice miał przymrużone i złowrogie spojrzenie. Jacot, widząc go, nie odniósł miłego wrażenia.

- No i cóż? - odezwał się kapitan pytająco. Arab przystąpił od razu do rzeczy.

- Ahmed Ben Hadin jest synem mojej siostry - powiedział.

- Jeśli mi go dacie pod opiekę dopilnuję, aby nie wykraczał on więcej przeciw prawu Francji.

Jacot potrząsnął przecząco głową.

- To być nie może - odparł. - Muszę go zabrać ze sobą.

Zostanie osądzony sprawiedliwie i bezstronnie przez trybunał francuski. Jeżeli się okaże niewinnym, odzyska

wolność.

- Jeśli zaś dowiodą mu winy? - zagadnął Arab.

- Oskarżony jest o wiele morderstw. Gdy dowiodą mu popełnienia choćby jednego, będzie musiał umrzeć.

Lewa ręka Araba ukryta była pod burnusem. Wyciągnął

ją teraz, pokazując dużą sakiewkę, ciężką od

wypełniających ją pieniędzy. Otworzył ją, wysypując garść

jej zawartości na prawą rękę. Były to monety z najlepszego

francuskiego złota. Jacot wywnioskował z rozmiarów i z

grubości sakiewki, że zawierała ona niemały skarb. Szejk

Amor Ben Khatour wrzucił wszystkie monety, jedną po

drugiej do wnętrza woreczka, zaciskając mocno rzemyki.

Przez cały ten czas milczał zawzięcie. Jacot bacznie mu się

przyglądał. Byli sami. Sierżant oddalił się nieco,

odwróciwszy się do nich plecami. Szejk, schowawszy

pieniądze, wyciągnął sakiewkę w stronę kapitana.

- Ahmed Ben Hadin, mój siostrzan, będzie mógł uciec tej

nocy, he? - zapytał.

Francuz zaczerwienił się po uszy. Następnie zbladł i

postąpił krok w stronę Araba z zaciśniętymi pięściami.

Nagle pohamował swój popęd:

- Sierżancie! - zawołał.

Podoficer pośpieszył do niego, salutując na baczność.

- Zaprowadź tego czarnego psa do jego bandy - rozkazał.

- Pilnuj, ażeby stąd natychmiast odjechali. Zastrzelić

każdego obcego, który by włóczył się w bliskości obozu tej nocy.

Szejk Amor wyprostował się. Jego źrenice przymrużyły się złośliwie. Podniósł woreczek ze złotem do oczu francuskiego oficera.

- Zapłacisz więcej, niż zawartość tej sakwy, za życie mego siostrzana - rzekł. - Drugie tyle za obelżywe przezwisko, które mi dałeś, a na dokładkę zapłacisz potrójnie własną zgryzotą i zmartwieniem .

- Precz stąd! - ryknął kapitan. - Precz! Zanim cię wyrzucę siłą!

Wszystko to zdarzyło się na sześć lat przed rozpoczęciem naszego opowiadania. Wyrok wykonany na Ahmedzie Ben Hadinie i jego współnikach jest zapisany w aktach, możecie to sprawdzić, jeśli chcecie. Poniósł on śmierć, na jaką zasługiwał, ze stoicyzmem Araba.

W miesiąc później mała Jania, czteroletnia córeczka kapitana Armanda Jacota, zniknęła w tajemniczy sposób.

Ani bogactwa rodziców, ani potężne środki wielkiej Rzeczypospolitej nie zdołały wydrzeć niezbadanej pustyni tajemnicy jej zniknięcia.

Za odnalezienie dziecka wyznaczona została tak wielka nagroda, że wielu awanturników znęconych tą sumą,

rozpoczęło poszukiwania. Nie było tu wcale pola dla współczesnych, cywilizowanych detektywów, mimo to jednak wielu z nich rzuciło się do szukania dziecka, kości niektórych zbiegła już od żaru słońca na milczących piaskach Sahary.

Dwaj Szwedzi, Karl Jenssen i Sven Malbihn, po trzech latach szukania malej po fałszywych śladach, wyrzekli się w końcu całej imprezy i postanowili zająć się korzystniejszym dla nich zdobywaniem kości słoniowej. Na wielkiej przestrzeni znani już byli ze swego okrucieństwa i chciwości w poszukiwaniu cennego towaru. Tubylcy lękali się ich i nienawidzili szczerze. Rządy europejskie, na terytoriach których operowali, szukały ich od dawna, dwaj wspólnicy jednakże nauczyli się wiele przez swój długi pobyt na tajemniczym południu Sahary; rabowali możliwie wielką ilość kości słoniowej, wykradając ją koczowniczym plemionom lub zabijając napotykaną na drodze słonie. Uciekali potem, pędząc niby wiatr pustynny, szlakami nieznanymi ścigającej ich pogoni.

Drużyna ich składała się ze stu albo więcej Arabów i niewolników Murzynów, rzezimieszków, jak i sami ich przywódcy. Zapamiętajcie ich dobrze: Karla Jenssena i Swena Malbihna, dwóch żółtobrodych Szwedów, o wzroście olbrzymów, gdyż przyjdzie wam jeszcze spotkać

się z nimi.

W samym sercu dżungli, nad nie znanym jeszcze podróżnikom dopływem wielkiej rzeki wpadającej do Atlantyku, leżała maleńka wioska, otoczona mocnym ostrokołem. Dwadzieścia chat palmowych w kształcie uli służyło Arabom za schronienie, handlującym kością słoniową i dostarczającym dwa razy do roku towar na rynek Timbaktu.

Przed jednym z namiotów bawiła się dziesięcioletnia dziewczynka, o kruczych włosach i czarnych oczach. Jej orzechowa cera i pełna wdzięku postać czyniły z niej prawdziwą córę pustyni. Drobne paluszki były pilnie zajęte wyplataniem z traw spódniczki dla bardzo zniszczonej lalki, którą poczciwy niewolnik sporządził jej przed paru laty. Głowa lalki była wyciosana z kości słoniowej, korpus stanowiła skóra szczura wypchana trawą. Za ręce i nogi służyły kawałki drzewa przytwierdzone do korpusu za pomocą wywierconych w nich otworów. Lalka była szkaradna, wymiętoszona i wybrudzona, Meriem jednakże uważała ją za najpiękniejszą rzecz na całym świecie, w czym nie ma nic dziwnego, lalka bowiem była jedynym przedmiotem, któremu mogła okazać swoją miłość. Wszyscy inni, z którymi miała do czynienia, byli względem niej, prawie że

bez wyjątku, obojętni lub okrutni. Czarna Mabunu, stara, bezzębna baba, która się nią opiekowała, zawsze brudna i opryskliwa, nie omijała nigdy sposobności, aby szturchnąć dziewczynkę lub uszczypnąć ją boleśnie, dwa razy nawet przypiekła jej delikatne ciało żarzącymi się węglami.

Ojca swego, starego szejka, lękała się więcej jeszcze, niż starej Mabunu. Często lajał ją bez powodu, przypieczętowując napomnienie bolesnymi razami, pozostawiającymi liczne sińce na jej ciele.

Czuła się dopiero szczęśliwa, gdy zostawała sama z Geeką. Stroiła kwiatami włosy lalki, wyplatała dla niej sukienki z traw. Zawsze była czymś zajęta i zawsze wesoło nucila, gdy tylko znajdowała się sama.

Żadne okrucieństwa nie zdołały zabić wrodzonej radości i słodyczy, którymi przepelnione było jej małe serduszko.

Tylko w obecności szejka była spokojna i milcząca. Lękała się go strachem nieomal histerycznym. Bała się również ponurej dżungli, otaczającej małą wioskę: gwaru małp, wrzasku ptaków w ciągu dnia, dolatujących w nocy złowrogich pomruków, ryku i wycia drapieżnych zwierząt.

Tak, niewątpliwie bała się dżungli, ale strach jej przed szejkiem był stokroć większy i nieraz już w głowinie dziecka powstawał zamiar ucieczki w okropną dżunglę, aby uniknąć obcowania z tym przerażającym człowiekiem,

jej ojcem.

Gdy tak siedziała przed namiotem owego popołudnia, strojąc swoją lalkę, stary szejk ukazał się niespodzianie przed nią. Wyraz rozbawienia zniknął z twarzy dziewczynki, usunęła się na bok z drogi groźnego Araba, nie uczyniła jednak tego w porę.

Stary brutalnym kopnięciem powalił ją na ziemię, leżała cichutko, nie płacząc, tylko drżąc z przerażenia.

Arab wszedł do namiotu, miotając przekleństwo, czarownica Mabunu zaśmiała się na to rozradowana, ukazując jedyny osamotniony ząb.

Skoro upewniła się, że szejk już odszedł, dziewczynka zacięła się pod zewnętrzną ściankę namiotu i leżała tam, tuląc Geekę do piersi, drobną postacią wstrząsały gwałtowne, tłumione łkania. Nie śmiała płakać głośno z obawy, aby szejk jej nie posłyszał. Rozpacz małego serduszka była spowodowana nie tylko bólem fizycznym, ale stokroć dotkliwszym cierpieniem, tęsknotą do ciepła, miłości rodzicielskiej i wielką potrzebą kochania.

Mała Meriem nie miała prawie innych wspomnień, prócz okrutnej surowości szejka i starej Mabunu. Majaczyła jej co prawda w pamięci promienna postać matki, dziewczynka jednakże nie była pewna, czy nie był to raczej wytwór jej wyobraźni. Nie było chyba dziecka równie

rozpieszczonego jak Geeka. Jej mała mateczka, nie biorąc przykładu z zachowywania się ojca i piastunki względem mej samej, posuwała swoją pobłażliwość do ostatnich granic. Geeka była obcałowywana po tysiąc razy na dzień.

Czasami wypadło w zabawie, że lalka bywała niegrzeczna, jej mamusia jednakże nie karała jej nigdy, pieszcząc ją tylko i pocieszając, przejęta nienasyconym pragnieniem miłości.

Teraz, 'tuląc Geekę do siebie, czuła pewną ulgę w smutku. Łkania jej cichły, w końcu zdołała zapanować nad sobą i jęła wylewać swe żale do kościanego uszka milczącej powiernicy.

- Geeka kocha Meriem - szeptała. - Czemu szejk, mój ojciec, nie kocha mnie również? Czyż jestem taka niegrzeczna? Staram się być grzeczną, ale nigdy nie rozumiem, dlaczego mnie bije, me rozumiem, co takiego robię, że go ciągle gniewam. W tej chwili kopnął mnie Geeko tak boleśnie tylko dlatego, że robiłam dla ciebie sukienkę. To musi być chyba coś złego, bo przecież nie kopnąłby mnie za to. Ale dlaczego to ma być złe, Geeko? Nie wiem, nie wiem dlaczego?! Geeko moja, chciałabym umrzeć! Wczoraj przynieśli z polowania zabitego El Adrea (lew po arabsku). El Adrea był martwy. Nie będzie już więcej polował na inne zwierzęta. Nie będzie straszył

swoim wielkim, grzywiastym łbem pijące u źródła gazele.

Jego ryk nie będzie już rozlegał się w dżungli. Bili jego ciało, kiedy go przynieśli do wioski, ale El Adrei było wszystko jedno, nie czuł uderzeń, bo nie żył. Kiedy umrę, Geeko, nie będę czuła uderzeń Mabunu, ani kopania mego ojca. Wówczas będę szczęśliwa. Ach, Geeko! Jakżebym chciała umrzeć!

Jeśli Geeka miała zamiar odpowiedzieć dziewczynce, to przeszkodził jej w tym głośny spór, toczony u bram wioski. Meriem ją uważnie nadsluchiwać. Z dziecinnej ciekawości chciała pobiec tam i przekonać się, co spowodowało tę sprzeczkę, nie odważyła się jednak na to, lękając się spotkać tam szejka i zasłużyć znowu na bicie.

Leżała więc na swoim miejscu, nadstawiając ucha.

Posłyszała jak tłum mieszkańców wioski kroczy ulica, prowadząca do namiotu szejka. Nie mogła oprzeć się pokusie. Życie w wiosce było tak monotonne, że dziecko było chciwe nowych wrażeń, wychyliła tedy ostrożnie główkę, rozglądając się ciekawie. Spostrzegła dwóch cudzoziemców, białych ludzi, idących wśród gromady tubylców. Byli sami, jednakże z rozmowy towarzyszących im mieszkańców wioski dziewczynka zrozumiała, że mieli oni znaczny oddział ludzi, obozujących poza obrębem osady. Przychodzili targować się z szejkiem o kość

słoniową.

Stary Arab spotkał ich u progu namiotu. Jego oczy przymrużyły się złośliwie na widok przybyszów. Stanęli przed nim, wymieniając pozdrowienia. Przyjechali po kość słoniową, brzmiało ich wyjaśnienie. Szejk odburknął gniewnie, że nie ma tu kości słoniowej. Meriem, aż buzię otworzyła ze zdumienia. Wiedziała, że ogromne stosy cennego towaru były ukryte w bliskości namiotu.

Wysunęła nieco główkę, aby lepiej przypatrzeć się cudzoziemcom. Jakąż mieli bielutką skórę! Co za żółte, gęste, brody! Nagle jeden z nich zwrócił oczy w jej stronę. Starła się wycofać czym prędzej, bała się bowiem widoku ludzi, cudzoziemiec jednakże zauważył ją. Meriem spostrzegła wyraz głębokiego zdumienia, malujący się na jego twarzy.

Zdumienie to nie uszło baczności szejka, który odgadł co było jego przyczyną.

- Nie mam kości! - powtórzył. - Nie chcę mieć z wami stosunków, odejdźcie sobie precz. Precz stąd!

Wszedł z namiotu, wypychając cudzoziemców. Ociągali się nieco z wyjściem. Szejk zaczął im grozić.

Zatrzymywanie się byłoby szaleństwem z ich strony, toteż natychmiast opuścili wioskę, wracając do obozu.

Szejk zawrócił w stronę namiotu, zanim tam wszedł

jednakże, odszukał Meriem przyczajoną pod ścianą ze strachu. Schylił się nad nią i złapał ją za nogi, pociągnął do wejścia namiotu i wepchnął gwałtownie do wnętrza. Tam chwycił ją znowu, bijąc niemilosiernie.

- Siedź tutaj - zacharczał. - Nigdy nie pokazuj obcym oblicza. Gdybyś się jeszcze komu pokazała, zabiję cię na miejscu!

Wymierzywszy jej ostatnie uderzenie wepchnął dziewczynkę w odległy kąt namiotu, gdzie Meriem upadła, tłumiąc jęki. Szejk chodził po namiocie, mrużąc coś gniewnie. U progu siedziała Mabunu mamrocząc do siebie i śmiejąc się cicho.

W obozie cudzoziemców toczyła się ożywiona rozmowa.

- Nie może być co do tego wątpliwości, Malbihnie - mówił jeden z nich do towarzysza - najmniejszej wątpliwości. Nie pojmuję tylko, czemu ten stary lajdak nie zgłosił się dotychczas po nagrodę?

- Są dla Araba droższe rzeczy nad pieniądze, Jenssenie - odparł tamten - a jedną z nich jest zemsta.

- Nie zaszkodzi w każdym razie wypróbować potęgi złota - stwierdził Jenssen. Malbihn wzruszył ramionami.

- Nie na szejku - rzekł. - Można by spróbować zjednać sobie którego z jego podwładnych, szejk jednakże nie wyrzeknie się zemsty dla złota. Ofiarowując mu pieniądze,

**potwierdzimy tylko jego podejrzenie, żeśmy poznali
dziecko, stojąc przed namiotem, wówczas nic nas nie
obroni przed jego gniewem.**

- Spróbujmy zatem przekupstwa - zgodził się Jenssen.

Próba ta jednakże zawiodła w zupełności.

**Jeden z ludzi szejka, któremu znaną była skuteczna moc
złota, zamieszkiwał bowiem ongiś na wybrzeżu, dał się
skusić nadzieją zarobku obiecując Szwedom dostarczyć im
dziecko późną nocą.**

**Zaledwie się ściemniło, biali przygotowali się do zwinięcia
obozu.**

**Tragarze leżeli przy pakunkach, gotowi do podchwycenia
ich na umówione hasło. Uzbrojeni Askarowie obchodzili
obóz mając ułatwić odwrót, skoro tylko przekupiony Arab
dostarczy łupu oczekiwanego przez białych dowódców.**

**Odgłos kroków rozległ się na ścieżce prowadzącej z wioski
do obozu. Jenssen wysunął się naprzód, zapytując szeptem
nowo przybyłych:**

- Kto tam?

- Mbeeda - zabrzmiała odpowiedź.

**Było to imię przekupionego zdrajcy. Odpowiedź ta
zadowolila Jenssen, chociaż zdziwił się dlaczego Mbeeda
przyprowadził z sobą innych. Niebawem zrozumiał tego
przyczynę. To, co przynosili, leżało na noszach,**

dźwiganych przez dwóch ludzi. Jenssen zaklął cicho.

Czyżby ten głupiec przynosił im trupa? Zapłacili wszakże za żywą istotę? Tragarze stanęli przed białymi ludźmi.

- Oto, co kupiło wasze złoto - rzekł jeden z nich.

Postawiwszy nosze oddalili się w stronę wioski znikając w ciemnościach. Malbihn spojrział na Jenssena. Szyderski uśmiech wykrzywił mu usta. Nosze były przykryte prześcieradłem.

- No! - zawołał Jenssen. - Podnieś zasłonę i zobacz coś kupił. Możemy się zaiste spodziewać wielkiej nagrody za trupa.

- Ten idiota powinien był wiedzieć, żeśmy ja chcieli dostać żywą - mruknął Malbihn, chwytając za rąbek prześcieradła i zrywając je nagłym ruchem.

Obaj towarzysze cofnęli się miotając przekleństwa. Na noszach leżał trup zdradliwego Mbeedy.

Pięć minut później cały oddział, z Malbihnem i Jenssenem na czele, spieszył gorączkowo na wschód, lękając się spodziewanej lada chwila napaści.

ROZDZIAŁ VI

W DŻUNGLI

Pierwsza noc, spędzona w dżungli, pozostała na zawsze w pamięci syna Tarzana. Nie zauważył dzikich zwierząt w pobliżu, być może, iż zanadto był przejęty własnymi

myślami, aby zdawać sobie sprawę z ich obecności.

Sumienie dręczyło go na myśl o cierpieniu zadanym matce.

Nie czynił sobie już wyrzutów z powodu śmierci

Amerykanina. Łotrzyk ów zasłużył przecie na to, co go

spotkało. Jack żałował tego co się stało głównie z powodu

skutków, jakie z tego wynikły. Teraz nie mógł już powrócić

do rodziców tak, jak to sobie układał z początku. Lęk

przed dzikimi mieszkańcami wybrzeża, wzbudzony

czytaniem fantastycznych przygód, wepchnął go jako

zbiega w czeluście dżungli. Nie śmiał powrócić do tej samej

miejsowości, nie tyle ze strachu przed karą, jaka go tam

czekała, ile z chęci oszczędzenia ojcu i matce zmartwienia i

hańby, spowodowanej sponiewieraniem w procesie o

zabójstwo nieskalanego dotąd nazwiska.

Z brzaskiem dnia nowa otucha wstąpiła w chłopca.

Promienie wschodzącego słońca wzniciły nadzieję w jego

sercu. Powróci inną drogą w cywilizowane kraje. Nikt się

nie domyśli, że miał on coś wspólnego z zamordowaniem

cudzoziemca w odległym porcie Afryki.

Chłopiec przesiedział bezsenłą noc, przytulony do małpy,

na gałęzi drzewa. Lekka pidżama nie wiele go

zabezpieczała przed przejmującą wilgocią dżungli i tylko z

jednej strony udzielało mu się nieco ciepła, od kosmatego

towarzysza. Powitał tedy słońce, rozdawcę ciepła i światła,

blogosławione słońce, leczące dolegliwości fizyczne i

rozpraszające duchowe troski. Rozbudził Akuta.

- Chodź - rzekł mu - jestem zgłodniały i zziębnięty,

będziemy szukali pożywienia w tej stronie - tu wskazał

ręką otwartą płaszczyznę, na której widniały gdzieś

zębate skały i karłowate drzewa.

Mówiąc tak, chłopiec ześlizgnął się z drzewa na ziemię,

małpa jednakże rozejrzała się najpierw uważnie, węsząc

na wszystkie strony. Upewniwszy się, że na razie żadne

niebezpieczeństwo nie grozi im w pobliżu, Akut z wolna

zsunął się z drzewa.

- Numa i Sabora, jego samica, raczą się tymi, którzy

pierwej wychodzą z kryjóWKi, a rozglądają się dopiero

później, ci zaś, którzy rozglądać się zwykli przed wyjściem

na widownię, spokojnie cieszą się życiem - tak brzmiała

pierwsza nauczka, z dziedziny życia w dżungli, udzielona

chłopcu przez starą małpę.

Szli razem szybko przez równinę, chłopiec bowiem pragnął

się rozgrzać. Małpa pokazywała mu najlepsze miejsca do

wykopywania robaczków i glist, Jack jednakże wzdrygnął

się na samą myśl polykania tych obrzydliwosci. Znaleźli

kilka ptasich jaj, chłopczyk wypił je na surowo, ssal

również korzonki roślin i cebulki, które Akut wygrzebywał

dla niego. W niewielkiej rozpadlinie znaleźli mętną,

cuchnącą wodę. Dookoła znać było ślady kopyt rozlicznych zwierząt, stado zebra pierzchnęło szybko na ich widok.

Chłopiec był zbyt spragniony, aby wybredzać co do czystości i świeżości wody, napił się więc do woli, podczas gdy Akut stał z podniesioną głową, czujny na mogące zjawić się niebezpieczeństwo. Zanim z kolei sam przystąpił do picia, przestrzegał chłopca, aby czuwał, zaś chlepcząc wodę podnosił co chwila głowę i rzucał szybkie spojrzenia na gęste krzaki, rosnące nieco dalej, po drugiej stronie rozpadliny. Skoro ugasił pragnienie, wstał, przemawiając do chłopca gwarą wielkich małp.

- Czy nic nam nie grozi? - zapytał.

- Nie - odparł chłopiec. - Nic nie mogłem dostrzec, podczas gdy piłeś wodę.

- Twoje oczy nie na wiele przydadzą ci się w dżungli - zauważył Akut. - Gdybyś chciał tu pozostać, liczyć musisz na twoje uszy i na nos, najwięcej zaś na nos. Skorośmy tu przyszli i zobaczyłem pierzchające na nasz widok zebry, wiedziałem, że po tej stronie wody nic nam nie grozi, gdyż inaczej zebry byłyby uciekły wcześniej], jednakże niebezpieczeństwo może być ukryte po tamtej stronie, w którą teraz wieje wiatr. Nie można było nic zwęszyć, wiatr bowiem unosi wszelki zapach w przeciwnym kierunku, wysłałem więc moje oczy i uszy za pędem wiatru, tam,

gdzie mój węch nie trafi.

- I nie znalazłeś nic? - zaśmiał się chłopiec.

- Ujrzałem Numę, leżącego w krzakach, tam kędy rosną te wysokie trawy - wskazał Akut.

- Lwa? - wykrzyknął chłopiec. - Skądże masz tę pewnośc?

Ja dotychczas nic nie widzę.

- A jednak Numa tam jest - powtórzyła małpa. - Najpierw posłyszałem jego westchnienie. Ty nie rozróżniasz jeszcze westchnienia Numy od szumu wiatru, przelatującego wśród drzew i trawy, musisz się z czasem tego nauczyć.

Następnie, wysyłając na zwiady spojrzenie, spostrzegłem wysokie trawy, poruszane w pewnym punkcie przez siłę niezależną od wiatru. Spójrz no, jak się ułożyły one z każdego boku wielkiego cielska Numy. A gdy lew oddycha, czy widzisz, jak się trawy wznoszą z lekka? Zobaczyłeś nareszcie?

Jack wytężył wzrok, bystrzejszy niż u innych chłopców w jego wieku, i zawołał z uczuciem ulgi:

- Tak, widzę, leży tam! - tu wskazał ręką. - Łeb ma zwrócony w naszą stronę. Czy on nas widzi?

- Numa nam się przypatruje - odparł Akut - nic nam jednak nie grozi, o ile się do niego bardzo nie zbliżymy, leży on bowiem na świeżo zdobytym łupie. Brzuch ma już napelniony, inaczej bowiem słyszelibyśmy, jak chrupie

kości ofiary. Patrzy się na nas z ciekawości. Niebawem

wstanie i podejdzie do rozpadliny, aby się napić wody.

Ponieważ ani się nas lęka, ani nas pożąda, nie będzie się

przed nami ukrywał. Masz doskonałą sposobność, aby

dobrze przyjrzeć się Numie, będzie ci to potrzebne podczas

twojego pobytu w dżungli, Numa daje nam spokój. Nasze

kły są duże i mocne i możemy walczyć, ale gdyby spotkał

jednego z nas, a był do tego głodny, z łatwością każdą

pokona swoją siłą. Chodź, staniemy z tyłu za nim, ażeby

poczuć jego zapach. Im prędzej się nauczysz rozeznawać tę

woń, tym lepiej, pozostawaj jednak w pobliżu drzew, aby

móc się na które schronić w razie potrzeby, gdyż Numa

często zrobi to, czego by się nie można spodziewać!

Baczność! Oczy i uszy otwarte, nos do góry! Pamiętaj, że

spod każdego krzaka, zza każdego drzewa, z każdej kępy

traw w dżungli, wyłonić się może nowy wróg. Podczas gdy

unikasz Numy, nie wpadnij w paszczę Sabory, jego samicy.

Chodź za mną - tu Akut ruszył z miejsca, okrążając

ostrożnie rozpadlinę wody i ukryte w krzakach legowisko

lwa.

Chłopiec szedł w ślad za nim, cały podniecony, pod

wplywem nieznanego dotychczas wzruszenia. To było

dopiero życie! Zapomniał w owej chwili o swoim

postanowieniu udania się na wybrzeże i szukania

sposobności powrotu do Londynu. Myślał tylko o rozkoszy przebywania w dżungli, o walce z niebezpieczeństwem, czyhającym z czeluści dziewiczych lasów, z szerokich łąk niezbadanego łądu. Obca była mu trwoga, odziedziczył tylko po ojcu poczucie honoru i wrażliwość na zło i dobro, które to uczucia, nieraz w przyszłości, miały staczać walkę z pragnieniem swobody w jego duszy.

Znajdowali się już niedaleko od kryjówki Numa, gdy chłopca doleciała niemila, ostra woń drapieżnika. Uśmiech rozjaśnił twarz Jacka, czuł dobrze, iż byłby rozpoznał ten zapach wśród tysiąca innych woni, nawet bez pomocy Akuta. Zapach ów był mu dziwnie znajomy, przejmował go dreszczem dzikiego szału, mięśnie jego wyprężyły się, wargi rozchyliły się ukazując białe zęby, krew zatętniła w żyłach namiętnym pragnieniem walki.

Tak to zapach lwa-Numy przeistoczył chłopca w pierwotną istotę, rządzoną nieomylnym instynktem.

W swoim życiu Jack nigdy nie widział żywego lwa, matka starannie chroniła go przed tym widokiem, przypatrywał się za to chciwie wszystkim obrazkom przedstawiającym króla zwierząt, i teraz, stąpając w pewnej odległości za Akutem, pragnął, aby Numa wyszedł z ukrycia i przedstawił się w całej okazałości.

Przeraźliwy krzyk małpy ocknął go ze stanu podniecenia;

zwracając głowę w stronę towarzysza, chłopiec spostrzegł stojącą przed nim na ścieżce wspaniałą lwicę, wylaniającą się z kępy krzewów, w których zapewne spoczywała. Jej okrągłe, żółtozielone źrenice spoglądały przenikliwie w oczy chłopca. Dzielila ich przestrzeń zaledwie dziesięciu kroków. Wielka małpa stała opodal za lwicą, wyjąc przestrogi dla chłopca i syjąc obelgi lwicy, w nadziei odwrócenia jej uwagi od Jacka.

Sabora jednakże niewiele sobie robiła z wrzasków małpy.

Wzrok miała wlepiony w chłopca, który stojąc pomiędzy nią a samcem, wzbudzał w niej podejrzenia. Kto wie, jakie miał zamiary względem jej pana lub wobec ich świeżo upolowanego łupu? Lwica nie odznaczała się cierpliwością, drażniło ją wycie Akuta, wydając tedy groźny pomruk, postąpiła krok naprzód ku nieznannej zwierzynie.

- Na drzewo! - wrzasnął Akut.

Chłopak zawrócił ze ścieżki szybko biegnąc i w tej samej chwili lwica rzuciła się do ataku. Rozłożyste drzewo rosło opodal, Jack jednym susem uchwycił się jednej z gałęzi, zawieszając się na niej, niby małpa; lwica skoczyła w ślad za nim. Wielka łapa musnęła go pazurami, zdzierając zeń dolne ubranie. Na wpół nagi chłopiec wdrapał się wyżej, znajdując bezpieczne schronienie, podczas gdy Sabora silila się na ponowny skok. Akut, siedząc na innym

drzewie, urągał lwicy wymyślając coraz to nowe
przezwiska. Chłopiec, naśladowując swego opiekuna, drażnił
ją w ten sam sposób, wreszcie ją oblamywał gałęzie i
rzucił z zapalem w Saborę. Nie domyślał się nawet, jak
bardzo podobny był w owej chwili do swego ojca Tarzana,
który dwadzieścia lat temu tak samo sprzeciwiał się
drapieżnym kotom w dżungli.

Lwica kręciła się jeszcze przez chwilę koło pnia drzewa,
wreszcie - widząc bezskuteczność swoich wysiłków lub też
pobudzona głodem - opuściła z wolna plac boju znikając w
krzakach, gdzie leżał ukryty jej władca, który przez cały
czas zamieszania nie pokazał się wcale.

Akut i Jack zsunęli się na ziemię, aby podjąć przerwana
wędrówkę. Stara małpa lajała chłopca za nieopatrność.

- Gdybyś nie był tak zajęty obecnością lwa, byłbyś
zauważył lwicę daleko prędzej.

- Przecież ty przeszedłeś mimo niej, nie zauważywszy jej
wcale - odciął się chłopak.

Akut czuł się przygnębiony.

- Oto jaki koniec - rzekł - oczekuje mieszkańców dżungli.

Zachowujemy ostrożność przez całe lata, aż tu raptem
jedno zapomnienie i wszystko przepadło! - Tu zgrzytnął
zębami, odtwarzając szczękami ruch lwa szarpiącego ciało
zdobytej zwierzyny. - Jest to dobra nauczka - zakończył. -

Przekonałeś się, że w dżungli nie należy wyęźać sluchu, wzroku i powonienia zbyt długo w jednym kierunku.

Tej nocy zimno dało się dotkliwie odczuć synowi Tarzana.

Spodenki, zerwane z niego przez lwicę, nie były co prawda wielkim zabezpieczeniem, w każdym razie stanowiły pewną ochronę. Nazajutrz za to spiekł się na słońcu, droga ich bowiem prowadziła przez rozległe, otwarte równiny.

Chłopiec żywił ciągle zamiar udania się na południe, stamtąd bowiem było łatwiej dostać się na wybrzeże i natrafić na jakieś ślady cywilizacji. Nie wspominał o tym Akutowi, wiedząc, że małpa doznałaby wielkiej przykrości na samą myśl o rozłączeniu.

Wędrowali tak przez cały miesiąc. Chłopiec szybko przyswajał sobie prawa dżungli, a jego mięśnie przyzwyczajały się do nowego rodzaju życia. Odziedziczył po ojcu siłę fizyczną, niepospolitą zwinność i sprężystość ruchów. Z łatwością nauczył się przeskakiwać z jednego drzewa na drugie, najwyższe szczyty nie sprawiały mu zawrotu głowy i wkrótce przewyższył w tej sztuce ociężałego przez wiek Akuta.

Jego biała, delikatna skóra nabrała brązowego połysku od żaru słonecznego, stwardniała od wiatru, zahartowała się w bezpośrednim zetknięciu z przyrodą. Pewnego razu, używając wraz z Akutem kąpeli w strumieniu, w którym

woda była zbyt płytka, by służyć za mieszkanie

krokodylom, Jack zdjął swoją koszulkę, zawieszając ją na gałęzi. Jakaś obca małpa, przypatrująca się im, pochwyciła tę ostatnią pamiątkę cywilizacji i umknęła z nią w głąb puszczy.

Jack rozgniewał się w pierwszej chwili, niebawem jednak przekonał się, że o wiele gorzej jest być na wpół ubranym, niż być zupełnie nagim. Wkrótce przestał zupełnie odczuwać brak odzienia i rozkoszował się tą niezrównaną swobodą. Nieraz uśmiechał się sam do siebie na myśl o zdumieniu swoich rówieśników, gdyby go teraz zobaczyli. Zazdrościliby mu z pewnością. I to jak jeszcze! Chwilami odczuwał dla nich współczucie, lecz gdy pomyślał o wygodach otaczających ich w Anglii, o szczęściu, jakiego doznają w domach rodzicielskich, przykre uczucie chwytало go za gardło i przez mgłę załzawionych oczu widział ukochaną postać matki. Dlatego to popędzał Akuta w forsownym marszu na południe, małpa myśląc, że obrawszy ten kierunek łatwiej natrafią na jej rodzinne plemię, chętnie ulegała woli przyjaciela. Jack postanowił uświadomić Akuta o swoich zamiarach dopiero, gdy się znajdą w obrębie cywilizowanej strefy.

Pewnego dnia, gdy szli z biegiem jakiejś nieznannej rzeki, natrafili niespodzianie na wioskę dzikich tubylców.

Gromada dzieci bawiła się nad wodą, nieco dalej siedziało kilka żywo rozprawiających kobiet. Na ten widok zabiło mocniej serce chłopca, wszakże już z górą miesiąc jak nie oglądał ludzkiej twarzy! Nie przeszkadzało mu, iż byli to czarni i że nie mieli na sobie odzieży. Wszakże były to tak jak i on istoty stworzone na obraz i podobieństwo Boże!

Ruszył więc natychmiast ku nim. Akut próbował go zatrzymać, kładąc mu rękę na ramieniu. Jack jednak otrząsnął się zniecierpliwiony i zbliżył się do czarnej gromadki.

Na dźwięk jego głosu wszystkie główki zwróciły się ku niemu, kilka par oczu wlepilo w niego przerażone spojrzenie, a dzieci z okrzykami trwogi odbiegły pędem w stronę wioski. Za nim podążyły strwożone matki, a z bram wioski kilkunastu czarnych wojowników pośpieszyło na odsiecz; uzbrojeni byli w tarcze i włócznie, którymi groźnie potrząsali.

Na widok lęku jaki wzbudził, chłopiec stanął nieruchomy.

Wesoły uśmiech znikł z jego twarzy wobec mściwych okrzyków i groźnych gestów Murzynów. Akut, stojąc w tyle, wołał na niego, aby ustąpił z placu, gdyż czarni z pewnością go zabiją.

Jack stał przez chwilę czekając, aż zbliżą się do niego.

Podniósł rękę na znak, by się wstrzymali i zaczął im

tłumaczyć, że przyszedł jako przyjaciel, że chciał tylko pobawić się z dziećmi. Nie zrozumieli oczywiście ani jednego słowa z całej tej przemowy, widzieli tylko przed sobą nagie stworzenie, które wyskoczyło nagle z dżungli i napadło na kobiety i dzieci. W odpowiedzi skierowali ku niemu ostrza włóczy, nie trafiając go jednakże. I znowu krew zawrzała w chłopcu, dreszcz zemsty przeszedł mu po plecach, wzrok jego, przedtem pogodny i rozradowany, zapalał nienawiścią. Z przytłumionym mruknięciem, podobnym do pomruku zwierza, zawrócił pędem w stronę dżungli. Akut oczekiwał tam na niego, zachęcając do przyśpieszenia ucieczki, wiedział bowiem dobrze, że obaj bezbronni i nadzy nie oprą się skutecznie zemście czarnych wojowników, którzy będą ich zapewne szukali w dżungli. Nowe uczucie jednakże zawładnęło synem Tarzana. Pragnął powitać otwartym sercem ludzkie istoty, w których widział swych bliźnich, przyjęty zaś został przez nich włóczyniami i nawet go nie chcieli wysłuchać. Złość i nienawiść zapanowały w jego duszy. Pomimo nawoływań Akuta do pośpiechu, ociągał się naumyślnie z powrotem. Pożądał walki, choć rozsądek mówił mu, iż byłoby szaleństwem stanąć wobec uzbrojonych dzikich z gołymi rękami. Chłopiec zgrzytał zębami, błysnęła mu bowiem myśl, że jego zdrowe, ostre zęby stanowią mogą

niepospolitą broń.

Przerzucając się z wolna z gałęzi na gałąź, odwracał głowę nadsluchując, czy nie zbliża się pogoń, jednocześnie jednak bacznie zwracał uwagę na mogące mu grozić niebezpieczeństwa - przygoda z Saborą nie pozostała bowiem bez wrażenia. Wreszcie posłyszał wrzaski dzikich wojowników, szukających go zawzięcie, żaden z nich jednakże nie wpadł na pomysł wytropienia wroga wśród gałęzi drzew. Po godzinie bezowocnych poszukiwań dzicy zawrócili w stronę wioski. Teraz nadarzała się sposobność wyczekiwana przez Jacka, krew zawrzała w nim żądzą zemsty.

Rozejrzał się dokoła. Spostrzegł, że Akut, przekonany, iż przyjaciel podąża za nim, wyprzedził go znacznie i znikł mu sprzed oczu. Jack wtedy zaczął przeskakiwać z drzewa na drzewo w ślad za powracającymi wojownikami, aż wreszcie zauważył jednego z nich, który pozostał w tyle, w znacznej odległości od towarzyszy. Nienawiść wykrzywiła twarz chłopca, dogonił Murzyna i nagłym skokiem, przypominającym skoki Szity-pantery, rzucił się na swą ofiarę.

Nagle i niespodzianie ścisnął za gardło Murzyna, który pod ciężarem ciała Jacka upadł bezsilnie na ziemię. Ostre, białe zęby wpiły się w szyję dzikiego, nadaremnie próbującego

się wydrzeć z kleszczy żyłastych palców milczącego

napastnika, który, po chwili, sprawnie i szybko zawlókł w

krzaki bezwładnego już trupa.

ROZDZIAŁ VII

SPOTKANIE Z BIAŁYMI LUDŹMI

Akut, zauważywszy nieobecność Jacka, zawrócił z drogi,

by go odnaleźć. Niebawem ujrzał dziwaczną postać, dążącą

ku niemu. Z trudnością rozpoznał chłopca przystrojonego

w ozdoby dzikiego wojownika: z tarczą, zwieszającą się

przez plecy, trzymającego włócznię i opasanego kolorową

szmatą, na rękach miał miedziane i żelazne obręcze, z

których ogołocił swoją ofiarę.

Skoro chłopiec spostrzegł Akuta, pośpieszył ku niemu,

pokazując mu zdobycz wojenną. Opowiedział mu przy tym

cały przebieg walki.

- Zamordowałem go własnymi rękami i zębami - rzekł. -

Chciałem się z nimi zaprzyjaźnić, oni zaś przyjęli mnie jak

wroga. A teraz, gdy mam włócznię, pokażę i Numie, co

znaczy mieć we mnie przeciwnika! Tylko biali ludzie i

wielkie małpy są naszymi przyjaciółmi, Akucie. Ich tylko

będziemy szukali, innych musimy mordować. Tegom się

nauczył w dżungli.

Okrążyli nieprzyjazną wioskę i wędrowali dalej w stronę

wybrzeża. Chłopiec pysznił się wielce swoją bronią i

nowymi ozdobami. Ćwiczył się ciągle w używaniu włóczni, ciskając ją do celu całymi godzinami, wkrótce doszedł do takiej doskonałości, na jaką stać było jego wytrzymałe, sprawne mięśnie. Akut był mu cennym przewodnikiem i mistrzem. Każdy szlak w dżungli stanowił otwartą księgę, w której przenikliwe oczy chłopca czytały swobodnie.

Umiał już teraz trafnie rozróżniać obecność zwierząt tylko po ich woni, umiał węchem odgadnąć kryjówkę lwa, nawet w znacznej odległości.

Wiele z tych umiejętności wpoił w niego Akut, bardziej jednak kierował nim instynkt, odziedziczony po ojcu.

Wkrótce pokochał dżunglę; ciągła walka z otaczającymi go niebezpieczeństwami przemawiała do jego usposobienia, żadnego awanturniczych przygód. Jednakże pomimo to poczucie obowiązku i świadomość krzywdy, jaką wyrządził rodzicom swoją eskapadą, nie pozwalały mu zażywać w całej pełni przyjemności obcowania z przyrodą i wędrowania wśród nieznanymi okolic. Żył wtedy ciągle postanowienie dotarcia do najbliższego portu, skąd mógłby, porozumiewszy się z rodzicami, otrzymać fundusze na podróż do Londynu. Wówczas, był tego pewien, uda mu się ich przekonać, aby pozwolili mu spędzać choć parę miesięcy w owych dobrach w Afryce, z których posiadania ojciec zdradził się niejednokrotnie w

rozmowie z nim. Byłaby to już pewna wygrana dla niego:

choć trochę swobody z dala od krępujących więzów
cywilizacji!

Rad był na myśl, że zbliżają się do wybrzeża, a tym samym
i do powrotu w rodzinne strony; przy tym czuł wielką
tęsknotę do widoku białych ludzi, nieraz już bowiem
uprzykrzyło mu się obcowanie z samym tylko Akutem.

Wspomnienie złego przyjęcia, jakiego doznał u dzikich,
nappełniło go wstrętem do czarnej rasy, w której widział
teraz tylko swoich wrogów.

Mijały dni. Chłopiec rozwijał się coraz bardziej pod
względem siły fizycznej i zręczności, tak że nawet
flegmatyczny Akut dziwił się jego postępom. Chłopiec zaś,
zdając sobie sprawę ze swojej mocy, rozkoszował się nią,
stając się nieostrożnym. Wędrował po dżungli z dumnie
podniesioną głową, wyzywając niebezpieczeństwa. Gdy
Akut wskakiwał na drzewo, wyczuwając obecność Numy,
chłopak śmiejąc się zuchwale, przechodził śmiało tuż koło
króla zwierząt. Długi czas sprzyjało mu szczęście. Być
może, iż lwy, które spotykał, były syte lub tak zdumione
zuchwalstwem tej dziwnej istoty, wkraczającej w ich
państwo, że nie mogły się zdobyć w porę na jej
zaatakowanie, w każdym bądź razie chłopiec napotkał
kilka razy na swej drodze lwy, z których żaden się na niego

nie rzucił.

Zwierzęta jednak, tak jak ludzie, różnią się wzajemnie usposobieniem. I dlatego, gdy dziesięć lwów postąpi podobnie w takich samych okolicznościach, nie można twierdzić, że jedenasty pójdzie ich śladem. Lew jest zwierzęciem o bardzo wysubtelnionym systemie nerwowym, a co za tym idzie, obdarzony jest temperamentem, na który oddziałują warunki zewnętrzne. Pewnego dnia właśnie chłopiec spotkał takiego jedenastego lwa. Przechadzał się on po niewielkiej polance, porośniętej karłowatymi krzewami. Akut kroczył w tyle, po lewej stronie Jacka, który pierwszy spostrzegł obecność Numpy.

- Uciekaj, Akucie! - zawołał ze śmiechem młody zuchwalec.

- Numa leży w krzakach, tu blisko! Właź na drzewo! Ja, syn Tarzana, obronię cię - mówiąc to szedł dalej śmiało, zbliżając się do kryjówki Numpy.

Małpa rozpaczliwie wołała na niego, aby uciekał, Jack jednakże zrobił w powietrzu młynka włócznią, wykonując przy tym rodzaj wojennego tańca na znak, że drwi sobie z króla zwierząt. Coraz bliżej podchodził do legowiska lwa, wreszcie z nagłym, groźnym pomrukiem zwierz zerwał się na nogi i stanął, mierząc chłopca wzrokiem. Miał wspaniałą postawę ów władca dżungli i pustyni wzrost jego

był olbrzymi, gęsta grzywa spadała mu na grzbiet, ostre kły zdobiły jego potężne szczęki, żółtozielonawe oczy błyszczwały zajadłą nienawiścią.

Chłopiec trzymając włócznię w ręku, uświadomił sobie szybko, że ten lew nie jest zwykłym przeciwnikiem, teraz jednak był już za blisko zwierza, aby uciekać. Za lwem rosło kolczaste drzewo. Widok tego właśnie drzewa zrodził śmieszny, dziwaczny pomysł w głowie chłopca. Nie było czasu rozmyślać nad jego skutecznością, była to bowiem jedyna możliwość ratunku. Jeśli lew zaatakuje pierwszy, sposobność przypadnie, myśl ta lotem błyskawicy przemknęła przez mózg Jacka i, ku zdumieniu Akuta i Numy, chłopiec z wyciągniętą włócznią puścił się pędem w stronę lwa. Numa na mgnienie oka skamieniał, widząc śmiałość napastnika; z tej krótkiej chwilki skorzystał Jack, aby wykonać skok, którego nauczył się w szkole na lekcjach gimnastyki.

Pędził wprost na dzikiego zwierza, który stał wpatrując się weń, gotów powalić zuchwalca jednym uderzeniem swej potężnej łapy. Akut wydał rozpaczliwy okrzyk trwogi, Jack zaś nagle wbił włócznię w ziemię i dał potężnego susa poprzez głowę lwa, chroniąc się na kolczaste drzewo, ocalony, choć cały podrapany.

Akut widział po raz pierwszy takie "salto-mortale" i

skakał teraz radośnie na drzewie, drwiąc z Numy, który spoglądał na swą niedoszłą ofiarę nieco przygnębiony porażką, co zaś do chłopca, to ten usiłował rozsiać się jak najwygodniej w swej kolczastej twierdzy. Wyszedł cało z niebezpieczeństwa, kosztem jednak wielkich cierpień.

Zdawało mu się teraz, że lew nigdy nie opuści swego stanowiska na czatach, jakoż rozjuszony zwierzę po godzinnym dopiero wyczekiwaniu pod drzewem, zdecydowało się odejść. Skoro już znaczna odległość oddzieliła go od Numy, Jack z trudem zsunął się z drzewa.

Był cały zakrwawiony.

Ślady okaleczenia nie zagoiły się szybko, zaś nauuczka otrzymana tego dnia na zawsze mu pozostała w pamięci, nigdy już więcej nie narażał się lekkomyślnie na niebezpieczeństwo i choć nieraz jeszcze w życiu ryzykował, czynił to tylko wówczas, gdy chodziło o dopięcie ważnego celu.

Przez kilka dni chłopiec wypoczywał leżąc, podczas gdy wierna małpa lizala mu rany w celu prędszego ich zagojenia.

Skoro już Jack wyzdrowiał, podjęli znowu wędrówkę w stronę wybrzeża, a w sercu chłopca powstało uczucie radosnego wyczekiwania.

Nadeszła wreszcie dawno wymarzona chwila. Pewnego

dnia, gdy przechodzili przez gęsty las, bystry wzrok chłopca odnalazł dawny już, ale dobrze zarysowany ślad białych, gdyż pomiędzy odciskami bosych nóg widniały również odciski europejskiego obuwia. Ślad ten rozciągnął się nieco więcej na północ od kierunku, w którym udawali się dwaj towarzysze.

Niewątpliwie ci biali ludzie znali drogę do najbliższej osady portowej. W każdym razie należało ich dogonić, bodajby dla przyjemności ujżenia znowu ludzkich twarzy. Chłopiec był cały podniecony nadzieją doścignięcia podróżników. Akut opierał się temu, nie pragnął wcale towarzystwa ludzkich istot, starał się tedy odwieść chłopca od tego zamiaru, tłumacząc mu, że wkrótce odnajdą swoje rodzime plemię, dla niego bowiem Jack, jako syn małpiego króla, był również małpą tylko o białej skórze. Obiecywał mu nawet, że z czasem i on zasiądzie na małpim tronie, chłopiec jednakże obstawał przy swoim, tłumacząc przyjacielowi, że musi spotkać się z białymi ludźmi i za ich pośrednictwem przesłać o sobie wiadomości rodzicom.

Akut słuchał jego dowodzeń i rozumiał, że młody towarzysz pragnie wrócić do swoich.

Myśl ta przejęła smutkiem starą małpę. Kochała ona chłopca tak, jak swego czasu kochała jego ojca, darząc go uczuciem bezwzględnej wierności i przywiązania. W

swoim małpim mózgu Akut układał sobie, że nigdy się nie rozłączy z Jackiem, obecnie widział, że jego pragnienie się nie ziści, pomimo to jednak pozostał wiernym i posłusznym.

Jack szedł naprzód wydeptanym przez białych szlakiem, towarzysz jego kroczył za nim niechętnie, przejęty smutkiem na myśl o ich bliskim rozłączeniu.

W kilka godzin później dotarli do celu. Jack ujrzał czarnych tragarzy omdlewających pod ciężarem pakunków, popędzali ich dwaj biali, olbrzymiego wzrostu mężczyźni o długich, żółtych brodach zwieszających się do pasa. Byli to najwidoczniej wodzowie karawany, oglądali się co chwila poza siebie, jak gdyby w obawie pościgu, smagając nielitościwie Murzynów, dźwigających pakunki, rzemiennymi pasami po nagiej skórze.

Na widok takiego okrucieństwa przyjazny okrzyk powitania zamarł na ustach Jacka, krew w nim zawrzała oburzeniem. Akut, zdumiony tą nagłą zmianą w przyjacielu, zapytał o przyczynę.

- To jacyś źli ludzie - objaśnił Jack - nie chcę mieć z nimi stosunków, co najwyżej mogę ich zapytać o drogę do najbliższego portu i rozejść się z nimi czym prędzej.

Jakoż wkrótce zrównał się z nimi z zamiarem zaczepienia jednego z czarnych przewodników, w celu zasięgnięcia

potrzebnych mu wiadomości. Jeden z białych ludzi,
odwróciwszy w tej samej chwili głowę, ujrzał chłopca.

Dziki okrzyk przerażenia wyrwał mu się z gardła; bez
namysłu wycelował z fuzji w stronę zdumionego Jacka.

Niebawem drugi brodacz i Murzyni jęli gorączkowo
strzelać do mniemanego napastnika, chłopiec jednak
zdołał schronić się za drzewo.

Paniczna ucieczka przed zemstą szejka poprzez obszary
dżungli tak wyczerpała nerwowo Karla Jenssena i Svena
Malbihna, że żyli oni w ciągłym podnieceniu, udzielającym
się całej karawanie. Byli ciągle pod grozą możliwej pogoni,
toteż widok nagiego, białego wojownika, wylaniającego się
z dżungli, którą co tylko opuścili, wytrącił Malbihna z
równowagi, zaś jego okrzyk i wystrzał pobudziły całą
bandę do gwałtownej obrony.

Skoro nieco ochłonęli z pierwszego wrażenia i jęli
zastanawiać się nad tym co zaszło, okazało się, że właściwie
jeden tylko Malbihn widział jakąś nieznaną postać.

Murzyni twierdzili co prawda, że widzieli dokładnie zjawę,
opowiadania jednakże każdego z nich bardzo się między
sobą różniły: jeden twierdził, iż tajemnicza istota była na
jedenaście stóp wysoka, a głowę miała słonia, inny, że byli
to trzech brodaci Arabowie. Jenssen, który nic nie widział,
okazywał pewne niedowierzenie.

Gdy jednak zdecydowali się odszukać sprawców zamieszania, nie znaleźli nikogo, Jack bowiem wraz z Akutem skryli się poza obrębem strzałów.

Chłopiec, przygnębiony i smutny, jeszcze nie otrząsnął się z wrażenia wrogiego przyjęcia, jakiego doznał od dzikich, a teraz biali ludzie, należący do jego rasy, przyjęli go z jeszcze większą nienawiścią.

- Mniejsze zwierzęta trwożą się na mój widok - szepnął do siebie - większe czyhają, aby mnie pożreć. Dzicy ludzie przywitali mnie najeżonymi włóczniami i celowali do mnie z luków, a teraz biali współplemieńcy strzelali do mnie i odpędzili mnie od siebie. Czy wszystkie stworzenia na świecie są moimi wrogami? Czy syn Tarzana nie ma innego przyjaciela prócz Akuta?

Stara małpa zbliżyła się do chłopca.

- Są jeszcze przecież małpy z mego plemienia - rzekła - one okażą się przyjaznymi dla mego przyjaciela. Tylko wielkie małpy potrafią uczcić syna Tarzana. Przekonałeś się, że ludzie nie chcą cię znać. Idźmy zatem odnaleźć nasze plemię.

Gwara wielkich małp złożona jest z gardłowych dźwięków, którym dopomagają liczne gesty i znaki, niepodobna jest przetłumaczyć jej dosłownie na ludzką mowę.

Obydwaj szli jakiś czas w milczeniu, chłopiec pogrążył się

w smutnej zadumie, myśli jego przesycone były nienawiścią i pragnieniem zemsty. Wreszcie przemówił pierwszy:

- Dobrze, Akucie, udajmy się do przyjaznego nam plemienia wielkich małp.

ROZDZIAŁ VIII

SPOTKANIE Z MAŁPAMI

Rok upłynął od czasu płochliwej ucieczki dwóch Szwedów

z dzikiej krainy, pozostającej pod władzą szejka. Mała

Meriem wciąż bawiła się z ulubioną Geeką, snując

nieuchwytnie marzenia o szczęściu: pragnęła znaleźć się

gdzieś daleko od ojca i starej Mabunu, na łące, do której

El Adrea nie miałby dostępu, tylko w towarzystwie Geeki.

Tam zrywałaby kwiatki, słuchałaby śpiewu ptasząt i

bawiłaby się z małymi, przyjaznymi małpkami.

Dziś właśnie dziewczynka budowała z gałązek namiot dla

lalki. Przed namiotem kilka płaskich kamyczków,

wydrażone łupinki orzechów i parę liści, przedstawiały

naczynia kuchenne, Geeka, oparta o pień drzewa, miała

przyrządzać obiad.

Meriem była tak pochłonięta zabawą i przestrogami,

udzielanymi lalce, że nie zauważyła, jak spomiędzy gałęzi

drzewa przyglądała się jej ciekawie para oczu, należących

do dziwnej istoty, która wymknęła się z czeluści dżungli.

Ta część wioski, w której przebywała dziewczynka, była prawie pusta po wyjeździe szejka, który udał się kilka tygodni temu na daleką wyprawę.

Dziecko rozkoszowało się swobodą, której niestety, nadchodził kres, gdyż o parę mil od wioski, szejka na czele karawany zdążył z powrotem na zwykłe leże, spieszenie przechodząc szlakiem dżungli.

*** * ***

Rok upłynął od czasu, gdy biali ludzie powitali chłopca salwą z karabinów, zapędzając go z powrotem do dżungli, na poszukiwanie wielkich małp, jedynych istot, których towarzystwa chciał teraz szukać. Przez dwa miesiące Akut i Jack szli ciągle na Wschód, zagłębiając się coraz dalej w dziewicze lasy. Przez ten rok chłopak zmężniał i wyrósł do niepoznaki. Silne z natury mięśnie zmieniły się w żelazne sprężyny, wszystkie zmysły wysubtelniały, wrodzony spryt i odwaga wzrosły w nim do wielkiej potęgi. Akut nauczył go sposobu walki małpich samców, pojętny uczeń znalazł w nim doskonałego nauczyciela. Wkrótce chłopiec z łatwością pokonywał w zapasach potężnego antropoida. Skóra lamparcia, zdobyta na samotnym, czarnym wojowniku zabłąkanym w dżungli, w którego piersi Jack zatopił ostrze swej włóczni, służyła chłopcu za ulubiony strój, przykrywający nagość jego chłopięcych kształtów.

**Nie czuł wyrzutów sumienia po tym postępku. Przejęty
prawem dżungli, umieszczał on swoje życie na jednym
poziomie z życiem czarnego wojownika, lwa czy bawołu, a
wtedy "silniejszy górą". Tym hasłem kierował się przyszły
lord Greystoke, walcząc o swój byt w ponurej dżungli i
starając się odnaleźć wśród ciągłych niebezpieczeństw ślad
wielkich antropoidów, na przyjaźń których liczył.**

**Wreszcie w głębi dżungli, niedostępnej dla ludzkiego oka,
natrafili na polankę w kształcie areny podobnej do tej. na
której przed laty ojciec Jacka brał udział w dziwacznej
ceremonii Dum-Dum.**

**Spali właśnie na gałęzi rozłożystego drzewa, gdy
przebudził ich odgłos, dochodzący z daleka, wydawany
przez bębnienie wielkich małp. Akut zrozumiał zaraz, co
znaczyły te dziwne dźwięki.**

**- Wielkie małpy! - zawarczał. - Wielkie małpy tańczą
Dum-Dum. Pójdź, Koraku, synu Tarzana, powitajmy
nasze plemię.**

**Akut od dawna już dał swemu towarzyszowi to
przezwisko, które w gwarze Wielkich Małp miało znaczyć
Mordercza Ręka, imię Jack bowiem było dla antropoida
zbyt trudne do wymówienia.**

**Korak, stanąwszy na gałęzi, rozprostował członki
opierając się o pień drzewa, promienie księżyca padały**

poprzez liściasty dach na jego smukłe, spalone ciało,
tworząc na nim jasne plamy.

Małpa powstała również, na wpół zgięta, w postawie
przybieranej zwykle przez wielkie antropoidy. Głuche
pomruki dobywały się z jej piersi: radości, wyczekiwania i
podniecenia, również chłopiec wtórował jej mrużąc.

Wreszcie Akut zsunął się z gałęzi na ziemię, za nim
zeskoczył Korak, obydwaj stanowili dziwny kontrast:
wysoka, zgrabna postać chłopca odbijała jaskrawo od
kosmatego, ciemnego kadłuba antropoida. Obydwaj
kroczyli teraz szybko w stronę polanki, z której dochodziły
ich dźwięki Dum-Dum. Chłopiec nucił sobie melodię,
zasłyszaną niegdyś w szkole, do której już nigdy nie miał
powrócić. Czuł się szczęśliwy i zaciekawiony. Chwila,
której tak wyczekiwał, zbliżała się nareszcie. Oto teraz był
już bliski celu wędrówki, powracał do swoich. W miarę jak
upływały miesiące, spędzane na obcowaniu z dziwami
natury, na coraz to nowych wrażeniach, zacierało się w
nim coraz bardziej wspomnienie rodzinnego domu, dawne
życie wydawało mu się tylko snem, zaś nadzieja dostania
się do wybrzeża i powrotu do cywilizacji wydawała mu się
miłym, ale na razie nieziszczalnym marzeniem.

W uniesieniu radości, trzasnął swego towarzysza po
głowie. Akut, na wpół z gniewem, na wpół zaś żartobliwie,

rzucił się na chłopca, wyciągając długie kosmate ręce, aby go pochwycić i, lyskając żółtymi kłami, rozpoczął walkę na żarty, ich ulubioną zabawę, w czasie której wzajemnie uczyli się od siebie różnych sztuczek i sposobów odpierania ciosów. Jack stosował w niej całe doświadczenie, zdobyte w szkole z kolegami, Akut zaś pokazywał Korakowi stare zasady, przekazane mu przez jego małpich przodków, w czym jednak antropoid nie mógł dorównać chłopcu, to w sztuce boksowania. Gdy w największym zapale walki Akut był obezwładniony uderzeniem pięści w brzuch lub biodra, wówczas tracił na dobre cierpliwość i przeciwnik mógł zostać okaleczony przez ostre kły małpy, gdyby nie jego nadzwyczajna zwinność, której dawał dowód, w porę zawsze odskakując i dając czas małpie ochłonąć z pierwszego porywu złości.

Dzisiaj jednak nie próbowali boksu, wytrwale szli naprzód, w kierunku warczenia bębnów Dum-Dum, które w miarę jak się przybliżali do celu, stawało się coraz wyraźniejsze. Mogli już teraz słyszeć pomrukiwania i ryki wielkich małp, tańczących przy świetle księżyca. Chłopiec drżał cały z radosnego podniecenia. Akutowi włosy na grzbiecie stawały dęba, tak to nieraz objawy radości bywają podobne do oznak gniewu.

W milczeniu skradali się przez zarośla dżungli, zbliżając

się do miejsca zebrania wielkich małp. Teraz torowali sobie drogę, przeskakując z drzewa na drzewo, i niebawem poprzez liście ujrzeli dziwaczny widok, roztaczający się przed nimi. Akut, jako dobrze z podobnymi obrzędkami obeznany, nie okazał zdumienia. Dla chłopca jednakże to, co widział, było nowością: krew w nim zawrzała, oczy rozszerzyły się z ciekawością. Wielkie samce tańczyły w świetle księżyca, wyskakując wokół dużego, glinianego bębna, w który uderzały miarowo długimi kijami, startymi od częstego użycia, trzy stare samice.

Akut, znając usposobienie i zwyczaje swojego szczepu, nie chciał zdradzić obecności swojej i chłopca, dopóki małpy nie ochłoną z podniecenia i tańca. Skoro ustanie warczenie bębna i małpy skończą biesiadę, wówczas je powita, rozmówi się z nimi, po czym przedstawi im Koraka, który wraz z nim zostanie przyjęty do ich grona. Niektóre małpy stawiają im może opór, ale siła jego i Koraka wystarczy, by rozgromić przeciwników.

Opiekun Jacka żywił nadzieję, że może niektóre z owych małp znały Tarzana podczas jego pobytu w dżungli; ta okoliczność byłaby im wielce pomocną w zaznajomieniu z nimi chłopca i w ziszczeniu największego pragnienia Akuta, aby uczynić Koraka królem małp.

Z trudnością udało mu się powstrzymać chłopca, który

pragnął natychmiast pobiec do nowych przyjaciół. Akut wiedział dobrze, iż postępek taki równałby się wyrokowi śmierci dla nich obu, ponieważ małpy, podczas swego dziwnego obrządku, wpadają w stan tak histerycznego uniesienia, że nawet silniejsi od nich drapieżnicy dżungli ustępują im z drogi.

W miarę jak księżyc zachodził, słabło warczenie bębna, wreszcie ostatnie dźwięki ucichły i małpy zabrały się do uczty.

Akut objaśnił Korakowi, że odbywał się właśnie u nich wybór nowego króla, otrzymującego zapewne władzę na skutek szczęśliwie popełnionego morderstwa, którym unieszkodliwił raz na zawsze słabszego rywala tak, jak to często zdarza się u ziemskich władców.

Skoro małpy nazały się do syta i niektóre z nich ułożyły się do snu na gałęziach drzew, Akut schwycił Koraka za ramię.

- Chodź - wyszeptał. - Idź za mną wolniutko, rób to, co Akut robi.

Zaczęli tedy z wolna przechodzić z drzewa na drzewo, wreszcie Akut zamruczał z cicha. Gromada małp zerwała się natychmiast na równe nogi; ich małe, dzikie ślepia rzucały niespokojne spojrzenia wokół polanki. Król małpi pierwszy spostrzegł dwie postacie, stojące na gałęzi. Wydał

złowrogi ryk i postąpił parę kroków w stronę nowo przybyłych, lypiąc złowrogo ślepiami. Za nim szły inne samce.

Przystanął w małej odległości od drzewa i tu jął mruzczyć zawistnie, kołysząc się na krótkich, łukowatych nogach.

Akut wiedział, iż stara się on wprawić w stan podniecenia, aby tym łatwiej mu przyszło zwyciężyć intruzów za jednym zamachem. Druh Jacka jednakże nie miał ochoty do walki, przyszedł przecie z chłopcem, aby zawrzeć przyjaźń z plemieniem małp.

- Jam jest Akut - rzekł. - Oto tu ze mną jest Korak. Korak jest synem Tarzana, który był królem małp. Ja również byłem królem małp, mieszkającym na ziemi otoczonej wielką wodą. Przyszliśmy z wami pędzić życie, polować z wami i pomagać wam w walkach. My wielcy łowcy, my potężni siłacze, pozwól nam obcować z wami w pokoju.

Król zaprzestał kołysania się z nogi na nogę. Przyjrzał się przybyszom uważniej, jego źrenice zaszły krwią, błyskały spod krzaczastych brwi nienawiścią i złością. Tylko co został obrany władcą i zazdrosny był o swoje królestwo.

Lękał się podstępu ze strony dwóch nowych małp: smukłe, gładkie ciało chłopca przypominało mu człowieka, a ludzi właśnie się obawiał, nienawidząc ich szczerze.

- Idźcie stąd precz! - zamruczał. - Idźcie precz, bo inaczej

zamorduję was bez litości!

Chłopiec, stojący za olbrzymim Akutem, trząsł się cały z radosnego podniecenia. Chciał zeskoczyć z gałęzi, stanąć między kosmatymi stworami, zapewniając ich o swoich przyjaznych uczuciach. Słyszając tedy słowa króla uczuł się mocno pokrzywdzony. Spodziewał się tu zgola innego przyjęcia. Oto czarni rzucili się na niego, wypędzając go ze swego grona, biali ludzie powitali go salwą karabinową, ostatnią nadzieję tedy pokładał w małpim plemienu.

Ogarnęła go zatem wielka złość i rozgoryczenie.

Małpi król znajdował się tuż pod gałęzią, na której stał Jack, inne małpy otaczały go, wyczekując dalszego przebiegu wypadków. Zanim Akut zdołał zatrzymać chłopca, ten zeskoczył z drzewa i stanął tuż przed królem, który w tej chwili właśnie pienił się z oburzenia nad zuchwalstwem dwóch obcych wędrowców.

- Jam jest Korak! - jął krzyczeć chłopak. - Jam jest Mordercza Ręka! Przyszedłem ofiarować wam swą przyjaźń. Chcecie mnie wypędzić, odejdę zatem, zanim jednak pójdę, pokażę wam, że syn Tarzana jest waszym władcą tak, jak był przed nim jego ojciec, że nie lęka się ani waszego króla ani was!

Przez chwilę małpi król stał oniemiały ze zdumienia. Nie spodziewał się tak zuchwałego wyskoku ze strony nowo

przybyłych. Akut był również przerażony i jął gwałtownie wzywać chłopca do odwrotu, wiedział bowiem, że samce pośpieszą królowi na odsiecz, choć odsiecz taka nie byłaby zapewne potrzebna, wystarczyło bowiem, aby potężne szczęki małpiego władcy chwyciły miękki kark chłopca, a już byłoby po nim. Dzielny, stary druh Jacka, pomimo iż widział, że czeka go niechybna śmierć, zeskoczył również z gałęzi, stając za swym towarzyszem.

Łapy kosmatego króla wyciągnęły się już po swoją ofiarę, podskoczył do chłopca z szeroko rozwartymi szczękami.

Korak podskoczył również, jednakże zgiął się w pół tak, że małpa nie zdołała go pochwycić w ramiona; w chwili, gdy znalazł się blisko króla, chłopiec wykręcił się na pięcie i potężnym kulakiem, wymierzonym w brzuch, powalił małpę na ziemię.

Małpy jęły ryczeć z trwogi i wściekłości, widząc powalonego władcę, który z trudem podnosił się zawstydzony. Wszystkie ruszyły na Jacka i Akuta, który widząc, iż daremne byłoby nawoływać chłopca do ucieczki, ostatnim wysiłkiem porwał go na ręce i, wskoczywszy z zadziwiającą lekkością na zwieszającą się gałąź drzewa, jął uciekać ze swym ciężarem, przeskakując z gałęzi na gałąź. Rozjuszona gromada goniła ich z początku, wyjąc zajadle, w końcu jednak jęła zawracać powoli w stronę polanki,

mrucząc i rycząc pogroźki za uciekającymi.

ROZDZIAŁ IX

OSOBLIWA ZDOBYCZ KORAKA

Korak czuł się bardzo nieszczęśliwy, wędrując wraz z

Akudem bezcelowo po dżungli. Doznany zawód ciążył mu

na sercu i z nienawiścią spoglądał teraz na mieszkańców

dziewiczej puszczy.

Przeskakiwali z drzewa na drzewo zdążając na Wschód.

Pewnego dnia wreszcie poczuli woń ludzkiej siedziby i

Jack spostrzegł ostrokół, okalający namioty z koziej skóry

oraz kilkanaście chat krajowców. Usta wykrzywiły mu się

zawistnym grymasem, mieszkali tam czarni. Ach! Jakże

ich nienawidził!

Dał znak Akutowi, aby zatrzymał się chwilę, sam zaś

podążył w stronę ostrokołu na zwiady. Włócznie miał w

pogotowiu - biada temu krajowcowi, który by przeszedł

niebacznie obok niego! Posłyszał dźwięk głosu z oddali,

tam więc pośpieszył, torując sobie drogę pośród drzew ze

zwinnością rodowitej małpy. Dostawszy się na olbrzymie

drzewo, o które opierało się ogrodzenie, ujrzał coś, co mu

kazało zapomnieć o uczuciach zemsty i nienawiści.

Brzydki, złowrogi grymas ustąpił z jego twarzy miejsca

radosnemu zaciekawieniu.

Pod drzewem mała, opalona dziewczynka bawiła się

brzydką, zniszczoną lalką, przemawiając do niej w

niezrozumiałym dla chłopca języku. Tyle jednak wdzięku było w ruchach tej drobnej istoty, tyle macierzyńskiego uczucia dla lalki przebijało się w jej głosie, iż chłopiec, niepomny tego, że przyszedł tutaj z wrogimi zamiarami względem mieszkańców wioski, z chęcią pomszczenia krzywdy doznanej od plemienia czarnych, jął przypatrywać się z zachwytem dziewczynce. Cały był przejęty pragnieniem zwabienia jej do siebie i pobawienia się z nią. Nie domyślał się nawet jak bardzo był spragniony obcowania z ludzkimi istotami.

Postanowił więc stanąć za płotem i powitać ją z dala w jak najbardziej zachęcający sposób, ażeby jej nie spłoszyć.

Zaledwie zeskokczył z drzewa, kiedy zwrócił jego uwagę hałas, rozlegający się w przeciwnym krańcu wioski. Zbliżył się do ostrokołu i ujrzał wrota prowadzące do wioski szeroko rozwarte i karawanę wkraczającą przez nie do osady. Poprzedzali ją czarni niewolnicy popędzający objuczone towarem osły, na wielbłądach zaś siedzieli Arabowie z północnych pustyń Afryki. Na czele tej gromady jechał stary Arab, który nie odpowiadając na powitania mieszkańców wioski, usuwających mu się z drogi, skierował się przed największy namiot z koźlej skóry i - zsiadłszy z wielbłąda - zamienił parę słów ze starą, bezzębną Murzynką siedzącą u progu. Korak zauważył, że

Murzynka odpowiadając Arabowi na pytania wskazała mu kryjówkę, gdzie bawiła się dziewczynka za namiotami pod ostrokołem, blisko owego drzewa, z którego co tylko zeskoczył Tarzan.

- To na pewno jej ojciec - pomyślał Korak i westchnął na wspomnienie rodzicielskich pieszczot. Postanowił przyjrzeć się scenie radosnego powitania, potem zaś wyjść z ukrycia, zaznajomić się z Arabem i może otrzymać od niego pozwolenie na przychodzenie na zabawę z jego córeczką, w tym celu wspiał się znowu na drzewo, aby stamtąd móc lepiej wszystko widzieć.

Arab zbliżał się powoli do dziewczynki, która cała pochłonięta prawieniem moralów lalce - nie zauważyła go wcale. Chrząknął wreszcie, mała podniosła główkę, ale zamiast radości, jaka spodziewał się ujrzeć Korak, na jej twarzy widniało przerażenie, a w ciemnych oczach wielki niepokój. Złowrogi uśmiech ukazał się na wąskich, okrutnych ustach Araba. Dziecko chciało usunąć mu się z drogi, stary jednakże kopnął je brutalnie przewracając na ziemię. Już chciał je pochwycić, by po swojemu poczęstować je gradem bolesnych razów, gdy oto stała się rzecz niespodziewana. Szejk został powalony na ziemię uderzeniem pięści Koraka, który nie mogąc znieść widoku okrucieństwa starego lotra, pastwiącego się bezkarnie nad

bezbroną istotką zeskoczył z drzewa i obezwładnił w jednej chwili Araba. Ten zaś, zakrwawiony i ogłuszony uderzeniem, stracił przytomność z bólu i trwogi.

Korak wówczas zwrócił się do dziewczynki, która stała wylękniona, spoglądając to na swego zbawcę, to na omdlałego szejka. Mimowolnym gestem Mordercza Ręka objął ją ramieniem, jak gdyby zaznaczając swoją nad nią opiekę. Stali tak przez chwilę w milczeniu, wreszcie dziewczynka przemówiła pierwsza:

- Skoro przyjdzie do siebie, zabije mnie z pewnością - rzekła po arabsku.

Korak nie mógł jej zrozumieć. Potrząsnął głową, spróbował odpowiedzieć jej po angielsku, później w małpiej gwarze, nie został jednak wcale przez nią zrozumiany. Nachyliła się tedy i wskazała na długi nóż, zwieszający się Arabowi u pasa, dotknęła przy tym swojej piersi wymownym ruchem. Korak pojął dobrze znaczenie jej gestu. Dziewczynka podeszła znowu do niego cała drżąca. Nie lękała się go wcale, wybawił ją przecież od okrutnych rąk szejka. Nigdy, odkąd mogła sięgnąć pamięcią, nikt nie okazał jej tyle przyjaźni. Spojrzała na niego, powierzchowność miał ujmującą, piękne czarne oczy rozjaśniały opaloną, chłopięcą twarz. Z podziwem przypatrywała się lamparczej skórze, spadającej mu z

ramienia do kolan. Miedziane bransoletki na nogach i rękach wzbudziły w niej zachwyt, marzyła nieraz o podobnych ozdobach. Szejk jednak nie pozwalał na żadne przystrojenie skromnej perkalowej koszulki, noszonej przez nią. Futra i klejnoty były niedostępne dla małej Meriem.

Korak znowu spoglądał na Meriem. Dotychczas odczuwał wielką pogardę dla dziewcząt, chłopców zaś, zadających się z nimi, uważał za "niuńki". Zastanawiał się nad tym, co mu wypadało uczynić. Nie mógł jej przecież pozostawić na pastwę losu, na łaskę i niełaskę starego Araba, a wzdragał się zabrać ją do dżungli ze sobą, lękając się narazić ją na tysiące niebezpieczeństw i na koczujące życie, jakie pędził z Akutem. Takich trudów drobna dziewczynka nie mogłaby zapewne znieść.

Stał tak zamyślony przez kilka minut, mała przypatrywała mu się pilnie, jak gdyby odgadując jego myśli. Lękała się pozostać tutaj, obawiając się zemsty nielitościwego szejka i mimowolnie przytuliła się do Jacka, jak gdyby prosząc o dalszą opiekę. Na rzęsach jej drżały łzy. Chłopiec ocknąwszy się z zadumy spojrział na nią, widząc zaś jej zapłakane oczy, powziął decyzję.

- Chodź - rzekł do niej, obejmując ją ramieniem - dżungla będzie dla ciebie lepsza niż ludzie. Zamieszkas w dżungli,

a Korak i Akut będą się tobą opiekowali.

Nie zrozumiała słów, ale pojęła ich znaczenie i

przewiesiwszy rączkę przez jego ramię, wysunęła się z nim

razem przez otwór palisady. Skoro doszli do wielkiego

drzewa, na którym siedział przedtem Korak, chłopiec

zarzucił ją sobie na ramię i zwinnie, jak gdyby nie czując

na barkach ciężaru, wspiał się z nią na drzewo; trzymała

go teraz za szyję rączkami, nie wypuszczając jednakże

ukochanej Geeki.

Oddalili się zaledwie kilkadziesiąt kroków od wioski, gdy

dziewczynka spostrzegła olbrzymią postać Akuta. Z

przytłumionym okrzykiem przytuliła się do Koraka,

wskazując trwożliwie na zwierzę.

Akut, sądząc, że Mordercza Ręka przyniósł ze sobą

więźnia, zbliżył się do nich wyszczerzając groźnie kły.

Dziewczynka nie wzbudzała w nim więcej sympatii, niż

obcy, małpi samiec, wszakże była też obcym przybyszem, a

zatem należało ją zabić. Ku swemu zdumieniu jednakże

zobaczył, że Mordercza Ręka wyszczerzył również zęby,

ale nie na swoją zdobycz, lecz na niego, warcząc przy tym

groźnie.

- No - pomyślał Akut - Mordercza Ręka znalazł sobie

towarzyszkę. Zostawił ich w spokoju, zajmując się

natomiast chwytaniem wielkiego chrabąszcza,

wyglądającego nader apetycznie.

Polknawszy chrabąszcza przyglądał się z ukosa chłopcu, który - usadowiwszy dziewczynkę na gałęzi - zwrócił się teraz do niego:

- Ona będzie nam towarzyszyć - odezwał się Korak do

Akuta, wskazując palcem na dziewczynkę. - Nie wyrządzaj jej krzywdy, musimy się nią opiekować.

Akut się nadaśał. Wcale mu nie było w smak brać na wychowanie ludzkie dzieci. Widział z jej wystraszonych spojrzeń i ze sposobu trzymania się gałęzi, że nie będzie z niej pociechy w wędrówkach po drzewach, ale trudno, skoro taka była wola Morderczej Ręki. Akut zrozumiał, że należało się do niej stosować, nie mógł tylko pojąć, co Korak znajdował osobliwego w tej ludzkiej istocie, której rysy były drobne, skóra gładka, jak u węża. Wreszcie jednak, chcąc się popisać swoją zręcznością przed tym niepozornym stworzeniem, jął huśtać się na jednej z gałęzi szczerząc zęby i wyprężając się na wszystkie strony, aby mała mogła podziwiać jego wspaniałe, kosmate futro.

Wywołało to wręcz przeciwny skutek: olbrzymi antropoid przerażał Meriem, która - nie wiedząc o jego przyjacielskim stosunku z Korakiem - tulila się tym więcej do swego wybawcy, żalując nawet po trosze, że nie została u Araba, którego okrucieństwo wydawało się jej z

odległości mniej straszne, niż obcowanie z tym potwornym zwierzęciem.

Wieczór i cała noc przeszły Meriem w nieopisanej trwodze.

Korak i Akut uczyli ją skakać po drzewach, sami

jednocześnie wypatrując zwierzynę. Raz ukryli ją w

gałęziach drzewa, podczas gdy sami przyczaili się w

krzakach, aby schwytać dzikiego kozła. Dziewczynka z

przerażeniem widziała jak Korak, jej dobry opiekun,

zamienił się w okrutnego drapieżnika dżungli, rzucając się

wraz z Akutem znienacka na zwierzynę, w której kark

zatopił swoje białe, ostre zęby.

Skoro do niej powrócił z twarzą umazaną krwią i podał jej

kawałek jeszcze ciepłego, surowego mięsa, odwróciła się od

niego ze wstrętem. Strapilo to Koraka, który widząc, iż

dziewczynka odmawia jedzenia mięsa, pobiegł w głąb

dżungli i powrócił za chwilę, podając jej garść świeżo

zerwanych owoców. Musiała wówczas zmienić zdanie o

nim widząc uprzejmość, z jaką podawał jej przysmaki,

zaglądając jej troskliwie w oczy.

Odplaciła mu pełnym wdzięczności uśmiechem, który był

najlepszą nagrodą za poniesione dla niej trudy, szczególnie

dla stęsknionego za ciepłem rodzinnym chłopca.

Gdy zapadła noc Korak postanowił przepędzić ją,

trzymając małą na kolanach, na gałęzi drzewa. Akut

siedział z drugiej strony, tak że obydwaj ogrzewali ją ciepłem własnego ciała.

Długo nie mogła usnąć, w końcu jednak zmęczenie przemogło, zapomniała, że znajduje się na drzewie, że ma za sąsiada kosmatego potwora. Zasnęła mocno, budząc się już dobrze po wschodzie słońca. Przebudziwszy się, wzdrygnęła się w pierwszej chwili, widząc przed sobą kosmaty grzbiet Akuta, niebawem jednak uświadomiła sobie, że ktoś ją mocno trzyma i odwracając głowę ujrzała śmiejące się do niej oczy chłopca, przyjaźnie w nią wpatrzone.

Korak przemawiał do niej w gwarze małp, ona jednak odpowiadała mu po arabsku, nie mogli się więc porozumieć. Akut przypatrywał im się uważnie. Rozumiał dobrze to co mówił Korak, jednak mowa małej była tylko szeregiem śmiesznych dźwięków bez żadnego znaczenia. Akut znowu jął się zastanawiać, co Korak w niej widzi osobliwego. Przyjrzał się raz jeszcze tej dziwnej istotce, po czym podrapał się w głowę i wyprostował się nagłym ruchem, potrącając siedzącą obok niego dziewczynkę. Meriem zadrżała, zdjęta nagłą trwogą. Akut zaś widząc, że dziecko się go lęka, chciał ją podrażnić i wyciągnął do niej kosmatą łapę, mała cofnęła się przerażona, lecz gdy palce małpy miały już pochwycić jej rączkę, Korak zerwał się

nagle ze złośliwym warknięciem. Zaciśnięta pięść chłopca powaliła niespodzianym uderzeniem wielkiego antropoida, który spadł na ziemię, rycząc z bólu i z gniewu.

Korak stał nad małpą, mierząc ją oburzonym wzrokiem, gdy nagle szelest w krzakach zwrócił jego uwagę.

Dziewczynka rozglądała się również, szukając przyczyny tego szmeru, widziała jednak tylko małpę, usiłującą powstać z ziemi. Wówczas wielka masa żółtego, nakrapianego w cętki futra, wyskoczyła z zarośli prosto na grzbiet małpy. Był to lampart - Szita, który chciał skorzystać z doskonałej sposobności upolowania zwierzyny w tak łatwy sposób.

ROZDZIAŁ X

PRZYGODA MERIEM

Gdy lampart doskakiwał do małpy, Meriem zaczęła dyszeć z przerażenia, nie na widok niebezpieczeństwa, w którym znajdował się Akut, ale oto ujrzała, jak chłopiec, który tylko co uderzył gniewnie swego druha, rzucił się teraz mu na ratunek: Szita miał już zanurzyć kły i pazury w szerokie bary małpy, Mordercza Ręka spadł na grzbiet lampartowi gryząc go w kark i zanurzając mu nóż w biodra.

Kot zatrzymał się w skoku. Nie zdołał chwycić Akuta, który dał susa na drzewo. Lampart na próżno starał się wyzwolić od napastnika, nie wypuszczającego jego karku z uścisku żylastych rąk. Akut, oprzytomniawszy nieco, niepomny swego sporu z Korakiem, z kolei pośpieszył na jego ratunek, tak że lampart chwilę potem znalazł się w obliczu dwóch zaciętych wrogów, którzy niebawem rozszarpali go na kawały; wszyscy troje skłębieni w jedną masę, przewracali się po ziemi, skowycząc i mrużąc, a drobna postać dziewczynki, przytulona do gałęzi drzewa, tuliła do siebie Geekę, drżąc z wielkiej trwogi.

Nóż chłopca odniósł ostatecznie zwycięstwo, a gdy dziki kot został powalony śmiertelnym pchnięciem w serce, chłopak i małpa spojrzeli na siebie wzajemnie poprzez

trupa lamparta. Korak zwrócił głowę w stronę

dziewczynki, siedzącej na drzewie.

- Zostaw ją w spokoju - rzekł. - Ona należy do mnie.

Akut mruknął, lypnął zakrwawionymi oczami i zwrócił się

do martwego lamparta, stanąwszy zaś na jego trupie,

rzucił w dżunglę zwykły okrzyk zwycięski wielkich małp,

pograżając znowu dziewczynkę w przerażeniu. Chłopiec

stał spoglądając na niego w milczeniu, wreszcie wskoczył

znowu na drzewo, siadając koło malej. Akut niebawem

przyłączył się do nich, przez parę minut siedział spokojnie,

liząc swoje rany, wreszcie powędrował w dżunglę, by sobie

coś upolować na śniadanie.

Przez wiele miesięcy owa trójka wiodła koczownicze życie,

nie urozmaicane żadnymi osobliwymi wydarzeniami.

Dziewczynka powoli przyzwyczaiła się do tego dziwnego

trybu, oswoiła się nawet z niebezpieczeństwem i z

widokiem śmierci czyhającej na słabsze istoty z każdego

zakątka dżungli. Nauczyła się z czasem gwary wielkich

małp, okazywała jednakże szczególną pojętność w

pryswajaniu sobie różnych umiejętności dżungli. Wkrótce

zaczęła celować w tropieniu śladów zwierzyny, czuwała

nad bezpieczeństwem towarzyszy, gdy ci usnęli znużeni

polowaniem, wyświadczała im zręcznie i chętnie tysiące

drobnych przysług. Akut tolerował małą, najczęściej

jednakże unikał jej starannie; chłopiec był dla niej ciągle troskliwy i dbały, a choć mu nieraz jej obecność była zawadą, nigdy tego nie okazywał. Lękając się dla niej chłodu nocy, wybudował w gałęziach rodzaj szałas, gdzie mogła sypiać, zabezpieczona od wilgoci i wiatru. Korak i Akut spoczywali na niższych gałęziach tego drzewa: pierwszy zwykle bliżej wejścia do szałas, lękał się bowiem napaści Histaha - węża i pawianów, które wyszczerzały zęby i warczały na naszą trójkę.

Po wybudowaniu owego schroniska nie oddalali się już zbyt od owego miejsca, musząc tu zawsze powracać na nocleg. Wartka rzeka płynęła opodal, owoce rosły tam w wielkiej obfitości, o zwierzynę i ryby nie było trudno. Życie upływało im na wyszukiwaniu pokarmu i przesypianiu nocy z pełnymi żołądkami. Nie troszczyli się o przyszłość, wystarczały im troski dnia obecnego.

Jeżeli chłopiec myślą sięgał czasem do odległej stolicy, gdzie przebywali tęskniący za nim rodzice, były to oderwane marzenia, jak gdyby nie tyczące się jego: czuł się zupełnie inną istotą, niepodobną do owego Jacka, wzrosłego wśród cywilizowanego otoczenia

Zresztą od czasu przyłączenia się Meriem do ich obozu, zaspokoił swoją tęsknotę obcowania z ludźmi. Jego przyjaźń dla niej była pełna czystego, braterskiego

uczucia, z domieszką pieczołowitej wyższości wobec stworzenia słabszego i bezradnego. Dziewczynka zaś ubóstwiała go, tak jakby mogła była ubóstwiać pobłażliwego, starszego brata. Życie upływało im bez swarów i troski; małe, wesole małpeczki, które lękały się Akuta, śmielsze bywały w obecności Koraka, a już wobec Meriem nabierały wielkiej odwagi: zaczepiały ją figlarnie, skubały żartobliwie Geekę, dziewczynka zaś karmiła je i chętnie gwarzyła z nimi, skracając sobie nudę samotnych godzin, gdy Korak był na polowaniu.

W Geece zaszły wielkie zmiany od czasu, gdy jej mateczka opuściła wioskę szejka. Strój jej przypominał w miniaturze ubranie Meriem: kawaleczek lamparciej skóry przysłaniał jej szczyrzą kadłub od ramienia do kolana. Na rękach i kolanach obrączki z plecionej trawy naśladowały naramienniki i bransoletki Meriem. Wielką zaletą Geeki była umiejętność cierpliwego wysłuchiwanie zwierzeń Meriem, która z nią gwarzyła całymi godzinami.

Tego dnia również słuchała już blisko od godziny opowiadań Meriem, która - kolysząc się na gałęzi - niepokoiła się o Koraka, opóźniającego swe przyjście.

- Mała Geeko - mówiła Meriem - nasz Korak długo jakoś nie wraca, smutno jest i nudno w wielkiej dżungli, gdy jego nie ma. Co też on nam dzisiaj przyniesie z wyprawy? Czy

może znowu jaką świecącą ozdobę dla Meriem, albo miękka sarnią skórę, zdartą z czarnej kobiety? Mówił mi, że czarni lękają się go teraz i czmychają czym prędzej do swoich szalasów. Potężny jest nasz Korak, Geeko, nie nasz, ale mój własny Korak!

Rozprawa Meriem została przerwana nagłym skokiem małej małpki, która usiadłszy na jej ramieniu zawołała strwożona: - Skacz, skacz na wierzchołek drzewa, bo nadchodzą Mangani!

Meriem spojrzała leniwie przez ramię małego natręta.

- Skacz sobie sama, mała Manu - rzekła. - Jedyni Mangani w naszej dżungli to przecież Korak i Akut. To ich z pewnością widziałas powracających z polowania. Jeszcze kiedyś zobaczysz twój własny cień, mała Manu, wówczas przerazisz się na śmierć.

Małpka jednakże powtórzyła raz jeszcze swą przestrogę i wspięła się na najwyższy wierzchołek drzewa, gdzie nie mogła jej dosięgnąć wielka małpa Mangani. Meriem usłyszała wówczas szelest poruszanych gałęzi przez dwie postaci przeskakujące z drzewa na drzewo. Byli to niewątpliwie Korak i Akut. Dla niej Korak był małpą, tak jak Akut, a wszyscy troje przybrali sobie nazwę Mangani, czyli wielkie małpy. Człowiek był dla nich wrogiem, nie uważali tedy, że mają z nim coś wspólnego. Tarmangani,

nazwa oznaczająca człowieka, jako wielką, białą małpę w gwarze Akuta, nie była dla całej trójki stosowana.

Gomangani, wielka czarna małpa, nazwa określająca

Murzynów nie nadawała się dla nich, nazywali się więc po prostu Mangani.

Meriem postanowiła udać, że śpi i zażartować z Koraka.

Zamknęła tedy oczy i leżała spokojnie, postaci zaś zbliżały się coraz bardziej. Dlaczego jednak Korak nie woła na nią, dlaczego nie wykrzykuje zwykłego pozdrowienia? Czyżby on również chciał z niej zażartować? Meriem otworzyła ostrożnie jedno oko i serce jej zamarło w piersiach ze strachu: oto wielki, nieznany jej małpi samiec skradał się do niej ostrożnie, za nim szedł drugi, zupełnie do niego podobny.

Z chyżością wiewiórki Meriem jęła uciekać, w chwili gdy małpa już, już dosięgała jej kosmatą ręką. Dziewczynka pędziła przez dżunglę skacząc z drzewa na drzewo, starając się wspinać coraz wyżej, aby straszliwa pogoń nie mogła jej doścignąć, dając olbrzymie susy w przestrzeń i chwytając rękami za gałęzie, na których uwieszała się ze zwinnością urodzonej małpki. Dwa samce, dysząc i sapiąc, pędziły za nią, nad nimi zaś, w górze, chmara młodych małpek przewijała się, rzucając obelgi dwóm napastnikom i słowa zachęty Meriem.

**Dziewczyńce zdawało się, że lada chwila znajdzie się poza
obrębem pościgu na szczycie wysokiego drzewa, gdy nagle
chwycona przez nią gałąź załamała się, dziewczynka
znalazła się na niższych konarach i w tej samej chwili
kosmate łapy chwyciły ją wpół.**

**Prawie jednocześnie druga małpa dogoniła napastnika
wyciągając ręce po Meriem, całą siłą szamocącą się w
objęciach potwora, który - zasłaniając ją sobą -
wyszczrzył kły na towarzysza, mrużąc groźnie.**

**Dziewczynka biła go piąstkami po twarzy i zatopiła swoje
zdrowe, białe ząbki w kosmate ramię, samiec syknąwszy z
bólpu puścił ją na mgnienie oka, aby opędzić się przed
towarzyszem, Meriem skorzystała z tego, by próbować
ucieczki, gdy jednakże została znowu schwytana i
ogłuszona silnym uderzeniem, padła zemdlona na ziemię.**

**Wówczas dwie małpy zaczęły ze sobą walczyć o zdobycz,
tarmosząc się i gryząc wzajem, wkrótce silniejszy powstał z
pola bitwy i, postawiwszy nogę na piersi towarzysza, wydał
ów przerażający okrzyk zwycięstwa wielkich antropoidów.**

**Małpki, obecne przy tej walce, obrzuciły go gradem obelg,
z przeraźliwym piskiem, w oddali rozległ się groźny ryk
lwa. Samiec zbliżył się teraz do zemdlonej ofiary, obwąchał
ją starannie, a przekonawszy się, że żyje, zarzucił ją sobie
na plecy i - nie zważając na krzyki małpek, skaczących po**

drzewach - zapuścił się w dżungłę ze swym ciężarem.

ROZDZIAŁ XI

ODSIECZ I PORWANIE

Korak powracając z polowania posłyszał hałaśliwą rozprawę małych małpek i przypuszczając, że to może wąż Histah napadł na jedną z małych Manu, postanowił pośpieszyć na ratunek małych przyjaciółek Meriem. W schronisku Meriem, na drzewie, złożył myśliwską zdobycz i zawołał głośno na dziewczynkę. Nie otrzymując odpowiedzi sądził, że się przed nim schowała dla żartu. Na jednej z gałęzi, na której się Meriem zwykle bujała, spostrzegł Geekę, opartą o pień drzewa. Co to mogło znaczyć? Meriem nie pozostawiała nigdy swojej córeczki samą. Korak podniósł lalkę i wetknął ją sobie za pas. Zawołał raz jeszcze, tym razem głośniejszym głosem, ale Meriem nie dawała znaku życia. W oddali słyszał ciągle podniecone gwarzenie małp i przyszło mu na myśl, że podniecenie ich ma może związek ze zniknięciem Meriem. Nie czekając wtedy na Akuta, który został nieco w tyle, Korak, skacząc z drzewa na drzewo, przybliżył się do krzykliwej gromady, skoro zaś się zjawił, małpki z wrzaskiem jęły wszystkie naraz wymachiwać rękami, pokazując przed siebie, niebawem zaś Korak, dążąc w tę stronę, ujrzał smukłe ciało dziewczynki, zwieszające się bezwładnie na kosmatym ramieniu napastnika.

Korak sądził, że Meriem nie żyje; w jednej chwili

uświadomił sobie, że była ona jego słońcem, najdroższą

istotą na całym świecie. Z piersi wyrwał mu się głuchy jęk i

na wpół przytomny rzucił się na zuchwałego potwora.

Samiec odwrócił się w jego stronę, skoro zaś Mordercza

Ręka, poznał, z kim ma do czynienia, nienawiść jego i złość

wzmogły się jeszcze, był to bowiem tenże sam małpi król,

który go wypędził owej nocy, kiedy to chciał zawrzeć

przyjaźń z wielkimi antropoidami.

Wypuszczając na chwilę swą zdobycz, małpi król stanął do

walki, nie spodziewając się tym razem najmniejszego

oporu, poznał bowiem w Koraku tego samego przybysza,

którego bez żadnego wysiłku wypędził wówczas z polanki.

Obaj przeciwnicy rzucili się z rozpędem na siebie. Korak

zapomniał o swoim nożu, czuł w sobie żądzę rozszarpania

własnymi rękami wroga, mszcząc się za krzywdę

ukochanej Meriem.

Tak gwałtowne było natarcie Tarzanowego syna, że zanim

małpa zdolała się opamiętać, zdrowe i silne zęby chłopca

zanurzyły się w jej gardzieli, jedna ręka zaś zacisnęła się

na jej karku.

W tej chwili właśnie Meriem otworzyła oczy.

- Korak! - zawołała. Mój własny Korak! Wiedziała, że

przyjdiesz. Zabij go, Koraku! Zabij!

Z błyszczącymi oczami, dysząc z podniecenia, dziewczynka podbiegła do swego obrońcy, ujrawszy zaś włócznie Koraka leżącą na ziemi, podniosła ją szybkim ruchem, stając obok chłopca, by go zachęcać do walki z tym wstrętnym Mangani, który ją tak podstępnie porwał.

Zanurzyła ostrze włóczni w serce potwora, choć jej pomoc była tu zbyteczna, gdyż małpa leżała już martwa i krew tryskała z jej gardzieli, Korak jednakże spojrzął z uznaniem na swoją towarzyszkę. Jakże była wysoka i urodziwa! Zdawało mu się, że patrzy na nią innymi oczami, odkąd miał sposobność walczenia o nią. Nie zdawał sobie sprawy, ile dni upłynęło od czasu uprowadzenia dziewczynki z wioski szejka, w dżungli czas przecież nie ma znaczenia, nie zajmował się wtedy liczeniem minionych dni.

Gdy spojrzął na nią, rumieniec oblał jego chłopięcą twarz, zrozumiał bowiem teraz, jak bardzo była mu drogą ta, którą tylko co wyrwał z tak strasznego niebezpieczeństwa.

Meriem tymczasem spoglądała na Koraka rozradowanymi oczami, czuła się dumną ze swego starszego brata, chłopiec nagle pochylił się nad nią i złożył gorący pocałunek na jej świeżych, dziecinnych usteczkach. Meriem, nie zepsutej pieszczotami, podobalo się to bardzo, odplaciła mu również pocałunkiem i chwyciwszy, odnalezioną przez

Koraka, Geekę ucałowała ją serdecznie.

Nadszedł Akut, a ujrawszy powalonego trupa antropoida, okazał wielkie zadowolenie, obwąchiwał go ze wszystkich stron, sierść mu się najeżyła z wrażenia, woń małpy i widok jej kosmatej postaci rozbudził w Akucie tęsknotę za podobnymi jemu istotami.

Nagle Akut zamruczał groźnie, z przestrogą zwracając uwagę Koraka, który zapomniawszy teraz o wszystkim, przemienił się cały w słuch i z wytężeniem jął wyczekiwać na przyjście nowego wroga, spoglądając w głąb dżungli, skąd teraz dochodziły już wyraźne odgłosy stąpania i trzask łamiących się gałęzi. Niebawem ukazał się przed nimi wielki małpi samiec, wreszcie drugi, inne samce z samicami, dźwigającymi młode małpiątka, szły za nimi; ustawili się w dwa rzędy, spoglądając groźnie na troje obcych przybyszów.

- Korak, wielki siłacz, zamordował waszego króla - był Akut. - Nie masz potężniejszego w dżungli, nad Koraka, Tarzanowego syna. Teraz Korak jest waszym królem.

Który z waszych samców mocniejszy jest od niego? - Było to wyzwanie do wszystkich samców, którzy by chcieli zaprzeczyć Korakowi prawa do władzy. Małpy naradzały się między sobą, wykrzykując i gestykulując żywo, w końcu młody samiec wystąpił z ich grona, kołysząc się na

lukowatych nogach, groźny i zawzięty.

Zwierzę było olbrzymich rozmiarów. Należało do rzędu prawie już wygasłych gatunków antropoidalnych małp, poszukiwanych przez białych ludzi według wskazówek krajowców, zamieszkujących niedostępniejsze części dżungli.

Korak postąpił krok naprzód ku potworowi, wydając głuchy pomruk i obmyślając sobie plan walki. Przykucnął na ziemi, gdy zaś samiec rzucił się z impetem na niego, chłopiec zgiął się, aby kosmate ramiona nie były w stanie go objąć i pchnął go silnie kulakiem w brzuch, tak że zwierzę padło na ziemię, ogłuszone niespodziewanym uderzeniem. Zanim małpa zdołała się podnieść, znowu silne pchnięcie zważyło ją z nóg brzuchem do góry. Samiec próbował wygramolić się, ale na próżno, za każdym razem silny, po mistrzowsku wymierzony kulak, obezwładniał go coraz bardziej, krew trysnęła mu z pyska i nozdrzy.

Przypatrując się walce małpy, które zachęcały go przedtem przyjaznymi okrzykami, teraz drwiły z jego niepowodzenia, wyrażając podziw dla białego człowieka, Tarmangani.

- Kagoda? - zapytał Korak, przewracając raz jeszcze samca. Ten jednakże uparcie próbował stanąć do walki.

Wówczas Mordercza Ręka wymierzył mu straszliwy cios

pomiędzy ślepią i znów zapytał:

- Kagoda? (czy poddajesz się?)

Przez chwilę samiec leżał odrętwiały, wreszcie z zalanego krwią pyska wydobył się jeden wyraz - Kagoda!

- Wstań zatem i wracaj do swoich - rzekł Korak. Nie chcę panować nad plemieniem, które mnie już raz odtrąciło od siebie. Wy pójdziecie waszą drogą, my swoją. Skoro się kiedy spotkamy, będziemy sobie przyjaciółmi, lecz nie będziemy prowadzili wspólnego życia.

Jeden ze starszych samców zbliżył się z wolna do Morderczej Ręki.

- Zamordowałeś naszego króla - rzekł. - Zwyciężyłeś tego, który miał po nim nastąpić, byłbyś go również mógł zabić, gdyby taka była twoja wola. Cóż pocniemy teraz, kogo mamy obrać za króla?

Korak wskazał na Akuta.

- Oto macie króla - rzekł.

Akut jednakże nie chciał się rozstać z chłopcem, choć bardzo pragnął obcowania z małpami, prosił więc, aby Korak pozostał również z nimi.

Chłopak myślał o Meriem, o tym, co będzie dla niej bezpieczniejsze i lepsze.

Gdyby Akut oddalił się wraz z małpami, nie byłoby komu bronić Meriem podczas jego nieobecności. Z drugiej

strony, lękał się zostawić Meriem pod opieką plemienia,
którego dzikie instynkty były mu aż nadto znane;
postanowił więc, że będą oboje z dziewczynką przebywali
w bliskości małp, zmieniając miejsce pobytu w razie,
gdyby plemię zamierzało wyruszyć również w inne strony.

Akut z początku nie chciał się na to zgodzić, w końcu
jednak zwyciężyła w nim chęć panowania nad podobnymi
mu istotami i, rzucając raz jeszcze spojrzenie na
umiłowanego Koraka, pograżył się ze swą drużyną w
zaroślach dżungli.

* * *

Gdy Korak opuścił wioskę czarnych, która była celem jego
ostatniej wyprawy, krzyki kobiet i dzieci, zwabiły
wojowników z lasu i z wybrzeża rzeki. Wielkie było
oburzenie i podniecenie Murzynów, skoro dowiedzieli się,
że biały diabeł nawiedził znowu ich domostwa,
przestraszył ich kobiety, unosząc z sobą zapas strzał,
ozdób i żywności.

Zabobonny strach przed dziką istotą, polującą w
towarzystwie wielkiej małpy, został przezwyciężony
pragnieniem odwetu i pozbycia się raz na zawsze wroga z
dżungli. Dlatego też gromada najśmielszych wojowników
wyruszyła w ślady Koraka i Akuta, w parę minut po
opuszczeniu przez nich wioski.

Chłopiec i małpa oddalali się z wolna, nie starając się ukrywać swoich śladów, przywykli bowiem, że tego rodzaju wyprawy uchodziły im zazwyczaj bezkarnie. W wędrówce powrotnej droga wypadła im pod wiatr, i dlatego nie mogli odgadnąć powonieniem dążącej za nimi pogoni.

Wojownicy szli pod dowództwem Kowuda, odznaczającego się niezwykłą chytryścią i odwagą: on pierwszy odnalazł trop. Cała gromada, zwabiona odgłosami walki, skradając się ostrożnie, trafiła na polankę już po zabiciu małpiego króla i z pełnym grozy podziwem przypatrywała się rozprawie Koraka z młodym samcem, który został przez chłopca tak haniebnie pokonany.

Skoro małpy oddaliły się wraz z Akutem, na polance pozostała tylko Meriem z Korakiem. Jeden z ludzi Kowuda, przypatrzywszy się bacznie dziewczęciu, szepnął do ucha wodzowi:

- Patrz no, Kowudo - tu pokazał na przedmiot, zwieszający się u boku dziewczynki. - Gdy mój brat i ja byliśmy w niewoli u szejka, brat mój sporządził ten przedmiot dla jego córeczki. Ona go nazwała imieniem mego brata: "Geeka". Na krótko przed naszą ucieczką stamtąd, ktoś zakradł się do wioski, obezwładnił starego i wykradł mu

córkę. Jeżeli to ona, szejk zapłaci za nią ładny okup.

Korak tymczasem, nieświadomy niebezpieczeństwa, stał zamyślony, przytuliwszy do siebie Meriem. Oto na całym szerokim świecie było tylko ich dwoje, czuł się dumny i szczęśliwy ze swego zwycięstwa i obiecywał sobie strzec i pielęgnować tę ukochaną istotkę, która mu była wszystkim na ziemi. Złowrogi wrzask zaczajonych w zaroślach dzikich, wyrwał go z zamyślenia i na widok otaczających go wrogów stanął gotów do nowej walki. Obok niego Meriem wywijała sprawnie swoją lekką włócznią. Niestety! Strzały wojowników, przebijając ramię i nogę Koraka, powaliły go na ziemię. Kowudo chwycił dziewczynkę, odciągając ją od towarzysza, reszta dzikich zaś zamierzała dobić chłopca, kiedy oto z lasu nadbiegły mu na odsiecz małpy wraz z Akutem i przerażeni czarni, uprowadzając Meriem, rzucili się do ucieczki. Nie byłoby im się to udało, gdyby nie to, że Akut, mając na względzie li tylko ocalenie Koraka, chętnie zezwolił im na porwanie jego towarzyszki, którą uważał za przeszkodę i niepotrzebny ciężar w ich koczowniczym życiu.

Chłopiec leżał zakrwawiony i nieprzytomny. Akut, wyrwawszy mu strzały z ciała, jął lizać jego rany i zaniósł przyjaciela do schroniska na drzewie, gdzie zwykle przebywała Meriem.

Silna natura Koraka zwyciężyła chorobę. Przez długie tygodnie leżał w gorączce, Akut zaś, wraz z podwładnymi małpami, polował w pobliżu, aby mieć go na oku i bronić go w razie potrzeby przed napaścią ptaków czy zwierząt, mogących mieć dostęp do gniazda. Niekiedy Akut przynosił mu soczysty owoc, gaszący trawiące go pragnienie, powoli zaś młodsza odporność zagoiła rany i wróciła mu siły. Podczas chwil przytomności chłopiec więcej cierpiał z powodu niepokoju o Meriem, niż z powodu ran. Drżał na myśl o tym, co mogło czekać dziewczynkę, przebywającą w okrutnym plemienu Kowuda. Całą mocą woli pragnął wyzdrowieć i odzyskać siły, aby móc jej pośpieszyć na ratunek.

Po jakimś czasie poczuł się o tyle silny, że zdołał ześlizgnąć się z gniazda na ziemię; zaczął się teraz żywić surowym mięsem, dostarczonym mu obficie przez wierne Akuta. W końcu, należycie wzmocniony, poczuł się zdolnym do przedsięwzięcia wędrówki w stronę wioski czarnych wojowników.

ROZDZIAŁ XII

KORAK I.. PIES

Dwaj brodacі mężczyźni, wysokiego wzrostu, wędrowali ostrożnie przez dżunglę, wyszedłszy ze swego obozu rozłożonego nad wielką rzeką. Byli to Karl Jensen i Sven

Malbihn; nie zmienili się wiele od owego dnia, kiedy to przed laty zostali wystraszeni przez Akuta i Koraka, pragnącego z nimi zawrzeć przyjaźń.

Co roku wyprawiali się do dżungli, by handlować z krajowcami lub by ich ograbiać, gdy nadarzyła się sposobność, by polować, chwytać w sidła zwierzęta lub służyć za przewodników, po dżungli innym białym. Od czasu swego doświadczenia z szejkiem starali się omijać z daleka jego wioskę.

Teraz jednak znajdowali się nieco bliżej tamtych stron, czuli się dość bezpieczni przed zemstą starego Araba pośród plemienia Kowuda, które nienawidziło szejka za jego okrucieństwo i chciwość.

Tego roku właśnie przyjechali, aby schwycić żywcem kilka okazów dla europejskiego ogrodu zoologicznego, kierowali się tedy w stronę specjalnej pułapki, którą zastawili w dżungli, mając nadzieję ułowić w nią bodaj jednego z wielkich pawianów, krążących całymi gromadami po okolicy. W miarę, jak zbliżali się do pułapki, nabierali przekonania, słysząc wrzaski i piski małp, że wysiłki ich dopięły celu. Pawiany skomlały żałośnie, ubolewając nad tym, że jeden z nich padł ofiarą łakomstwa, i dał się skusić przynętą, wiszącą w potrzasku.

Przyszedszy na miejsce, sprawdzili naocznie słuszność

swych przypuszczeń: w pułapce szamotał się wielki samiec, kilkaset pawianów uwijało się wokół żelaznej klatki, usiłując nadaremnie wydobyć spomiędzy wąskich prętów uwięzionego towarzysza, wrzeszcząc bez miary.

Ani Szwedzi jednak, ani też pawiany, nie spostrzegli obecności na wpół nagiej postaci chłopca, ukrytej w gęstych liściach pobliskiego drzewa. Przyszedł on prawie jednocześnie z Jenssenem i Malbihnem na miejsce zasadzki i teraz przypatrywał się pawianom z wielkim zajęciem.

Stosunki Koraka z pawianami nie odznaczały się zbyt przyjacielskością. Byli wobec siebie podejrzliwi. Akut, spotykając pawiany, nie omieszkiał mrużyć groźnie, one witały go w podobny sposób. Korak zadawał się zachowywaniem bierności i tylko łyskał na nie białymi zębami. Teraz więc nie był wcale przejęty przygodą króla pawianów, lecz nagle przez krzewy zauważył ubrania dwóch Szwedów, wyróżniające się odmienną barwą. Kim byli ci intruzi? Co robili tutaj, na terytorium dżungli?

Korak przybliżył się ostrożnie, okrążając dookoła krzak, za którym ukrywali się dwaj cudzoziemcy i przekonał się, że to ci sami biali, którzy mu tak przykrą wówczas dali odprawę.

Źrenice chłopca zapłonęły mściwym ogniem, włosy

najeżyły mu się na głowie, przypatrywał się owym ludziom z natarczywością pantery, gotującej się do skoku.

Zauważył, że zbliżali się teraz do klatki, starając się wystraszyć krzykiem zgromadzone około pułapki pawiany.

Jeden z nich podniósł fuzję i wypalił w sam środek rozwścieczonej i strwożonej gromady. Korak sądził, że pawiany rzucą się na przybyszów, ale dwa następne strzały wzniciły popłoch między nimi i pawiany schroniły się na drzewa. Dwaj Europejczycy podeszli wówczas do klatki.

Korak myślał, że zamierzają zabić króla pawianów.

Niewiele go obchodził król, ale mniej jeszcze dbał o życie cudzoziemców. Król nie żywił wrogich zamiarów

względem niego, Szwedzi zaś chcieli go przecież zabić

swego czasu. Król był mieszkańcem jego ukochanej dżungli, dwaj biali byli tu intruzami. Oczywiście więc, że trzymał on z pawianami przeciwko ludziom. Znał gwarę pawianów, podobną zupełnie do mowy wielkich małp.

Widział z miejsca swej kryjówki skrzeczącą i wyczekującą gromadę.

Podnosząc głos, krzyknął do nich. Biali odwrócili głowy na

dźwięk tego nowego głosu, choć jednak rozglądali się po

drzewach, nie zdołali dostrzec chłopca, ukrytego wśród

liści. Korak krzyknął znowu:

- Jam jest Mordercza Ręka! Ci ludzie są waszymi i moimi

wrogami. Dopomogę wam ocalić króla. Rzućcie się na nich, gdy się wam ukazę; wypędzimy ich wspólnymi siłami i oswobodzimy króla. Pawiany zaś odpowiedziały mu chórem:

- Uczynimy, jak mówisz, o Koraku!

Zeskakując z drzewa Korak pobiegł ku Szwedom, w tej samej zaś chwili trzysta pawianów poszło za jego przykładem. Na widok białego, na wpół nagiego wojownika, napadającego na nich z podniesioną włócznią, Jenssen i Malbihn dali ognia, chybili jednak z powodu zamieszania i przestachu, zaś w minutę potem napadła na nich horda pawianów. Teraz jedyna nadzieja ocalenia leżała w ucieczce, wywijając się tedy napadającym na nich zwierzętom, pomknęli całym pędem w głąb dżungli, gdzie spotkali niebawem swoich ludzi z obozu, którzy zaniepokojeni ich długą nieobecnością, wyszli na ich spotkanie.

Skoro biali uciekli, Korak nie próbował ich ścigać, a zabrał się do uwolnienia uwięzionego pawiana. Z łatwością otworzył drzwiczki klatki, na co się nie mogły zdobyć pawiany, nie znające się na wymysłach ludzkiej cywilizacji i chwilę później ich król wydostał się na swobodę. Nie tracił czasu na wyrażenie swej wdzięczności Korakowi, ze swej strony młodzieniec też nie oczekiwał podziękowań,

choć był pewien, że przysługa, którą im wyświadczył,
pozostanie na zawsze w pamięci pawianów. Zadowolony z
przeświadczenia, że zepsuł szyki swoim białym wrogom,
skierował się w stronę wioski Kowuda.

Po drodze natrafił na stado słoni, pasących się na skraju
przerzedzonego lasu. Tu drzewa były zbyt daleko jedno od
drugiego, aby mógł torować sobie drogę przez nie, jak to
było ulubionym sportem Koraka. Chlubił się tą
umiejętnością przeskakiwania z drzewa na drzewo,
czepiając się gałęzi, mógł wówczas drwić z wielkich
drapieżników, dla których niedostępną była ta
napowietrzna droga.

Tu jednak, na tej otwartej przestrzeni, gdzie król słoni -
Tantor poruszał olbrzymimi uszami i wywijał potężną
trąbę na wszystkie strony, człowiek-małpa musiał
przechodzić po ziemi - karzełek wśród olbrzymów. Wielki
słoń podniósł swą trąbę, pomrukując z cicha, poczuwszy
woń obcego przybysza. Krótkowidzące oczki rzuciły
niespokojne spojrzenia na wszystkie strony, stado
poruszało się trwożnie, gotowe do ucieczki za pierwszym
hasłem, które by mu zostało dane przez wodza.

- Uspokój się, Tantorze - zawołał Mordercza Ręka. - To ja,
Korak, Tarmangani!

Słoń zniżył swą trąbę. Korak szedł tuż obok olbrzyma

Tantora. Długa trąba wykręciła się ku niemu, gładząc
pieszczotliwie jego opalone ciało, Korak zaś poklepał go
przyjaźnie po grzbiecie. Ze wszystkich zwierząt dżungli
lubił on chyba najbardziej wielkiego moczara,
najspokojniejszego, a zarazem najgroźniejszego jej
mieszkańca. Łagodna gazela nie lękała się Tantora, za to
Numa, pan dżungli, ustępował mu z drogi. Korak torował
sobie teraz przejście wśród młodszych samców, samic i
słoniątek ze stada. Od czasu do czasu muskały go na
przywitanie trąby, raz zaś jedno z młodszych słoniątek
przewróciło go z figłów na ziemię.

Ciemno już było, gdy Korak doszedł do wioski Kowuda.

Stąpając w cieniu chat krajowców, rozpoczął poszukiwanie
Meriem, kierując się głównie powonieniem, ale wytyczając
jednocześnie słuch i wzrok. Skoro wreszcie doszedł do
jednej z większych chat, stojącej w głębi wioski, zaleciała
go wyraźnie woń dziewczynki. Na progu chaty jednakże
ujrzał na straży rosłego Murzyna z najeżoną włócznią,
który widocznie zmorzony upałem, zdrzemnął się na
posterunku.

Opodal, o kilkaset kroków, siedzieli przy ognisku czarni
wojownicy, zajęci gawędą; należało działać szybko i
ostrożnie, aby nie zwrócić ich uwagi. Korak skradał się na
palcach do śpiącego strażnika, gdy wreszcie stanął za nim,

chwycił go bez wahania za gardło i zanim czarny zdołał się
ocknąć, już nieubłagana śmierć położyła na nim swoje
piętno, pogrążając go w sen wieczysty.

Wówczas człowiek-małpa wsunął się w ciemne wnętrze
chaty.

- Meriem - wyszeptał.

- Korak, mój Korak! - zabrzmiała odpowiedź

przytłumionym trwoga, ale rozradowanym głosem, w
którym drgało wielkie wzruszenie.

Młodzieniec klęknął i przeciął więzy na rękach i nogach

dziewczynki, pomógł jej powstać i biorąc ją za rękę,

wyprowadził za próg chaty, gdzie leżał strażnik. U stóp

trupa kręcił się jego pies, skomląc żałośnie. Na widok

dwóch postaci, wymykających się z chaty, zwierzę poczęło

gwałtownie ujadać. Zwróciło to uwagę wojowników przy

ognisku, którzy rzucili się w stronę chaty. Korak skręcił w

bok, pociągając za sobą towarzyszkę, pies jednakże pobiegł

za nimi, naprowadzając pogoń na ich ślady.

Inni krajowcy, zwabieni krzykami współtowarzyszy,

nadbiegli w stronę chaty, a wkrótce cała ludność wioski

została poruszona. Pierwszym odkryciem, uczynionym

przez nich, było odnalezienie trupa strażnika, po czym

jeden z nich, przestąpiwszy próg chaty, zauważył

nieobecność uwięzionej dziewczyny. Wszystko to przejęło

ich bezmierną trwogą, wściekłość jednakże wzięła górę nad strachem i puścili się pędem za szczekającym zajadłym psem. Ujrzeni wreszcie białego wojownika, uciekającego wraz z uwięzioną przez nich dziewczyną; poznając zaś w nim wroga, który się im nieraz dał swymi napadami we znaki, rzucili się wszyscy ku niemu w nadziei, że go ostatecznie pognębią.

Korak widząc, że zostali spostrzeżeni, zarzucił sobie Meriem na plecy i biegł w stronę drzewa, z którego to zeskoczył, aby dostać się do wioski. Przeszkadzał mu w biegu ciężar dziewczyny, której nogi były tak obezwładnione więzami, krępującymi je przez długi czas, że nie mogła poruszać nimi swobodnie. Gdyby nie ta okoliczność, zapewne zdołaliby schronić się na drzewo, stamtąd zaś dalsza wędrówka byłaby łatwiejsza. Meriem bowiem dorównywała Korakowi w zręcznych skokach z gałęzi na gałąź. Z dziewczyną na plecach Korak nie mógł szybko biec, broniąc się jednocześnie i zanim dobiegł do połowy przestrzeni, dzielącej go od drzewa, gromada psów, zwabionych szczekaniem towarzysza, dopędziła go, chwytając za łydki i przewracając na ziemię. Dzicy, obezwładniony Meriem silnym uderzeniem w głowę, rzucili się na Koraka, z nim jednak była trudniejsza sprawa. Zdołał podnieść się pomimo, że psy i ludzie starali

się do tego nie dopuścić i wyrwawszy maczugę z rąk
jednego wojownika jął nią rozdawać silne razy na
wszystkie strony, rzucając się na wrogów z siłą
rozjuszonego słonia. Czarni pierzchali z placu i tylko paru
zaledwie stawiało słaby opór młodemu siłaczowi. Stary
Kowudo jednak nie chciał zezwolić na to, aby dziewczyna,
za którą spodziewał się znacznego okupu, została mu
odebrana. Zwoławszy tedy swoich wojowników, nakazał
im stanąć rzędem z najeżonymi włóczniami, tworząc
zwarty wieniec, który nie rozstał się ani na jotę.

Nagle zaświtał Korakowi nowy pomysł: spojrzawszy na
Meriem, która teraz odzyskała przytomność i z bijącym
sercem śledziła przebieg walki, zawołał:

- Żegnaj, Meriem, Korak odchodzi, ale wróci i wyrwie cię z
rąk Gomangani!

- Żegnaj! - odrzyknęła mu dziewczyna. - Meriem będzie
wyczekiwała na ciebie niecierpliwie.

Z szybkością błyskawicy, zanim czarni zdolali odgadnąć
jego zamiary, Korak rzucił się pędem przez wioskę w
stronę drzewa, z którego dostał się do osady i wkrótce
zniknął w gęstych liściach; w odpowiedzi zaś na strzały
rzucane za nim przez dzikich, zabrzmiał z głębi dżungli
szydrczy śmiech człowieka-małpy.

ROZDZIAŁ XIII

SPEKULACJA KOWUDA

Meriem, związana i pod silną strażą, została umieszczona znowu w chacie Kowuda, gdzie cała noc i następny dzień zeszły jej na wyczekiwaniu na powrót Koraka, który w jej wyobrażeniu miał moc prawie nadprzyrodzoną. Wierzyła wtedy święcie, iż zdoła ją uwolnić, pomimo piętrzących się przeszkód.

Gdy tak leżała, skrępowana więzami, przebiegała myślą swoje życie w dżungli, pod tkliwą opieką tego starszego brata, porównywała jego delikatną pieczołowitość z brutalnością i okrucieństwem starego szejka i mimo woli zadrżała na wspomnienie owego straszliwego starca.

Kowudo i jego dzika banda nie dokuczali jej tak jak on.

Nie rozumiejąc ich mowy, nie wiedziała, jakie żywili względem niej zamiary i dlaczego trzymali ją w niewoli.

Pamiętała, że plemię ich nie gardziło ludzkim mięsem, spodziewała się więc, że i ona posłuży im za smaczny

kąsek. Mijały jednak dni, a na nic podobnego się nie zanosilo. Nie wiedziała, że został wysłany goniec do

odległej wioski jej ojca, aby mu ofiarować ją za sowity okup. Nie wiedziała również, tak samo jak nie wiedział o

tym Kowudo, że goniec nie dobiegł do miejsca

przeznaczenia, gdyż pochwycony został przez ludzi

Malbihna i Jenssena, przed którymi się wygadał, po co i dokąd wędruje. Dwaj biali przypomniawszy sobie nagrodę, ogłoszoną swego czasu przez rodzinę Jacot, za odnalezienie zaginionego dziecka, postanowili z tego skorzystać. Malbihn, wkrótce po odejściu gońca z obozu, wyszedł na polowanie i ukrywszy się za krzewami, około których wypadła droga nieszczęsnego wysłannika... wymierzył do niego z karabinu, kładąc go trupem na miejscu.

Stało się to na krótko przed ową dziwną przygodą z małpami, która kosztowała Szwedów niemało nabojów i wysiłków, zużytych na obronę przed natarczywym napadem pawianów, których liczny zastęp dotarł do obozu białych z wrogimi zamiarami. Tylko z trudem udało im się pozbyć nieproszonych gości.

Tak Malbihn jak Jenssen wiele by dali za sposobność przydybania i zglądzenia osobliwego człowieka, przodującego małpom, uważali go bowiem za głównego sprawcę całego tego zajścia.

- To pewno ten sam zuch, do którego dawaliśmy ognia parę lat temu - zauważył Malbihn. - Wówczas towarzyszył mu olbrzymi goryl. Czyś zdołał mu się przypatrzeć, Karolu?

- Owszem - odparł Jenssen - stał może o jakie pięć kroków

ode mnie, gdy do niego wymierzył i spudłował. Wygląda na inteligentnego Europejczyka, młodzieńca, prawie że chłopiec jeszcze. Nie znać na nim żadnego piętna degeneracji czy choroby umysłowej, jak się to zdarza u t.zw. "leśnych ludzi", którzy na skutek zdziwienia, schroniwszy się w lesie, nabierają nawyknień i przywar zwierzęcych. Jest to zupełnie innego rodzaju człowiek, tym więcej należy się go lękać. Chociaż bardzo pragnąłbym wpakować mu kulę we właściwe miejsce, życzę mu szczerze, aby nas unikał, bo mimo woli żałowałbym, gdyby mi wypadło go zabić.

Biały olbrzym jednakże nie zjawił się więcej na czele gromady pawianów, które niebawem zaniechały napadów na obóz i powędrowały w głąb dżungli.

Nazajutrz Szwedzi wyruszyli w stronę wioski Kowuda, z mocnym postanowieniem zdobycia białej dziewczyny, znajdującej się w niewoli u czarnego wodza.

Obmyślili sobie zawczasu plan działania. Nie wspominając zgoła o białej niewolnicy udali, że wcale nie wiedza o jej istnieniu, zamienili natomiast upominki z Kowudem, targując się jak należy, co do wartości tego, co mieli otrzymać w zamian za swoje towary.

Podczas tych transakcji zdawali sprawę ze wszystkich wieści zasłyszanych w wioskach, przez które przejeżdżali.

Przysłuchiwał się nowinkom Kowuda, który przez ten czas ani razu nie wspomniał o białej niewolnicy. Malbihn tylko przy końcu rozmowy nadmienił mimochodem o śmierci szejka. Kowudo okazał zdziwienie i zainteresowanie.

- Nie wiedziałeś o tym? - zagadnął Malbihn. - To bardzo dziwne. Stało się to podczas ostatniej pełni. Koń jego potknął się na drodze, szejk spadł z niego i przygnieciony został jego ciężarem. Gdy ludzie ze świty nadbiegli, stary przestał żyć.

Kowudo podrapał się w głowę. Czuł się bardzo zawiedzionym, tracił bowiem nadzieję uzyskania wykupu za dziewczynę. Teraz nie przedstawiała ona żadnej wartości, mógł ją tylko chyba użyć jako smaczny kęsek na biesiadę lub też uczynić z niej swoją małżonkę. Ta ostatnia myśl nasunęła mu inne do głowy, spojrzał uważnie na Malbihna. Dziwni są biali ludzie, podróżują bez kobiet, chociaż Kowudo wiedział, że i oni czuli są na kobiecie wdzięki. Ale do jakiego stopnia? To pytanie zastanawiało go i postanowił od razu przystąpić do rzeczy.

- Wiem ja, gdzie znajduje się pewna biała dziewczyna - rzekł niespodzianie. - Gdybyście chcieli ją kupić, można by ją dostać tanim kosztem.

Malbihn wzruszył ramionami.

- Dosyć mamy kłopotów - rzekł - byśmy sobie ich mieli

jeszcze przysparzać przez starą hienę, co zaś do płacenia za nią - tu Szwed trzasnął palcami na znak pogardy.

- Młoda jest - rzekł Kowudo - i ładna. Szwedzi roześmiali się na głos.

- Nie ma tu ładnych białych kobiet w dżungli, Kowudo - rzekł Jenssen. - Wstydziłbyś się tak pokpiwać ze starych przyjaciół.

Kowudo zerwał się na równe nogi.

- Pójdźcie ze mną! - zawołał. - Przekonam was, że jest tak jak mówię.

Obydwaj powstali, by iść za nim, oczy ich spotkały się na chwilę i Malbihn mrugnął nieznacznie do towarzysza.

Udali się wraz z Kowudem do chaty. W półmroku, panującym w głębi, ujrzeli kobiecą postać, spoczywającą na rozłożonej macie. Malbihn rzucił na nią okiem i zwrócił się do Kowuda:

- Ma ona chyba z tysiąc lat - oświadczył, wychodząc z chaty.

- Ale ona młodziutka! - zawołał dziki. - W chacie jest ciemno, nie można nic rozróżnić, poczekajcie, aż zobaczycie ją przy świetle. Tu kazał czym prędzej wyprowadzić dziewczynę przed chatę.

Malbihn i Jenssen zachowywali się ciągle spokojnie, choć aż drżeli z ciekawości zobaczenia niewolnicy; z pozorną

tedy obojętnością spojrzeli na wyprowadzoną Meriem,

choć Malbihn ledwie zdołał powstrzymać okrzyk podziwu

dla jej niezwyklej urody.

- No? - zagadnął Malbihn starego wodza.

- Zaliż nie jest urodziwa i młoda? - zapytał Kowudo.

- Stara nie jest - odparł Malbihn - w każdym jednak razie

dla nas będzie ona ciężarem. Nie przybyliśmy z północy po

żony, mamy ich już nadto w naszej ojczyźnie.

Meriem stała spoglądając śmiało na białych ludzi. Nie

spodziewała się od nich niczego dobrego, tak samo jak i od

czarnych. Nienawidziła i lękała się zarówno jednych jak i

drugich. Malbihn przemówił do niej po arabsku:

- Jesteśmy przyjaciółmi - rzekł. - Czy chciałabyś, abyśmy

cię stąd zabrali?

Powoli i z trudnością dziewczyna wchłaniała w siebie

dźwięki mowy, znanej w dzieciństwie, wreszcie

odpowiedziała z widocznym wysiłkiem, dobierając słowa.

- Chciałabym być wolną - rzekła - i powrócić do Koraka.

- Nie chcesz zatem iść z nami? - nalegał Malbihn.

- Nie - brzmiała odpowiedź. Malbihn zwrócił się do

Kowuda.

- Ona wcale nie chce z nami iść - oznajmił mu zniechęcony.

- A od czegoż wasza męska siła! - rzekł czarny.

- Łatwo się wam przecież uporać z tak słabą istotą.

- Będzie to wielki kłopot - odparł Szwed. - Nie, Kowudo, wcale jej nie pragniemy, jeżeli jednak chcesz koniecznie jej się pozbyć, gotowiśmy ją zabrać przez przyjaźń dla ciebie. Teraz już Kowudo wiedział, że interes zrobiony. Biali mieli najwidoczniej ochotę na jego towar. Zaczął więc targować się i w końcu osoba Meriem przeszła na własność Szwedów w zamian za sześć łokci perkaliku, trzy puste naboje i świecący nożyk kieszonkowy. Wszyscy, prócz Meriem, uszczęśliwieni byli z rezultatu targu.

Kowudo nalegał tylko, aby nazajutrz jak najwcześniej opuścili jego wioskę, objaśniał bowiem Szwedom, iż lęka się napaści ze strony białego olbrzyma, który tak zacięcie bronił jemu i jego ludziom przystępu do Meriem i który próbował ją wykraść, pomimo czujnej straży.

Meriem została związana i ruszyła w drogę razem z karawaną Szwedów. Malbihn starał się nawiązywać z nią rozmowę, próbował ją uspokoić zapewnieniem, że odwiozą ją do rodzinnej wioski, gdy zaś dziewczyna oświadczyła, że woli śmierć, niż dostać się w ręce Araba, oświadczył jej, iż nie leżało w ich zamiarze odprowadzać ją w tamtę stronę. Rozmawiając z dziewczyną Malbihn przyglądał się jej okiem znawcy: była urodziwa i pełna niewinnego wdzięku. Szwed nagle zbliżył się do niej i schwycił za szyję, a przyciągając do siebie, próbował ją pocałować. Silny

policzek, wymierzony mu przez oburzoną Meriem,

przeszkodził mu w tym napelniając go wściekłością; w tej

samej chwili Jenssen wszedł do namiotu.

- Malbihn! - wykrzyknął z oburzeniem. - Ty bałwanie

jeden!

Malbihn puścił dziewczynę, zwracając się do towarzysza:

wściekłość i zawstydzenie malowały się na jego twarzy.

- Co ty wyprawiasz, u licha? - zamruczał Jenssen. -

Myślałem, że masz więcej oleju w głowie. Jeśli będziemy

się źle z nią obchodzili, nie tylko nie otrzymamy żadnej

nagrody, ale jeszcze przyjdzie nam dostać się do kozy za

karę.

- Nie jestem przecież z kamienia - bąknął Malbihn.

- Radzę ci, byś takim był do czasu - odparł Jenssen - aż

dopóki jej nie odstawimy na miejsce i nie weźmiemy

obiecanych za jej znalezienie pieniędzy.

- Coś zaczynasz chorować na cnotę - zadrwił Malbihn -

myślisz może, że zapomniałem o twoich różnych

awanturkach miłosnych?

- Stul gębę! - warknął Jenssen. - Nie chodzi tu wcale o

cnotę, nie chcę klócić się z tobą, ale jeżelibyś na włos jeden

miał skrzywdzić tę dziewczynę, to, tak mi dopomóż Bóg,

będziesz miał ze mną do czynienia, Svenie - tu dotknął się

znacząco zwieszającego się u pasa rewolweru.

Malbihn rzucił brzydkie spojrzenie na przyjaciela, wruszył ramionami i wyszedł z namiotu. Jenssen zwrócił się do Meriem:

- Jeśli ci się jeszcze będzie naprzykrzał, zawołaj mnie na pomoc, będę tu zawsze w pobliżu.

Dziewczyna nie zrozumiała rozmowy dwóch białych, mówili bowiem po szwedzku, pojęła jednakże to, co Jenssen powiedział do niej po arabsku i domyśliła się powodu ich sprzeczki. Teraz, w swej dziecięcej naiwności, uważając Jenssena za swego obrońcę, jęła go prosić, aby jej pozwolił wrócić do dżungli i do Koraka; doznała jednak nowego zawodu, gdy Szwed roześmiał się grubiańsko, zapewniając ją, że wszelkie próby ucieczki z jej strony, będą srodze karane.

Całą noc przeleżała w namiocie, oczekując na próżno jakiegoś hasła od Koraka. Nazajutrz o świcie ruszyli w dalszą drogę, Korak jednak nie zjawiał się wcale.

Dziewczyna, nie przestając myśleć, że ukaże się w końcu, zaczęła się obawiać o jego bezpieczeństwo.

Czwartego dnia, gdy już uszli olbrzymią przestrzeń, kierując się na północ, wszelka nadzieja ujrzenia wybawcy opuściła Meriem. Malbihn odpowiadał półsłówkami na przyjacielskie zagadywania Jenssena, chodził chmurny i zasępiony, spoglądał od czasu do czasu na Meriem

wzrokiem, w którym malowała się zemsta i pożądliwość.

Tego dnia właśnie zatrzymali się dłużej na wypoczynek.

Malbihn i Jenssen udali się na polowanie, każdy w przeciwnym kierunku, Meriem siedziała sama w namiocie, tuląc do siebie Geekę. Wtem zasłona od namiotu uchylila się i Malbihn wszedł do wnętrza, skradając się na palcach z chytrym, zwierzęcym wyrazem twarzy.

ROZDZIAŁ XIV

BIAŁY BWANA PRZYCHODZI NA POMOC MERIEM

Z szeroko rozwartymi oczyma, jak gołąb zahipnotyzowany wzrokiem węża, dziewczyna spoglądała na zbliżającego się ku niej napastnika. Ręce miała wolne, gdyż była przywiązana za szyję długim sznurem do wbitego w ziemię pala. Cofała się na całą długość sznura przed Malbihnem, który przysuwał się do niej, dysząc zemstą i pożądaniem. Przypomniawszy sobie napomnienie Jenssena, krzyknęła przeraźliwie raz i drugi, gdy zaś Malbihn, chciał jej zatkać gwałtownie usta, jęła bronić się zapamiętale, drapiąc go i bijąc zawzięcie.

Powoli opór jej zaczął słabnąć, okrutny olbrzym, uderzywszy ją parę razy po twarzy, powalił ją na ziemię.

Jenssen, który upolował dwa jelenie, czuł się zaniepokojony tym, że Malbihn odmówił mu swego towarzystwa i udał się w inną stronę. Tknięty złym

przecuciem, polecił swoim ludziom zanieść łupy do obozu,

sam zaś podążył tam krótszą drogą, śpiesząc się bardzo.

Jakoż krzyk, posłyszany w oddali, utwierdził go co do

śłuszności przypuszczeń; krzyk ten powtórzył się jeszcze,

po czym zapanowało milczenie. Jenssen, mruknawszy

słowa przekleństwa, przyśpieszył jeszcze kroku.

Oprócz Jenssena, daleko poza obozem, ktoś inny jeszcze

posłyszał rozpaczliwe wezwanie Meriem. Był to

cudzoziemiec, który nie wiedział wcale o bliskim

sąsiedztwie obozu białych w tych stronach; polował on z

garstką smukłych, czarnych krajowców. Podążył szybko w

kierunku tego głosu, zrozumiał bowiem, że to gwałtowne

wołanie o pomoc. Ponieważ jednak znajdował się znacznie

dalej od obozu niż Jenssen, ten wyprzedził go i znalazł się

w namiocie w chwili, gdy opór Meriem słabnął coraz

bardziej. Skoro Malbihn go ujrzał, chwycił rewolwer,

mierząc ku niemu; Jenssen uczynił to samo i dwa strzały

jednocześnie zabrzmiały w powietrzu. Jenssen chybił, ale

Malbihn wycelował trafnie, wkrótce też broń wypadła z

bezwładnej ręki jego druha. Malbihn kopnąwszy ze złości

ciało towarzysza, zbliżył się do Meriem, lecz gdy ją

pochwycił w swoje kleszcze, zasłona namiotu uchyliła się z

lekka i nieznamy biały człowiek wszedł do wnętrza.

Malbihn nie widział go, będąc odwróconym plecami.

Przeskoczywszy przez trupa Jenssena, zbliżył się do Malbihna i kładąc ciężką rękę na jego ramieniu, zmusił go do puszczenia szamoczącej się dziewczyny. Szwed odwrócił się raptownie, chcąc zobaczyć, kto mu znowu staje na przeszkodzie; zdumione jego oczy ujrzały cudzoziemca, rosłego bruneta o stalowych źrenicach, ubranego w mundur khaki, z hełmem na głowie. Malbihn sięgnął po fuzję, nieznajomy jednak szybciej niż on pochwycił za jego broń i odrzuciwszy ją poza namiot, zwrócił się do Meriem: - Co to wszystko znaczy? - zapytał w niezrozumiałym dla niej języku.

Potrząsnęła głową, odzywając się po arabsku.

Cudzoziemiec powtórzył swoje pytanie w tymże języku.

- Ci ludzie zabierają mnie daleko i nie chcą mnie puścić do Koraka. Ten mnie krzywdzi. Tamten, którego ten zabił chciał mnie obronić. Obydwaj byli dla mnie niedobrzy, ale ten jest najgorszy. Gdyby mój Korak był tutaj, zabiłby go z pewnością. Ty pewno jesteś niedobry tak jak i oni, więc nie zechcesz go zabić.

Nieznajomy uśmiechnął się dobrotliwie.

- Zasługuje on na karę z pewnością - rzekł - nie ma co do tego wątpliwości. Ongiś byłbym go zabił, ale teraz w każdym razie nie pozwolę mu więcej ci dokuczać.

Po czym zwrócił się do Malbihna:

- Dostyc już tej zabawy! - rzekl. - Zaslugujesz na smierc.

Wiem dobrze, cos ty za jeden. Ty i twój przyjaciel daliście się dostyc we znaki tutejszym krajowcom, nie ma dla ciebie miejsca w tych stronach. Wypuszczę cię tym razem, gdyby cię jednak kiedykolwiek wzięła chęć powrotu, ja sam wymierzę ci sprawiedliwość. Czyś mnie zrozumiał?

Malbihn zaczął burczeć i grozić, nazwał przy tym nieładnym przezwiskiem nieznajomego, który słysząc to, potrząsnął nim jak trzcina, aż zadzwoniły mu wszystkie zęby.

- Wynoś się teraz - rzekl nieznajomy. - Na drugi raz zapamiętaj, z kim masz do czynienia.

Tu nachyliwszy się, szepnął mu do ucha nazwę, która podziałała więcej na lotra niż siła pięści; uspokoił się bowiem zupełnie, biały zaś olbrzym jednym kopnięciem wypchnął go z namiotu.

Nieznajomy zwrócił się do Meriem i przeciął jej więzy.

Czy mi pozwolisz teraz wrócić do mojego Koraka? - zapytała dziewczynka.

- Postaram się odesłać cię do twojej rodziny; jak się nazywasz i gdzie jest twoja wioska? - zagadnął z kolei nieznajomy, przypatrując się uważnie dziewczynce. - Kto jest ten twój Korak? - powtórzył znowu pytanie.

- Korak? Korak jest oczywiście małpą, Mangani. Nie mam

nikogo na świecie. Korak i ja mieszkamy sami w dżungli, odkąd Aht (dziewczynka zawsze wymawiała tak imię Akuta) poszedł królować małpom. Korak mógł zostać królem, ale nie chciał.

- Korak zatem jest małpą? - pytał dalej zaciekawiony mężczyzna. - A ty kimże jesteś, proszę?

- Ja nazywam się Meriem i również jestem małpą.

W spojrzeniu nieznajomego odbiło się wielkie współczucie i politowanie. Zbliżył się do dziewczynki i dotknął z lekka jej czoła i skroni. Mała cofnęła się z dzikim mruknięciem. Na ustach jego zamigotał uśmiech.

- Nie lękaj się wcale - rzekł. - Nie skrzywdzę cię w niczym.

Chcę się tylko przekonać czyś zdrowa, czy nie masz gorączki. Jeżeli jesteś zdrowa, udamy się na poszukiwanie Koraka.

Meriem spojrzała badawczo w stalowe, bystre oczy.

Musiała tam znaleźć zapewnienie o szlachetności zamiarów nieznajomego, gdyż pozwoliła mu dotknąć się jej czoła i zbadać puls.

Okazało się, iż nie miała gorączki.

- Od jak dawna byłaś małpą? - spytał ją znowu.

- Kiedy byłam małą dziewczynką, wiele, wiele lat temu, Korak przyszedł i zabrał mnie od mojego ojca, który mnie mocno bił. Od tego czasu mieszkałam w drzewach z

Korakiem i Ahtem.

**- W której stronie dżungli mieszka Korak? - zagadnął
nieznajomy.**

**Meriem zrobiła szeroki ruch, ogarniający co najmniej pół
kontynentu Afryki.**

- Czy umiałabyś do niego trafić?

- Nie wiem, ale on z pewnością do mnie trafi.

**- Mam zatem pomysł - rzekł nieznajomy. - Mój dom
znajduje się niedaleko stąd. Zaprowadzę cię tam i moja
żona będzie opiekowała się tobą, dopóki Korak nie
przyjdzie i nie odnajdzie cię.**

**Nieznajomy pozostał z dziewczynką koło obozu Malbihna,
aż ten nie oddalił się stamtąd ze swymi ludźmi. Meriem,
pełna zaufania do nowego przyjaciela, gwarzyła z nim,
przyculając do siebie Geekę. Nieznajomy przypisywał
trudność, z jaką wyrażała się po arabsku, zaćmieniu władz
umysłowych dziewczynki; gdyby mógł wiedzieć, ile lat
upłynęło, od czasu, gdy opuściła dom szejka, nie byłby się
zapewne temu dziwił. Był jeszcze jeden powód, dla którego
Meriem z taką łatwością zapomniała arabskiego języka,
ale o tej przyczynie nie wiedziała ani ona sama, ani nikt
inny.**

**Ponieważ widział, że dziewczątka upierało się ciągle, by
powrócić do Koraka, nieznajomy z początku siedł we**

wskazany przez nią kierunku i nieznacznie, nakładając drogi, doprowadził ją do wielkiej równiny; dziewczynka stojąc już na skraju lasu dojrzała z daleka uprawne zagony pola oraz różne budynki.

- Gdzie jesteśmy? - zapytała zdziwiona.

- Nie mogliśmy znaleźć Koraka, - odparł jej opiekun - ponieważ zaś droga wypadła koło mego domu, wypoczniesz tutaj u mojej żony, ja zaś wyślę moich ludzi na poszukiwanie twojej małpy. Tak będzie lepiej, maleńka. Będzie ci dobrze z nami i bezpiecznie.

- Lękam się, Bwano - rzekła dziewczynka - że w twoim domu bić mnie będą tak, jak to czynił szejk, mój ojciec.

Pozwól mi powrócić do dżungli. Tam Korak znajdzie mnie z pewnością, nie przyjdzie mu na myśl szukać mnie w domu białego człowieka.

- Nikt cię nie będzie bił, dziecko - odparł nieznajomy. - Ja przecież cię nie biłem? Tu wszystko należy do mnie i będą się z tobą dobrze obchodzili. Moja żona będzie dla ciebie bardzo dobra, w końcu zaś i Korak się zjawi, gdy roześlemy ludzi, którzy go będą szukali w dżungli.

Dziewczyna potrząsnęła głową.

- Nie zdołaliby go przyprowadzić, on ich wszystkich pozabija, bo jego ludzie chcieli zabić. Boję się, Bwano.

Pozwól mi wrócić do dżungli.

- Nie znasz przecież drogi, dziecko. Co taki dzieciak, jak ty robiliby sam w dżungli? Rozszarpią cię tam lwy lub tygrysy. Przecież obroniłem cię od złego człowieka, należy mi się zatem trochę posłuszeństwa. Chodź ze mną, a doczekasz się powrotu Koraka.

Meriem roześmiała się.

- Dżungla - rzekła - jest mi matką i ojcem. Nie boję się jej wcale. Nie lękam się lamparta, lwa ani tygrysa. Mogę zostać przez nich zamordowaną, tak jak może mnie na śmierć zakłuć jadowity robak. Mniej mnie trwoży lew niż taki robaczek; lwa bowiem wyczuję powonieniem i złowię uchem szelest uginających się pod nim traw, robaczka zaś dostrzec nie mogę, aż poczuję jego zjadliwe żądło. Mimo tych niebezpieczeństw nie lękam się dżungli i za nic na świecie nie porzuciłabym jej na zawsze. Ale twój dom jest przecie niedaleko, tyś był dobry dla mnie, więc chętnie z tobą przez jakiś czas zostanę.

- Dobrze zatem! - zawołał wesoło nieznajomy i skierował się wraz z dziewczęciem w stronę dobrze zagospodarowanego afrykańskiego folwarku. Meriem zaś zaprzyjaźniła się od razu z dwoma psami z wilczej rasy, które wybiegły na spotkanie pana, witając go radośnie. Na ganku białego domku kobieta w bieli witała z daleka nadchodzącego myśliwego, powiewając chusteczką.

Meriem, z trwożnym spojrzeniem, zwróciła się do opiekuna.

- To moja żona - objaśnił. - Rada ci będzie, dziecko moje.

Kobieta podeszła na ich spotkanie, nieznajomy ucałował ją i zwracając się do Meriem przemówił po arabsku, przedstawiając dziewczynkę:

- Oto Meriem, moja duszko - rzekł i opowiedział całą historię sierotki, znalezionej w dżungli.

Meriem, przyjrawszy się kobiecie stwierdziła, że jest niezwykle piękna - wyraz dobroci i słodyczy był wryty na jej urodziwej twarzy. Nie lękała się już wcale, a gdy jej dzieje zostały opowiedziane, kobieta podeszła do niej i objąwszy ją za szyję nazwała "swoją biedną małą pieszczotką". Coś zadrżało w serduszku Meriem.

Schowała główkę na ramieniu nowej przyjaciółki, w której głosie dźwięczała matczyna nuta. Meriem nie słyszała jej od czasów niemowlęctwa, toteż z oczu jej puściły się łzy rozrzewnienia i radości.

Tak to Meriem, mała dzika Mangani, dostała się z dżungli do domu pełnego kultury i cywilizacji. Przyzwyczała się niebawem do uważania Bwany i "Mojej Duszki" (tak bowiem nazywał mąż swą piękną panią) za swoich rodziców. Teraz, skoro przezwyciężyła obawy, czuła do nich pełne zaufanie i gotowa była czekać tutaj na powrót

ukochanego Koraka.

ROZDZIAŁ XV

KORAK WZYWA NA POMOC PAWIANY

Przez ten czas Korak, pokryty ranami, umazany krwią, dyszący gniewem i przygnębiony smutkiem, wędrował po dżungli, skacząc z drzewa na drzewo w poszukiwaniu pawianów. Dopędził wreszcie całą ich gromadę, która dążyła na południe, zmieniając miejsce dotychczasowego pobytu. Na widok białego wojownika tylne straże wydały hasło ostrzegawcze. Zewsząd rozległy się groźne pomruki i trwożliwy pisk matek, dźwigających na grzbietach swoje młode.

Korak wywołał głośno króla, który z wolna ruszył w jego stronę na swoich pałakowatych nogach. Korak stał nieruchomy, wiedział bowiem, że każdy niewczesny ruch może wprawić zwierzęta w stan podniecenia, a wówczas rzucą się na niego, nie czekając na jego tłumaczenie.

Król pawianów podszedł teraz bliżej, mrużąc, sapiąc i węsząc, wówczas Korak zabrał głos:

- Jam jest Korak - rzekł. - Otworzyłem klatkę, która cię więziła. Wybawiłem cię z mocy Tarmangani. Jam jest Korak, Mordercza Ręka. Jam twoim przyjacielem.

- Hu-u-u! - mruknął król. - Powiedziały mi o tym moje uszy, oczy moje, powiedział mi o tym mój nos, co nigdy się nie myli. Jam przyjazny tobie. Pójdź ze mną na łowy.

- Korak nie ma czasu na łowy - odparł człowiek-małpa. -

Gomangani porwali Meriem. Związali ją i trzymają między sobą, nie chcąc jej wypuścić. Korak sam nie zdołał jej uwolnić. Czy teraz zechcesz sprowadzić swoją gromadę na pomoc Korakowi i Meriem?

- Gomangani mają długie, ostre kije, którymi umieją ciskać. Przebijają ciała mojej gromady, zabijają pawiany.

Gomangani to niedobre istoty, zginiemy wszyscy, jeśli pójdziemy do ich wioski.

- Tarmangani mają pałki, które czynią wielki łomot i zabijają z daleka - odparł Korak. - Trzymali w rękach te pałki, gdy cię Korak uwolnił z potrzasku. Gdyby Korak uciekł przed nimi, byłbyś pozostał w niewoli u

Tarmangani.

Pawian podrapał się w głowę, rozglądając się po otaczających go samcach, które tłoczyły się, rozpychając się wzajem i strzygąc ciekawie uszami na to, co mówiła ta dziwna, biała istota.

- Jest nas za mało - zamruczał jeden z nich,

- Są jeszcze pawiany z górzystych stron - poddał inny. -

Jest ich tak wiele, jak liści na drzewach. One też nienawidzą szczepu Gomangani. One lubią walkę, są dzikie i okrutne. Poprosimy, aby nam towarzyszyły.

Wówczas możemy wytępić wszystkich Gomangani w całej

dżungli. - Tu ryknął złowrogo, potrząsając zarośniętym łbem.

Korak tedy musiał się zgodzić na ich plan i wyruszył w drogę z królem oraz dwunastoma rosłymi samcami, pozostawiając stado w tyle za sobą. Przerzucali się z gałęzi na gałąź, a człowiek-małpa dotrzymywał im znakomicie placu. I tylko wówczas, gdy drzewa były rzadsze, zlazili na ziemię, poruszając się w milczeniu, aby nie zdradzić swej obecności przed lwem czy lampartem.

Przez dwa dni wędrowali po dzikiej dżungli, wreszcie wydostali się na otwartą równinę, okoloną wysokimi górami. Korak znalazł się tu po raz pierwszy, niewiele go jednak obchodziły piękności krajobrazu, myślał bowiem ciągle o wybawieniu Meriem z okrutnej przemocy.

Zbocza gór pokryte były gęstym borem; skoro drużyna zagłębiła się w tę gęstwinę, zwolniła nieco kroku. Pawiany od czasu do czasu rzucały w przestrzeń żaloszny okrzyk, nadsluchując, czy nie zabrzmiał jakiś głos w odpowiedzi.

Wreszcie z oddali doszło podobne jęgliwe wołanie. Teraz małpy kierowały się w stronę owego głosu, który odzywał się coraz wyraźniej, gdy zaś doszli do miejsca pobytu górskich pawianów, Korak zdumiał się na ich widok, tak byli liczni i tak dziką, i groźną była ich postawa. Zbliźali się powoli, mając na czele swojego króla; człowiek-małpa

naliczył ich przeszło tysiąc, w oddali zaś za nimi szły

zwartą masą inne. Król pawianów dżungli i władca

pawianów górskich powitali się teraz, obwąchując się

wzajemnie i drapiąc po grzbietach na znak przyjaźni.

Wielkie podniecenie ogarnęło pawiany górskie na widok

Koraka, gdy jednak przemówił do nich w zrozumiałej dla

nich gwarze, radość ich nie miała granic. Opowiedział im o

Meriem, o ich wspólnym życiu w dżungli, o tym, jaką

przyjaźnią darzyli małpy, począwszy od małych Manu, aż

do wielkich Mangani.

- Gomangani, którzy uwięzili moją Meriem, nie są wam

przyjaźni - rzekł. - Strzały ich sieją zniszczenie pośród was.

Pawiany z równin dżungli są zbyt słabe, aby wyzywać ich

do walki. Mówiły mi one, że jest was tyle, ile liści na

drzewach w lesie, że nawet Tantor - słoń, lęka się waszego

męstwa. Mówiły mi, że rade będziecie towarzyszyć nam w

wyprawie na wioskę Gomangani, by ukarać tych

niegodziwców, podczas gdy ja uwolnię moją Meriem z ich

przemocy.

Król pawianów górskich wyprężył się z dumą, drepcząc na

szttywnych nogach, inne samce naśladowały jego ruchy,

wyrażające zadowolenie ze słów obcego Tarmangani, który

mianował się Mangani i władał tak dobrze ich gwarą.

- Tak - ozwał się jeden z pawianów. - My, mieszkańcy gór,

**jesteśmy silni i potężni. Tantor się nas lęka, Numa czuje
trwogę na nasz widok, Szita przed nami ucieka. Ja pójdę z
wami na wyprawę, a sam jeden podolał wszystkim
Gomanganim z równiny.**

**- Jam jest Gub! - zawołał drugi. - Moje kły są długie i
ostre. Zagłębiły się w ciało niejednego Gomangani. Sam
powaliłem siostrę Szity. Gub pójdzie z wami na równinę i
zabije tylu Gomangani, że nikt z nich nie pozostanie do
porachowania trupów.**

Korak spojrzał pytająco na króla.

**- Mężne są twoje pawiany - rzekł - ale najmężniejszy ze
wszystkich jest ich król.**

**Król wówczas napuszył się cały i wydał przeraźliwy
okrzyk, podchwycony przez tysiące pawianów, na znak, że
zgadza się wziąć udział w wyprawie.**

**Korak ruszył tedy naprzód, za nim król górskich
pawianów ze swymi podwładnymi, tudzież król pawianów
z równin, z garstką swoich walecznych druhów. Na drugi
dzień dopiero doszli do wioski Kowuda. Korak wskoczył
pierwszy na drzewo rosnące nad ostrokołem, czereda małp
stała blisko niego, zeskoczył z drzewa, za nim poszli
towarzysze. Chłopiec, wydając przeraźliwy okrzyk, dał
hasło do rozpoczęcia dzieła zniszczenia. Czarni przejęci
byli grozą i zabobonnym lękiem na widok białego**

człowieka, prowadzącego dzikie małpy do ataku, ten strach właśnie odejmował im siły do stawiania skutecznego oporu. Podczas gdy pawiany rozprawiały się z dzikimi, Korak przeszukiwał chaty jedne po drugich, nigdzie jednak nie mógł znaleźć Meriem. Będąc tedy przekonany, że Meriem została okrutnie zamordowana i zjedzona przez plemię Kowuda, Korak przemienił się w bożka zemsty: zachęcał pawiany do walki, sam rozszarpując na kawały krajowców, siekąc ich sękatą pałką, siejąc pomiędzy nimi śmierć i klęskę.

Część dzikich, pod wodzą Kowuda, zdołała zemknąć z placu boju; oddaliwszy się zaś od opustoszałej wioski, krajowcy zmusili swego naczelnika do wyprowadzenia ich daleko w dżungłę, dla znalezienia innego schroniska, z dala od złego ducha, którego wcieleniem był widocznie biały, okrutny wojownik.

W ten sposób Korak utracił jakąkolwiek możliwość dowiedzenia się czegoś o Meriem, która tymczasem znajdowała się w bezpiecznym miejscu, pod opieką białego Bwany, w jego domu, leżącym o niecałe sto mil od wioski, porzuconej przez czarnych.

ROZDZIAŁ XVI

MERIEM SIĘ CYWILIZUJE

Meriem czas upływał szybko w nowym otoczeniu. Z

początku pragnęła gwałtownie powrócić do dżungli, aby szukać Koraka, skoro jednak Bwana wysłał gromadkę swoich czarnych do wioski Kowuda, rozkazując im, aby wybadali na miejscu, w jaki sposób dostała się tam Meriem, oraz aby dowiedzieli się wszelkich możliwych szczegółów co do osoby Koraka, dziewczyna ufając, że natrafią może na ślad Morderczej Ręki, zaniechała swego zamiaru czynienia poszukiwań w dżungli i zgodziła się czekać na powrót wysłanników. Bwana był przekonany, że ów Korak był po prostu wytworem chorobliwej wyobraźni Meriem, na którą podziałały długie miesiące przebyte w niewoli u Murzynów oraz ostatnie przejścia w obozie Szwedów; w miarę jednak, jak czas upływał miał sposobność obserwowania dziewczynki i przekonywał się, iż była ona zupełnie normalna, dziwaczna więc historia, którą mu nieraz powtarzała bardzo go zastanawiała.

Żona białego człowieka, którą Meriem przeważa "Moja Duszka", widząc jak Bwana lubił dziewczynkę nie tylko, że zajęła się serdecznie sierotką z dżungli, samą na świecie i opuszczoną, ale wkrótce pokochała ją za jej pogodne usposobienie i mile zalety charakteru; Meriem odplacała jej za przyjaźń miłością i zaufaniem.

Miesiąc upłynął, zanim powrócił naczelnik wysłanej gromadki ze swą karawaną; przez ów miesiąc dzika, na

wpół naga Tarmangani, przemieniła się w wykwiłtnie ubraną dziewczkę, o cywilizowanym wyglądzie i zachowaniu. Szybko sobie przyswoiła język angielski, tak Bwana bowiem, jak i "Moja Duszka" nie chcieli zwracać się do niej po arabsku, zniewalając ją w ten sposób do nauczenia się ich rodzinnej mowy.

Wiadomości, przywiezione przez karawanę czarnych, przygnębiły wielce Meriem, naczelnik zastał bowiem wioskę Kowuda zupełnie opustoszałą i pomimo usilnych poszukiwań, nie zdołał znaleźć ani jednego krajowca w pobliżu; nie natrafił również na ślad Koraka ani małp, opisywanych z taką dokładnością przez Meriem.

Dziewczyna znowu okazała chęć udania się w dżungłę, by osobiście szukać Koraka. Bwana jednakże zdołał jej to wyperswadować, zapewniając ją, że sam uda się na poszukiwanie jej przyjaciela, skoro mu na to czas pozwoli.

Meriem skończyła właśnie szesnaście lat, choć mogła uchodzić za dziewiętnastoletnią panienkę; powierzchowność jej była ujmująca i pełna niezwykłego wdzięku. Krucze warkocze, błyszczące czarne oczy, opalona cera, o zdrowych rumieńcach, świeże usta i wyraz niewinności, rozlany na całej twarzyczce, czynił z niej urocze zjawisko.

Władza teraz biegle angielskim, pisała i czytała w tymże

języku. Pewnego dnia "Moja Duszka" przemówiła do niej żartem po francusku i ku swemu zdumieniu, usłyszała odpowiedź, wygłoszoną przez Meriem francuszczyzną dziecinną wprawdzie, ale z bardzo dobrym akcentem. Od tego dnia co dzień rozmawiały po francusku i "Moja Duszka" podziwiała łatwość, z jaką ów język przychodził małej i dzikiej Tarmangani, która jakby przypominając coś sobie z widocznym wysiłkiem, odpowiadała coraz to nowymi wyrazami francuskimi, co bardzo zastanawiało jej opiekunkę.

- Musiałaś bez wątpienia słyszeć francuski język w duarze twego ojca, szejka - powiedziała kiedyś do dziewczynki, chcąc sama sobie wytłumaczyć tę jej dziwną umiejętność.

Meriem potrząsnęła przecząco głową.

- Może być - odparła - nie przypominam sobie jednak, abym kiedykolwiek miała do czynienia z kimś, kto by do mnie mówił po francusku, wszystkie te słowa mimo to są mi dziwnie znajome, tak że doprawdy nie mogę zrozumieć, skąd mi się to bierze...

- Ja również tego nie pojmuję - powtórzyła "Moja Duszka".

W tym właśnie czasie goniec przywiózł list, treść którego podnieciła właśnie Meriem.

Do Bwany mieli przyjechać goście z Europy, całe

towarzystwo, złożone z paru pań i panów. Meriem, skoro ją zapewniono, że nikt z gości nie wyrządzi jej krzywdy, wyczekiwała ich przyjazdu z niecierpliwością, tak jak każda podrastająca panienka, ciekawa widoku nowych twarzy.

Wreszcie goście przybyli. Towarzystwo składało się z trzech panów i dwóch pań, małżonek dwóch starszych mężczyzn; najmłodszy z całego grona był młody Morison Baynes, młodzieniec bardzo zamożny, który poznawszy wszelkiego rodzaju przyjemności w Europie, pragnął szukać nowych wrażeń w afrykańskiej dżungli.

Był on słusznego wzrostu, doskonale zbudowany, przystojny, pewny siebie, dość jednak inteligentny, aby nie okazywał się zarozumiały względem bliźnich, wobec których czuł swoją wyższość; na ogół czynił bardzo dodatnie wrażenie.

Meriem była z początku nieśmiała i małomówna wobec przybyłych. Opiekunowie przedstawili ją jako swoją pupilkę, nie wspominając nic o jej przygodach w dżungli.

Goście zachwycali się prostotą i wdziękiem dziewczątka, które - wkrótce oswoiwszy się z nimi - dało folgę swej wrodzonej wesołości, ożywiając i rozbawiając wszystkich.

W ciągu swego pobytu w domu białego Bwany najeździła się konno wraz ze swym opiekunem, знаła więc każdy

zakątek dżungli w obrębie dwudziestu pięciu mil, umiała wyszukiwać kryjówki lwów, po mistrzowsku tropiła ślady zwierząt. Co jednak zastanawiało najwięcej wszystkich, to jej wysubtelniiony zmysł powonienia, za pomocą którego odgadywała obecność drapieżników dżungli, kiedy nikt z otaczających ją osób, nie domyślał się niczego.

Pan Baynes uważał ją za prześliczną i miłą towarzyszkę.

Jako najmłodszy z całego grona, przebywali najwięcej razem. Meriem, nieprzywykła do towarzystwa ludzi takich jak Baynes, z ciekawością i zachwytem słuchała jego opowiadań o wesołych, ludnych miastach Europy, w których on sam grywał zwykle główną rolę i powoli obraz Koraka zacierał się w jej pamięci, pozostając tam niby senne, odległe wspomnienie.

Meriem przestała jeździć na polowania od czasu przyjazdu gości. Nie lubiła tego sportu li tylko dla przyjemności zabijania; najwięcej zajmowało ją tropienie śladów zwierza, uznawała myśliwstwo tylko wtedy, gdy chodziło o zdobycie koniecznego pożywienia, nie znosiła rzezi; teraz zaś przybyli goście starali się zabijać jak najwięcej, aby zdobywać cenne skóry i rogi zwierząt. Meriem więc wolała przesiadywać na cienistej werandzie w towarzystwie "Mojej Duszki" lub też jeździła konno na skraj lasu, tam puszczała luzem kucyka, sama zaś, wskakując na drzewo,

bujala się na gałęziach, przeżywając chwile dzikiej swobody, spędzone w dzieciństwie, marząc o Koraku. Tego dnia właśnie obraz Koraka rozplynął się nagle, ustępując postaci dorodnego Anglika w ubraniu khaki, dosiadającego rosłego wierzchowca.

Marzenia jej zostały przerwane żalonym skomleniem młodego kozłatka, któremu najwidoczniej groziło jakieś niebezpieczeństwo. Meriem, nie namyślając się wiele, zrzuciła obuwie, zdjęła spódnice, byłaby chętnie pozbyła się majteczek, pamiętając jednakże macierzyńskie przestrogi "Mojej Duszki", powstrzymała się od tego i swobodnie już teraz jęła biec, przeskakując z drzewa na drzewo w kierunku skomlenia zwierzątka, któremu najwidoczniej groziła śmierć od któregoś z drapieżników dżungli. Ulubioną rozrywką Meriem było wydzieranie zdobyczy Numie lub Szicie, czego nauczył ją Korak, postanowiła i tym razem splatać podobnego figla, o ile jej się uda.

Żalony piski zwierzątka brzmiały coraz wyraźniej, wciąż z tego samego miejsca. Meriem zastanawiała się właśnie, dlaczego nie ucieka ono przed napaścią, gdy ujrzawszy je, rozumiała powód tych bezsilnych lamentów. Kozłę było przywiązane do pala, umocowanego tuż nad małym jeziorkiem, zaś opodal wielki, grzywiasty lew, hipnotyzując

ofiare wzrokiem, gotował się do skoku.

Najwidoczniej jakiś myśliwy przywiązał je tam na przynętę dla grubszej zwierzyny. Meriem zaczęła się uważnie rozglądać, nie mogła pojąć, skąd się wziął tutaj jakiś obcy strzelec, wiedziała bowiem, że Bwana zakazywał takiego rodzaju polowania na swoich obszarach.

Obejść naokoło polankę, zbliżyć się do uwięzionego zwierzątka, obciąć sznur i dać kozłeciu sposobność do ucieczki, było dziełem jednej chwili, kiedy zaś rozwścieczony Numa zamierzał pochwycić psotnicę, odbierająca mu tak łatwy a smaczny kąsek, Meriem - wskakując na drzewo - znalazła się poza obrębem niebezpieczeństwa i spoglądała drwiąco na ryczącego gniewnie króla dżungli. Oprócz Numy inne jeszcze oczy dostrzegły dziewczynę. Biały człowiek o długiej, żółtej brodzie, ukryty za krzakami, z dubeltówką wycelowaną w stronę lwa, przypatrywał się zdumiony całej scenie. Nie wystrzelił jednakże, z obawy widocznie, aby nie zwrócić uwagi Meriem, która tymczasem, przeskakując z drzewa na drzewo, zagłębiła się w dżunglę, kierując się do miejsca, gdzie zostawiła ubranie i wierzchowca.

Gdy mu znikła z oczu, myśliwy wypełznął spoza krzaków i w pół godziny później znalazł się w małym obozie, ukrytym wśród puszczy. Garstka czarnych powitała go z

zawistną obojętnością. Wszedł do swego namiotu jako wielki, żółtobrody olbrzym, wyszedł zeń ogolony doszczętnie.

Czarni spojrzeli na niego ze zdumieniem.

- Czy zmieniłem się bardzo? - zapytał.

- Hiena, która cię zrodziła, nie poznałaby cię Bwano - odparł jeden ze służby.

Olbrzym zamierzył się ciężką pięścią na zuchwalca, ten jednak, przyzwyczajony do podobnych szturchańców, odskoczył w samą porę.

ROZDZIAŁ XVII

MERIEM SPOTYKA DAWNYCH PRZYJACIÓŁ

Meriem wracała z wolna do drzewa, na którym zostawiła spódniczkę i obuwie. Nucila sobie wesoło, wtem urwała nagle, spostrzegła bowiem gromadę pawianów, bawiących się jej ubraniami. Nie okazały najmniejszej obawy na widok zbliżającej się dziewczyny. Wszak nie było powodu lękać się jednej, bezbronnej Tarmangani, wyszczerzyły więc tylko kły, pomrukując na nią z lekka.

Myśliwi tymczasem powracali z polowania. Jechali nieco rozproszeni, każdy z nich bowiem miał nadzieję, upolowania jeszcze jakiejś zwierzyny na własną rękę. Pan Morison Baynes jechał najbliżej lasu. Uwagę jego zwrócił stojący w oddali koń, puszczone samopas i skubiący trawę.

**Podjechawszy bliżej, poznał wierzchowca Meriem;
przerażony nieco myślą, że dziewczyna błądzi sama po
dżungli, zsiadł z konia, którego pozostawił przy kucu pod
drzewem i sam wszedł do lasu. Zaledwie uszedł kilkanaście
kroków, usłyszał mruczenie i szwargotanie, dochodzące z
pobliskiego drzewa. Rozejrzawszy się uważnie, spostrzegł
gromadę pawianów, wyrywających sobie wzajem różne
części ubrania Meriem.**

**Chciał już wołać o pomoc, gdy nagle ujrzał Meriem,
siedzącą na pobliskim drzewie; dziewczyna ze zwinnością
małpki przerzuciła się na drzewo, zajęte przez pawiany, w
chwili gdy Baynes zamierzał wycelować do jednej z małp,
znajdującej się najbliżej dziewczyny. Dubeltówka opadła
mu bezwładnie na ramię, z ust Meriem bowiem zaczęły się
dobywać takie same gardłowe dźwięki, jakimi
porozumiewały się przed chwilą pawiany, które - nie mniej
zdziwione od Baynes'a - zaniechały mruczenia,
przysłuchując się uważnie mowie nieznannej Tarmangani.**

**Powoli jęły się zbliżać do niej, dziewczyna zaś nie
okazywała najmniejszej trwogi, ale dalej zawzięcie coś do
nich szwargotała. Wkrótce obuwie i spódniczka zostały jej
zwrócone przez małpy, przypatrujące się ciekawie, jak
Meriem obuwała się i zapinała. Dziewczyna prowadziła z
nimi w dalszym ciągu ożywioną rozmowę.**

Baynes przesiedział chwilę oniemiały pod krzakiem,
ocierając kroplisty pot z czoła, wreszcie zerwał się i wrócił
do swego wierzchowca, którego pozostawił na skraju lasu.

Gdy Meriem po jakimś czasie wyszła z dżungli, ogarnął
ją spojrzeniem, w którym malowały się lęk i zdumienie.

- Zauważyłem konia pani, czekającego na nią - rzekł. -

Postanowiłem towarzyszyć pani do domu. Czy nie
przeszkodzi?

- Bynajmniej - odparła wesoło - będzie mi bardzo miło.

Gdy tak jechali obok siebie, strzeżenie przy strzeżeniu,
Morison, wpatrując się w regularny profil dziewczyny, z
niedowierzaniem myślał o widzianej dopiero co scenie. -

Straszne to jednakże - powtarzał sobie w duchu. - Kobieta
skacząca po drzewach i porozumiewająca się z małpami, to
jakiś nienormalny okaz! - Tu znowu otarł pot z czoła.

- Co panu jest? - zagadnęła Meriem. - Słońce już zaszło,
nie ma przecież upału, czemu się więc pan tak poci?

Choć nie zamierzał dać jej poznać, że widział ją i słyszał w
towarzystwie pawianów, nagle, prawie bezwiednie
wybuchnął:

- Pocę się ze wzruszenia: gdym zobaczył wierzchowca pani,
wszedłem do lasu, chcąc panią odnaleźć - zobaczyłem
panią na drzewie wśród pawianów.

- No i co? - zagadnęła obojętnym głosem, tak jak gdyby w

tym nie było nic niezwykłego.

- To przecież było okropne! - zawołał Morison Baynes.

- Okropne? - powtórzyła Meriem, ściągając brwi ze zdumienia. - Cóż było w tym okropnego? Przecież to moi przyjaciele. Czyż to okropne rozmawiać z przyjaciółmi?

- A więc pani z nimi rozmawiała? - zawołał Morison. - Pani je rozumiała, a one panią?

- Oczywiście, że tak - brzmiała odpowiedź.

- Ależ to przecież obrzydliwe stworzenia, wstrętne potwory niższego rzędu. Jakże pani mogła rozumieć ich mowę!

- Nie są bynajmniej ani obrzydliwe, ani wstrętne - odparła

Meriem. - Tak nie można określać przyjaciół. Żyłam

między nimi przez długie lata, zanim Bwana mnie znalazł

w dżungli i przyprowadził tutaj. Prawie nie znałam innej

mowy, oprócz języka Mangani. Czyż miałabym się teraz

wyrzekać znajomości z nimi, dlatego że na razie mieszkam

pośród ludzi?

- Na razie! - wykrzyknął Morison. - Nie może mieć pani

chyba na myśli powrotu do nich? No, no! Cóż my tu za

głupstwa wygadujemy! Co za dziwaczny pomysł! Kpi sobie

pani ze mnie, panno Meriem! Jest pani dobrą dla każdego

stworzenia, więc że pawiany nie napadły na panią, to

jeszcze nie dowód, że pani wśród nich żyła, nie! To przecie

jest niemożliwe!

- Ależ zapewniam pana, że tak istotnie było - nalegała dziewczyna z pewną uporczywością, widząc przerażenie towarzysza i znajdując przyjemność w drażnieniu go. - Przebywałam na wpół naga wśród większych i mniejszych małp. Sypiałam na drzewach, rzucałam się na mniejszą zwierzynę, pożerając ją na surowo. Polowałam na antylopy i bawoły wraz z Korakiem i Ahtem, siadywałam na gałęziach i stamtąd ciskałam w Numę kawałkami drzewa i drażniłam go, wykrzywiając się na niego, aż ryczał ze złości, a od ryku tego trzęsła się ziemia. Korak sporządził dla mnie schronisko w gałęziach, przynosił mi owoce i mięso. Bił się za mnie i był dla mnie zawsze dobry. Zanim przyszłam do Bwany i "Mojej Duszki", nikt prócz niego nie był dobry dla mnie.

Tu głos dziewczyny zadrgał wzruszeniem, zapomniała o drażnieniu Morisona, myślała teraz o Koraku.

Przed oczami stanęła jej postać półnagiego, leśnego bożka, obleczonego w skórę lamparcia; widziała, jak zwinnie przeskakiwał przez gałęzie, skradając się do niej obarczony żywnością, za nim zaś ukazywał się wielki, kosmaty antropoid, podczas gdy ona kołysała się na gałęziach, w radosnym oczekiwaniu.

Chłodne noce dżdżystej pory, czyhające na każdym kroku niebezpieczeństwo: wąż Histah, zgłodniałe lwy i pantery,

wstrętne a zjadliwe robactwo, nie przychodziły jej na pamięć, pamiętała tylko radość dni słonecznych, swobodę, a przede wszystkim obcowanie z uwielbianym Korakiem.

Przez ten czas Morison pogrążony był w wirze myśli, uświadomił sobie, że byłby już bliski ofiarowania swej miłości i nazwiska Meriem, gdyby nie to jej wyznanie.

Nie mógł się przecież żenić z dziką istotą, która do niedawna była na wpół małpą. Kochał ją jednak zawsze i nie chciał jej się wyrzec, powziął tedy pewien zamiar, który uważał za zupełnie możliwy wobec tego, co usłyszał z ust dziewczyny.

Postanowił jednak wybadać ją jeszcze.

- Któż to byli Korak i Aht? - zagadnął.

- Aht był to Mangani - odparła - a Korak Tarmangani.

- Co znaczą te nazwy? Dziewczyna roześmiała się.

- Pan jest Tarmangani - odparła. - Mangani są pokryci włosami, pan by ich nazwał małpami.

- Korak był zatem białym człowiekiem? - pytał dalej.

Meriem przyświadczyła twierdząco głową.

- Był on zatem pani, pani... hm... pani... - tu zatrzymał się, onieśmielony niewinnym wzrokiem jej ciemnych oczu.

- Moim, kim? - nalegała Meriem, nie mająca pojęcia do czego zmierza Morison.

- No... bratem pani?

- Nie, Korak nie był moim bratem.

- Był zatem mężem pani? - wykrztusił wreszcie. Zamiast obrazić się, Meriem rozbawiona wybuchnęła śmiechem.

- Mężem! - zawołała. - Ileż ja mam lat według pana?

Przecież jestem za młoda na żonę, nigdy o czymś podobnym nie myślałam. Korak był - tu zawahała się nad określeniem swego stosunku do Koraka - Korak był po prostu Korakiem - i roześmiała się znowu ze swego wyjaśnienia.

Patrząc na nią i słuchając jej, Morison nie mógł podejrzewać jej o zepsucie, pomimo to jednak usiłował wmawiać w siebie, że nie była taką, jaką się przedstawiała, gdyż inaczej głos sumienia byłby mu wyperswadował nieczne zamiary.

Tego wieczoru, po kilku partiach tenisa, siedzieli razem na werandzie; Meriem, z błyszczącymi oczami, przysłuchiwała się opowiadaniom Baynes'a o przepychu i przyjemnościach wielkich miast europejskich. Nagle pochylił się nad nią, szepcząc:

- Meriem, moja maleńka, czy mogę ufać, że będzie mi wolno nazwać cię moją?

Dziewczyna zadrżała, nie cofnęła się jednakże. On wówczas objął ją ramieniem.

- Kocham cię - szepnął. - Powiedz mi, że odplacisz mi

również miłością.

Usta jego nieomal, że musnęły jej wargi. W tej samej chwili jednak postać Koraka zamajaczyła jej przed oczami, pojawiło się wspomnienie gorącego pocałunku młodego silacza i po raz pierwszy w życiu zrozumiała, czym jest miłość.

Wysunęła się z wolna z objęć Baynes'a.

- Nie jestem pewna - rzekła - czy Kocham pana. Trzeba poczekać. Mamy dużo czasu przed sobą, jestem za młoda, aby myśleć już o ślubie i nie wiem, czy mogłabym czuć się szczęśliwą w Londynie czy w Paryżu, lękam się tych wielkich miast.

Powstała z krzesła.

- Piękna noc - odezwała się znowu - za ładny wieczór, aby iść spać.

Tu wskazała wymownym gestem na gwiaździste niebo, na równinę, osrebrzoną mgłą i na cienie wielkiej puszczy, padające na łąki.

- Ach! Jakie to wszystko kochane!

- Pokochałabyś Londyn więcej jeszcze - rzekł - a Londyn pokochałby ciebie, zasłynęłabyś pięknnością w każdej stolicy Europy, cały świat byłby u twoich nóg, Meriem!

- Dobranoc - powiedziała i odeszła, zostawiając go samego.

Morison Baynes wyciągnął papierosa z wypchanej

papierośnicy i, puszczając w górę smugę dymu, uśmiechnął się do siebie.

ROZDZIAŁ XVIII

NOWY GOŚĆ PRZYBYWA DO BWANY

Nazajutrz Meriem i Bwana siedzieli razem na werandzie, gdy w oddali ukazał się jeździec, dążący w stronę folwarku. Bwana przysłonił oczy ręką, przyglądając się nowo przybyłemu mocno zdziwiony. Cudzoziemców było niewiele w środkowej Afryce, nawet czarni krajowcy z dalszych okolic byli mu znani. Żaden biały nie mógł się pojawić w obrębie stu mil tak, aby Bwana nie był o tym powiadomiony; każdy szczegół, dotyczący obcego przybysza, zostawał Bwanie powtórzony: jak obchodził się z krajowcami, ile zwierza zabił i w jaki sposób, Bwana bowiem nie pozwalał na używanie strychniny lub kwasu pruskiego. Kilku europejskich sportsmenów zostało zawróconych na wybrzeże z powodu okrucieństwa względem czarnej służby, zaś pewien sławny myśliwy, którego nazwisko znane było w całej Europie, został wyrzucony z Afryki Środkowej z zakazem powrotu, skoro Bwana stwierdził, że jego potężny łup, złożony z 20 lwów, został zdobyty za pomocą używania zatrutej przynęty. Wskutek tego wszyscy dobrzy sportsmeni i wszyscy krajowcy liczyli się z Bwana, obdarzając go szacunkiem i

uznaniem. Słowo jego było prawem, tam gdzie dotąd
prawo nie było znane.

Tym razem jednakże ktoś dostał się w tę okolicę
ukradkiem, uchodząc czujności krajowców i Bwana nie
mógł odgadnąć, kim był ów nadjeżdżający cudzoziemiec.

Według tradycji międzynarodowej gościnności spotkał
przybysza u bramy wjazdowej, pozdrawiając go, zanim
tenże zsiadł z konia. Ujrzał smukłego, dobrze
zbudowanego mężczyznę lat przeszło trzydziestu, o
jasnych włosach i starannie ogolonego. Cudzoziemiec był
najwidoczniej skandynawskiego pochodzenia, świadczył o
tym jego akcent i wygląd. Sposób obejścia miał szorstki,
ale otwarty. Wywarł dobre wrażenie na Bwanie,
przywykłym przyjmować cudzoziemców w tej dzikiej,
bezludnej krainie nie pytając ich o nic i myśląc o nich jak
najlepiej, dopóki nie okażą się sami niegodni jego
przyjaźni i gościnności.

- Osobliwa to rzecz - rzekł Bwana - aby mógł się tu zjawić
biały człowiek i żeby ja nie był zawiadomiony o tym
przez krajowców, którzy zwykle uprzedzają mnie o
każdym nieomal ruchu nowo przybyłego podróżnika.

- To pewno dlatego, że przybywam z południa. Nie
spotkałem żadnej osady krajowców w obrębie może
dwustu mil.

- Tak, w istocie, od południa nie mamy żadnych wiosek na rozległej przestrzeni, odkąd Kowudo wyemigrował ze swymi ludźmi - zauważył Bwana w odpowiedzi.

Bwana zastanawiał się teraz, w jaki sposób samotny biały człowiek mógł przedostać się przez dzikie, bezludne obszary rozciągające się na południu. Jak gdyby odgadując jego myśl, cudzoziemiec jął się tłumaczyć:

- Wędrowałem z północy, udając się na południe w poszukiwaniu skór i kości słoniowej, i straciłem ślad ubitego gościa. Mój starszy przewodnik, jedyny, który znał te strony, zmarł na gorączkę. Nie mogliśmy znaleźć krajowców, którzy by nas wyprowadzili na właściwy szlak, zawróciliśmy więc w kierunku północnym. Karmiliśmy się owocami i upolowaną zwierzyną przeszło miesiąc, wędrując po dżungli. Nie miałem wyobrażenia, że mieszka tu jakiś biały człowiek w okolicy, dziś z rana dopiero, rozłożywszy obóz niedaleko zbiornika wody, ujrzałem, wyruszywszy na polowanie, obłok dymu wychodzący z komina. Posłałem tedy towarzyszącego mi człowieka z dobrą nowiną do obozu, sam zaś postanowiłem tu zająć. Oczywiście, że słyszałem o panu, tak jak i wszyscy podróżujący po Środkowej Afryce i byłbym niezmiernie rad, gdybym tutaj mógł spocząć i polować przez parę tygodni.

- I owszem - odparł Bwana. - Niech pan sprowadzi swój obóz nad brzeg rzeki, a sam niech się pan rozgości w moim domu.

- Otóż pan Hanson - rzekł, używając nazwiska, pod jakim przedstawił się nieznajomy. - Zajmuje się on handlem skór i kości słoniowej, zabłądził właśnie na południu dżungli.

"Moja Duszka" i Meriem skinęły głową na przywitanie.

Przybysz wyglądał dziwnie zaambarasowany w ich

obecności, tak że Bwana, litując się nad jego

zakłopotaniem, zaprowadził go do swego gabinetu, gdzie

pan Hanson pokrzepił się zakąską i kieliszkiem wódki.

Skoro obaj panowie odeszli, Meriem zwróciła się do

"Mojej Duszki":

- Dziwne to bardzo - rzekła - ale mogłabym przysiąc, że znałam już dawniej pana Hansona!

Hanson skorzystał z zaproszenia Bwany, ale nie

sprowadził swego obozu nad rzekę, tłumacząc, że ludzie są

swarliwi i skłonni do awantur, lepiej więc było trzymać ich

w pewnym oddaleniu. Co zaś do siebie, to udzielał się

bardzo niewiele, starannie unikając towarzystwa pań, co

wywoływało ogólne rozbawienie z powodu jego

nieśmiałości. Kilka razy za to towarzyszył mężczyznom w

polowaniu, dając dowód zręczności i siły, najchętniej zaś

spędzał wieczory w domu białego ekonoma,

zarządzającego folwarkiem Bwany. Często o zmroku przebywał w kwiatowym ogrodzie, którym pyszniły się "Moja Duszka" i Meriem. Gdy go zastano tam po raz pierwszy, jął tłumaczyć się szorstko, że lubi napawać się kwiatami, pochodzącymi z Europy północnej, tak umiejętnie pielęgnowanymi tu przez gospodynię.

Nie wiadomo jednak, czy to pociągały go tak ostrokrzewy i begonie, czy też piękny kwiat żywy, przechadzający się często w świetle księżyca wśród barwnych grządek: czarnowłosa, śniada o błyszczących oczach Meriem.

Hanson pozostał u Bwany przez trzy tygodnie; twierdził, że jego chłopcy wypoczywają i nabierają sił po uciążliwym błędzeniu po dżungli, nie marnował jednak czasu na czczym wypoczynku, jak to chciał przedstawić. Podzielił swoją karawanę na dwa oddziały, umieszczając na czele każdego z nich zaufanego człowieka. Tym swoim zausznikom zwierzył się ze swych zamiarów, obiecując im sową nagrodę w razie skutecznego wypełnienia przez nich jego planów. Jeden oddział skierował na północ wzdłuż szlaku, łączącego gościńce, po których dążą karawany, idące z południa do Sahary. Drugi oddział miał drogę wyznaczoną na zachód, z rozkazem częstych postojów i rozłożenia obozu za wielką rzeką, stanowiącą granicę owej krainy, którą Bwana uważał nieomal za

swoją. Gospodarzowi swemu objaśnił, że posuwa swój obóz z wolna na północ, pewnego zaś dnia oznajmił, że część jego chłopców uciekła przed napadem karawany Arabów, polujących w północnej stronie. Nie wspomniał ani słówka o drugim oddziałku, wędrującym na zachód. Pewnej upalnej nocy Meriem wyszła do ogrodu, nie mogąc usnąć. Morison raz jeszcze oświadczył jej się tego wieczora i wir myśli odpędził sen z jej powiek.

Za jedną z kwiecistych grządek leżał Hanson, spoglądając na gwiazdy, jak gdyby w oczekiwaniu czegoś. Na co, czy na kogo tak czekał już przez szereg wieczorów? Posłyszał zbliżające się kroki dziewczyny i wsparł się na łokciu, za płotem, z uzdą zarzuconą na palu, stał jego wierzchołek. Dziewczyna przybliżyła się do krzaka, za którym przyczaił się Hanson; ten wsparł się na łokciu, wyciągnął z kieszeni wielką, kolorową chustkę i przygotowywał się do skoku. Wtem rzenie konia zabrzmiało w powietrzu i ku swemu zdumieniu ujrzał Morisona, prowadzącego dwa osiodłane kuce. Meriem ujrzawszy go, spojrzała zdziwiona, Morison uśmiechnął się zawstydzony.

- Nie mogłem spać - jał tłumaczyć. - Zobaczyłem panią przechadzającą się po ogrodzie i przyszła mi na myśl konna przejażdżka. Jazda nocna to świetny sport, proszę się dać namówić.

- Wybornie! - zawołała Meriem ochoczo.

Szwed zaklął półgłosem. Młoda para wyprowadziła wierzchowce za bramę, tam zauważyli konia Hansona.

- Proszę spojrzeć, oto wierzchowiec kupca - zauważył Baynes.

- Był pewno znowu w gościnie u ekonoma - odparła Meriem.

- Dostyc to późna godzina na wizyty, prawda? - odezwał się Baynes. - Nie chciałbym na jego miejscu wracać tak późno do obozu przez dżunglę.

Jakby dla potwierdzenia tych słów, w przestrzeni rozległ się oddalony ryk lwa. Morison wzdrygnął się i spojrzał na dziewczynę, chcąc zauważyć, jakie ten odgłos wywarł na niej wrażenie; nie zdradziła się jednak żadnym drgnieniem, że usłyszała ów niesamowity ryk.

Chwilę później obydwójce jechali stępą przez równinę, osrebrzoną księżycem. Dziewczyna skierowała swego kuca wprost do dżungli, w kierunku zgłodniałego lwa.

- Czy nie lepiej byłoby trzymać się z dala od tego zwierza?

- poddał Morison. - Przypuszczam, że go pani nie słyszała.

- Właśnie, że słyszałam - zaśmiała się Meriem - podjedźmy tam i wywołajmy go.

Morison zaśmiał się sztucznie. Nie chciał być tchórzem w oczach dziewczyny, nie miał również chęci nawijać się

zgłodniałemu lwu. Miał co prawda flintę w siodle, ale źle jest celować w świetle księżyca, co zaś do mierzenia się z lwem, nie próbował tego nigdy, nawet w biały dzień.

Zwierzę umilkło i Morison nabrał odwagi. Jechali teraz z wiatrem do dżungli, nie mogli tedy odczuć zapachu Numy, który zgłodniały leżał w zagłębieniu za krzakami, po ich prawej stronie; powonieniem odczuł łatwe do zdobycia ofiary, a choć był już stary, nie zbywało mu na siłach, podwojonych przez głód; przyczajony więc przygotowywał się do skoku.

W głębi dżungli ktoś inny odczuł z oddali zapach człowieka i Numy. Podniósł głowę, przekrzywiając ją na bok.

- Śmiało, śmiało! - mówiła Meriem do towarzysza, widząc jego wahanie. - Lwa w okolicy nie było już od dwóch lat, mówił mi Bwana, a choćby i był, to wokół ma tyle zwierzyny,, że nie będzie pożywał ludzkiego mięsa.

- Nie boję się lwa - rzekł Baynes - myślałem tylko, jak niewygodnie jest jeździć konno po dżungli, gałęzie tak drapią po twarzy...

- Jeśli o to chodzi - rzekła Meriem - to zejźmy z koni.

- Ależ co znowu! - zawołał Baynes. - Jedźmy dalej. Ruszył naprzód, za nim jechała Meriem, naprzeciw nich zaś leżał ukryty w krzakach potężny Numa.

Hanson tymczasem, nie ukrywając się wcale, podążył za

nimi. Zrozumiał, że Baynes żywił względem dziewczyny takie same zamiary jak on, postanowił więc w każdym razie mu w tym przeszkodzić. A ponieważ dnia poprzedniego ten sam lew napadł na jego obóz i z trudem zdolano go odpędzić, zdjęło go przerażenie, gdy ujrzał, że młoda para kieruje się w stronę dżungli; przeklinając Baynes'a, uderzył konia ostrogami i popędził za nimi. Siedząc na gałęzi drzewa, człowiek, którego doleciały zmieszane wonie ludzi i Numy, pochylił się nad trąbą olbrzymiego słonia, stojącego przy nim.

Wielka trąba kołysała się miarowo w ciemnościach nocy.

Istota, siedząca na drzewie, zwinnym ruchem skoczyła na grzbiet zwierzęcia, wydając przytłumiony, gardłowy dźwięk. Szepnęła coś na ucho słoniowi i oto Tantor, podniósłszy trąbę do góry, jał węszyć zapach ludzki, zmieszany z wonią lwa - Numy, który polechtał już nozdrza dziwnego Tarmangani.

Wreszcie na ponowny rozkaz, wydany półgłosem przez na wpół nagiego jeźdźca, Tantor ruszył ciężkim krokiem w stronę lwa i obcych Tarmangani.

Numa tymczasem zaczynał się niecierpliwić. Jak długo jeszcze wypadnie mu czekać stosownej chwili? Jał bić niespokojnie ogonem o ziemię, wydając przytłumione pomruki. Nieświadomi niebezpieczeństwa Baynes i

Meriem rozmawiali półgłosem, wypoczywając na polance.

**Konie ich stały obok siebie. Baynes pieścił rękę
dziewczyny, szepcząc jej do ucha miłosne słówka.**

**- Jedź ze mną do Londynu - nalegał. - Wystaram się o
przewodnika, który w ciągu jednego dnia doprowadzi nas
do wybrzeża, zanim spostrzegą się w domu, gdzie nas
szukać.**

- Ależ dlaczego mamy tak uczynić? - zapytała dziewczyna.

**- Przecież Bwana i "Moja Duszka" nie będą mieli nic
przeciwko naszemu małżeństwu.**

**- Nie mogę cię poślubić w tej chwili - tłumaczył Morison -
zachodzą tu pewne przeszkody formalne, które ci wyjaśnię
później. Wszystko będzie dobrze. Pojedziemy do Londynu.**

**Ja czekać nie mogę. Jeśli mnie kochasz, to będziesz mi
towarzyszyła. Miłość to prawo natury, żadne prawo
ludzkie nie może się ostać przed Boskim prawem. Co nas
świat obchodzi, jeżeli się kochamy? Ja za ciebie oddałbym
życie! Czyż nie chcesz w zamian nic dla mnie uczynić?**

**- Kochasz mnie? - zagadnęła. - Poślubisz mnie, skoro
staniemy w Londynie?**

- Przysięgam ci to! - zawołał.

**- Pojadę zatem z tobą - wyszeptała - choć nie rozumiem,
dlaczego taką obieramy drogę. - Pochyliła się do niego,
usta ich spotkały się w gorącym pocałunku.**

W tej samej chwili potężna głowa słonia zamajaczyła
poprzez gałęzie drzew. Młoda para, pochłonięta urokiem
chwili, nie spostrzegła go wcale, nie uszedł on jednakże
baczości Numa, jeździec zaś, dosiadający Tantora,
zauważył dziewczynę w objęciach młodzieńca, nie poznał
jednak w tej wykwintnej postaci swojej dawnej Meriem.
Wówczas Numa, w obawie by mu Tantor nie spłoszył
upragnionej zwierzyny, ruszył do ataku, wydając ryk, od
którego ziemia zadrżała. Konie stały przez chwilę
nieruchomo, obezwładnione trwogą. Morison Baynes
zbladł, drżąc jak listek z wielkiego przerażenia. Lew
zbliżał się ku nim z otwartą paszczą, z nastroszoną grzywą,
wyolbrzymiała w blasku księżyca.

Wreszcie mięśnie Morisona wypowiedziały posłuszeństwo,
idąc za głosem natury. Bodąc ostrogami konia, cwałem
puścił się w stronę równiny, oddalając się od
niebezpieczeństwa.

Wierzchowiec Meriem, rżąc rozpaczliwie, podążył za
towarzyszem, lew był tuż za nim. Dziewczyna jednak nie
straciła przytomności. Jeździec na słoniu zachował również
zimną krew, uśmiechając się z zadowolenia na widok tak
osobliwej sceny.

Dla Koraka tych dwoje było obcymi Tarmangani,
ściganymi przez Numę, który był głodny. Pożreć ich było

prawem Numy, jedno z nich jednakże należało do płci słabszej. I Korak czuł instynktowny popęd, aby dziewczynie przyjść z pomocą. Dlaczego? Nie zdawał sobie z tego sprawy. Przecież teraz wszyscy Tarmangani byli dlań wrogami.

Popędził Tantora. Pochwyił swą ciężką włócznię i cisnął nią w przebiegającego lwa. Koń dziewczyny dobiegł do drzew okalających z przeciwnej strony polankę - tu byłby łatwo pochwycony przez lwa; jednak rozwścieczony Numa chciał skosztować ludzkiego mięsa i już położył przednie łapy na zadzie konia, by móc sięgnąć po amazonkę.

Korak wydał okrzyk zdumienia, w którym brzmiało uznanie dla sprawności młodej Tarmangani, ta bowiem wyskoczywszy z siodła, uczepiła się gałęzi drzewa, wdrapując się na sam jego wierzchołek.

Włócznia Koraka trafiła Numę w żebro, zwierz pod wpływem bólu puścił szamoczące się konia. Ten, pozbywszy się ciężaru dziewczyny i nie czując już ostrych pazurów lwa, pomknął pełnym galopem na równinę. Numa nadaremnie próbował pozbyć się ostrego grotu, kłującego go boleśnie. Korak powiódł Tantora w głąb dżungli, nie chciał bowiem, by go ludzie spostrzegli, co mu się w zupełności udało.

Hanson był już na skraju lasu, gdy usłyszał przeraźliwe

ryki lwa. Domyślił się, że straszliwy władca dżungli rozpoczął atak. W chwilę później Morison Baynes, cwałując, przeleciał obok niego, bodąc zawzięcie konia ostrogami. Niebawem pojawił się koń Meriem bez amazonki.

Hanson zaklął, odtwarzając sobie scenę, która musiała rozegrać się w dżungli; popędził wierzchowca, trzymając w pogotowiu fuzję i mając nadzieję, że uda mu się odciągnąć lwa od swej ofiary, lecz gdy Numa pojawił się na równinie, najwidoczniej w pogoni za koniem, Hanson nie mógł sobie tego wytłumaczyć, wiedział bowiem z doświadczenia, że lew nie rzucalby zdobytego łupu dla zdobycia innego.

Wspiął się na strzemionach i dał ognia, lew zatrzymał się i podskoczył ku niemu, lecz wkrótce padł na ziemię i martwe cielsko potoczyło się bezwładnie pod nogi Hansona, który już dążył do lasu, wołając głośno Meriem.

- Jestem tu - zabrzmiała odpowiedź spośród górnych gałęzi drzew. - Czy pan go trafił?

- Tak - odparł Hanson. - Upiekło się pani na dzisiaj, oto nauczka, aby w nocy nie wędrować po dżungli.

Wrócili na równinę, gdzie zastali Morisona, podjeżdżającego ku nim z wolna. Tłumaczył się rozwlekle, że koń jego stanął dęba i czmychnął, tak że zaledwie zdołał

go powstrzymać z wielkim trudem. Hanson uśmiechnął się sam do siebie, przypominając sobie obraz strwożonego młodzieńca, pobudzającego konia do ucieczki, nie pisnął ani słówka o tym, czego był świadkiem. Wskazał Meriem miejsce na swojej kulbace i wszyscy troje w milczeniu powrócili do domu.

ROZDZIAŁ XIX

PODSTĘP HANSONA

Korak tymczasem wyszedł z dżungli i wyciągnął włócznię z martwego cielska Numy. Czuł się przyjemnie podniecony doznanymi wrażeniami, zaniepokoila go tylko niezwykła zwinność młodej amazonki, która swoim chyżym skokiem na gałęzie drzewa, godnym prawdziwej Mangani, przypomniła mu żywo Meriem.

Biedna, mała Meriem! Chciałby się przekonać, czy też owa dziewczynka przypomina z rysów twarzy jego ukochaną towarzyszkę.

Goniąc wzrokiem za trzema oddalającymi się postaciami, jął zastanawiać się, dokąd udawały się teraz; widok ich wzbudził w nim drzeмиące na dnie duszy wspomnienia, głównie zaś pragnął zobaczyć jeszcze ową dzielną istotę, która zasłużyła w jego oczach na porównanie z Meriem.

Ongiś marzył o powrocie do cywilizacji, od czasu śmierci Meriem opuściła go wszelka nadzieja i ambicja. Zamierzał

resztę życia przepędzić w samotności, jak najdalej od ludzi. Zawrócił w stronę dżungli z głębokim westchnieniem.

Na folwarku Bwana oczekiwał na werandzie. Posłyszawszy strzał powziął myśl, że Hanson, którego uważał za swego gościa, mógł powracając do obozu znaleźć się w niebezpieczeństwie. Ubrawszy się szybko, pobiegł do ekonoma, od którego dowiedział się, że handlarz był u niego -wczesnym wieczorem, ale że się niebawem pożegnał.

Wracając od ekonoma, Bwana zauważył furtkę ogrodową otwartą; dalsze badania wykazały, że kuc Meriem i wierzchowiec, najczęściej używany przez Baynes'a, zostały wyprowadzone poza folwark. Bwana zatem zaczął przypuszczać, że to Morison Baynes strzelał, zbudził więc znowu ekonoma, chcąc czynić poszukiwania, gdy wtem zobaczył nadjeżdżającą gromadkę.

Tłumaczenia Baynes'a zostały przyjęte bardzo chłodno przez Bwanę. Meriem milczała. Widziała, że Bwana gniewał się na nią, toteż po raz pierwszy, od czasu przybycia tutaj, czuła się nieszczęśliwą.

- Idź do swego pokoju, Meriem - zwrócił się do niej Bwana.

- Pan zaś, panie Baynes, może zechce zejść ze mną do gabinetu. Chciałbym pomówić z panem.

Meriem i Baynes udali się każde w swoją stronę, było

bowiem coś w tonie słów Bwana, co nakazywało

posłuszeństwo. Bwana zwrócił się teraz do Hansona:

- Jak się to stało, że pan znalazł się z nimi, panie Hanson? -

zapytał.

- Po wyjściu od Jervisa siedziałem w ogrodzie - odparł

handlarz. - Żona pana wie, że mam ten zwyczaj. Dziś

wieczorem zasnąłem sobie pod krzakiem i dopiero

gruchanie tych dwojga rozbudziło mnie. Nie słyszałem

dobrze ich rozmowy, ale oto Baynes przyprowadza dwa

kuce i wyruszają za bramę. Nie chciałem się do tego

mieszać, boć to nie moja rzecz, ale wiedziałem, że nie

powinni byli wyjeżdżać na przejażdżkę o tak późnej porze,

w każdym razie to niestosowne dla dziewczyny, ani też

bezpieczne. Dalej więc jechać za nimi, dobrze się też stało,

żem ich śledził, bo Baynes uciekał przed lwem, ile mu sił

starczyło i zostawił dziewczynę samą, ja zaś w porę

wypaliłem do zwierza, kładąc go na miejscu.

Hanson skończył. Obaj mężczyźni trwali przez jakiś czas w

milczeniu. Wreszcie handlarz odchrząknął parę razy

zażenowany, jak gdyby czuł się w obowiązku uczynić

jeszcze jakieś wyznanie, pomimo że go to kosztowało.

- Co takiego, Hansonie? - zagadnął Bwana. - Pan chciał mi

jeszcze coś powiedzieć, nieprawdaż?

- No widzi pan - zaczął Hanson - kręciłem się tu po

ogrodzie o zmroku, widziałem ich ciągle razem, i za
przeproszeniem, zdaje mi się, że pan Baynes nie ma
dobrych zamiarów względem panienki. Słyszałem jak ja
namawiał, aby z nim uciekła. - Hanson miał na widoku
własny interes, był jednak bliższym prawdy, niż
przypuszczał.

- Myślałem - ciągnął dalej - że ponieważ mam wyruszyć w
drogę, dobrze byłoby, aby pan Baynes pojechał ze mną.
Chętnie go zabiorę z moją karawaną na północ, jeżeli to
panu dogodzi.

Bwana stał pogrążony w myślach, wreszcie spojrzął na
Hansona.

- Oczywiście, Hansonie. Baynes jest moim gościem - rzekł -
i nie mogę posądzać go o chęć ucieczki z Meriem, opierając
się na tym, com tu słyszał; nie chciałbym być na tyle
niegościnnie, aby go zmuszać do wyjazdu, jeżeli jednak
pamięć mnie nie zawodzi, wspominał mi on o swoim
zamiarze powrotu i jestem pewien, że ucieszy go bardzo,
gdy mu zaproponuję, aby przyłączył się do pańskiej
karawany. Zdaje mi się tedy, że Baynes będzie towarzyszył
panu. Proszę tu wstąpić z rana, a teraz dobrej nocy i
dziękuję panu za opiekę nad Meriem.

Hanson, podchodząc do swojego wierzchowca, uśmiechnął
się skrycie, Bwana zaś udał się do gabinetu, gdzie Baynes,

bardzo zmieszany, przechadzał się wielkimi krokami.

- Panie Baynes - rzekł Bwana prosto z mostu. - Hanson wyjeżdża jutro na północ, a że polubił pana bardzo, prosił mnie, abym pana zawiadomił, że będzie bardzo rad mieć pana za towarzysza podróży. Dobranoc panu.

Nazajutrz rano Meriem, na życzenie Bwany, pozostała w swoim pokoju, aż do wyjazdu Baynes'a i Hansona, który nadzwyczaj punktualnie stawił się o świcie, by zabrać towarzysza.

Pożegnanie pomiędzy gospodarzem, a młodym Anglikiem, było bardzo ceremonialne i skoro wreszcie gość odjechał, Bwana odetchnął z ulga.

Był to bardzo niemiły obowiązek. Bwana jednakże nie żałował swego postępku.

Zauważył on pociąg Baynes'a do dziewczyny, znając zaś dumę rodową młodego arystokraty, nie posądzał go o zamiar poślubienia jej, gdyż pomimo jasnej cery, jak na rodowita Arabkę, wierzył, że dziewczyna była córką szejka.

Nie rozmawiał z Meriem o całym zajściu i tu popełnił błąd, gdyż dziewczyna, pomimo całej wdzięczności jaką czuła dla Bwany i "Duszki", była dumną i wrażliwą, tak że Bwana, odsyłając Baynes'a i nie dopuszczając żadnego wyjaśnienia, zraził ją i przygnębił. Przy tym Baynes urósł

w jej oczach na męczennika, sympatia jej więc do tak pokrzywdzonego przyjaciela wzmogła się jeszcze.

Baynes jechał w milczeniu obok Hansona, który nie posiadał się z radości i ukrywał starannie chęć do śmiechu z pułapki, w którą wpadł dumny arystokrata. Postanowił nawiązać z nim rozmowę.

- Źle pana potraktowali, nie ma co! - odezwał się wreszcie, wskazując ruchem głowy folwark Bwany. - Stary wielce sobie ceni tę dziewczynę, nie chce wydawać jej za męża, aby zawsze tu z nim tkwiła, ale widzi mi się, że ją mocno skrzywdził, wysyłając pana - będzie przecież musiała kiedyś wyjść za męża, a na pewno nie znajdzie prędko tak eleganckiego kawalera jak pan.

Baynes, który z razu miał oburknać się na poufalskość Hansona, udobruchał się słysząc te słowa i zaczął go uważać za człowieka o wysokiej inteligencji.

- Nieznośny despota - mruknął Baynes - ale potrafię wyrównać z nim rachunki. Może tu sobie królować w Środkowej Afryce, ale w Londynie pokażę mu, kto ma większe znaczenie.

- Gdybym był na pańskim miejscu - zawołał Hanson - nie pozwoliłbym, aby ktokolwiek stanął mi na przeszkodzie. Mówiąc między nami, jeżelibym się mógł na co przydać, jestem do pańskich usług.

- Bardzo to pocziwe z waszej strony, Hansonie - odparł

Baynes - ale cóż można tu przedsięwziąć, w tej zatraconej dziurze?

- Już ja wiedziałbym, co mam robić - rzekł Hanson. -

Zabrałbym dziewczynę ze sobą, zgodziłaby się na to z pewnością, jeżeli pana kocha.

- To niemożliwe - zauważył Baynes - tu w tym kraju on rządzi na obszarze kilkunastu mil. Złapałby nas bez wątpienia.

- Nie złapałby, gdybym ja się zajął całą wyprawą -

zapewnił Hanson. - Toć ja od dziewięciu lat handluję w

tych stronach i znam okolicę równie dobrze jak on. Jeżeli

pan chce zabrać dziewczynę, ja panu pomogę i zaręczam, że nikt nas nie dogoni, zanim dostaniemy się na wybrzeże.

Powiem panu coś: proszę do niej napisać bilecik, ja go

wyślę przez jednego z moich ludzi. Niech ją pan poprosi,

aby przyszła pożegnać się z panem, przez ten czas obóz

nasz posunie się nieco na północ, a pan może się z nią

umówić, aby była gotowa w oznaczonym dniu. Ja wówczas

wyjdę na jej spotkanie i przywiozę ją do obozu.

- Ale jeżeli ona się nie zgodzi? - poddał Baynes.

- Wówczas uprosi ją pan, by przyszła jeszcze raz na

ostatnie pożegnanie; ja na nią będę czekał i przywiozę ją

na miejsce przeznaczenia. Będzie z początku trochę pisku,

ale nasza turkaweczka oswoi się wkrótce, pan przecież

będzie ją umiał przyhołubić!

Baynes, zrażony grubiańskim tonem Hansona, chciał

nakazać mu milczenie, zrozumiał jednak, że pomoc ta jest

mu niezbędna, więc skinął twierdząco głową.

*** * ***

Korak, który nie mógł zapomnieć o zwinnej dziewczynie

nasuwającej mu wspomnienie Meriem, postanowił

powrócić na miejsce napadu lwa, gdy wtem tętent

nadjeżdżających koni zwrócił jego uwagę. Mając nadzieję,

że zobaczy i dziewczynę, człowiek-małpa postanowił ich

śledzić.

Skoro weszli do obozu Hansona, Morison nakreślił parę

słów i Hanson wręczył bilecik jednemu ze swoich ludzi,

który wkrótce zniknął w zaroślach dżungli, kierując się na

południe.

Baynes przechadzał się niespokojnie po obozie, Hanson

leżał w hamaku, paląc fajkę i uśmiechając się do własnych

myśli.

Przez ten czas Meriem przechadzała się po ogrodzie,

cierpiąc nad pozornie niesprawiedliwym postępkim

Bwany. Tak Bwana jak i "Duszka", chcąc jej oszczędzić

przykrości, nie wyjawili jej prawdziwych zamiarów

Baynes'a względem niej. Wiedzieli dobrze to, czego nie

rozumiała Meriem: Baynes, gdyby ją chciał poślubić, byłby się zwrócił wprost do nich z prośbą o jej rękę i nie otrzymałby odmowy, o ile by ona sama wyjawiała swą zgodę.

Meriem kochała serdecznie swoich opiekunów, ale w serduszkach jej tkwiła wielka tęsknota za bezgraniczną swobodą, w której upłynęły jej dziecinne lata w dżungli.

Teraz oto, po raz pierwszy w życiu, czuła się niewolnicą w domu swoich opiekunów.

Niby uwięziona w klatce lwica, przechadzała się po ogrodzie. Nagle drgnęła, krzaki rosnące wzdłuż płotu, poruszyły się lekko, wprawne jej ucho dosłyszało odgłos bosych nóg, stąpających cichutko po żwirze. Szmer powtórzył się raz jeszcze. Wróciwszy w to samo miejsce, Meriem spostrzegła kopertę, bielejącą w świetle księżyca. Za krzakami czarny goniec przypatrywał się jej pilnie.

Skoro zauważył, że podnosi list, wymknął się z powrotem tam, skąd przyszedł. Meriem z bijącym sercem, pochwyciła białą kopertę, wiedziała, że to wieści od Baynesa. Z łatwością przeczytała jej zawartość przy jasnym blasku miesięcznych promieni.

- Nie mogę odjechać, nie widząc pani - brzmiał list. -

Proszę przyjechać na polankę jutro o świcie, aby mnie pożegnać. Proszę przybyć sama!

Było tam jeszcze kilka słów więcej, które wywołały rumieniec szczęścia na twarzy dziewczyny.

ROZDZIAŁ XX

W KTÓRYM MERIEM ODNAWIA NIEMIŁĄ ZNAJOMOŚĆ

Było jeszcze ciemno, gdy Morison Baynes wyruszył na wyznaczone przez siebie miejsce spotkania. Nalegał, by mu dano przewodnika, twierdząc, iż nie będzie mógł trafić na polankę, właściwie jednak dlatego, iż przejmowała go trwoga na myśl o samotnej przejażdżce po dżungli przed wschodem słońca. Przewodnik tedy szedł nieco przed nim, Korak zaś, przebudzony niezwykle ruchem w obozie Hansona, postanowił towarzyszyć mu, nie będąc przez niego widzianym i, obierając sobie drogę po wierzchołkach drzew, przeskakując jak zwykle z gałęzi na gałąź.

Była już dziewiąta, gdy Baynes zajechał na polankę.

Meriem nie zjawiała się jeszcze. Baynes kiwał się na siodle, czarny przewodnik rozłożył się na trawie, by spocząć,

Korak zaś, usiadłszy na gałęzi drzewa, wyteżał słuch i wzrok, czy nie zobaczy tej, którą tak pragnął ujrzeć;

domyślał się bowiem, że to na nią tak wyczekiwał Baynes.

Wreszcie tętent kopyt końskich doleciał uszu Koraka.

Baynes uderzył konia ostrogami, wyjeżdżając na jej spotkanie. Korak starał się rozpoznać jej rysy pod

cienistym, szerokim kapeluszem. Dziewczyna złożyła głowę na piersi młodzieńca. Usta ich spotkały się na chwilę.

Korakowi zamajaczyło pewne odległe wspomnienie i gorycz zalała mu serce, odwrócił się od nich, nie chcąc być świadkiem czulej sceny.

Gdy spojrział znowu, zauważył, że rozmawiają o czymś z przejęciem. Korak zrozumiał z gestów i podnieconego głosu Anglika, że ten na coś nalegał, dziewczyna zaś stawiała mu opór. Ruchy jej, sposób kręcenia główką, żywo nasuwał Korakowi na pamięć obraz Meriem.

Wreszcie nastąpiło znowu czule pożegnanie, na skraju dżungli dziewczyna odwróciła się jeszcze, wołając: "A więc do widzenia, dziś wieczorem"; po raz ostatni uczyniła gwałtowniejszy ruch głową, kapelusz jej zsunął się nieco i oto Korak zaczął się trząść jak listek, albowiem w rysach dziewczyny rozpoznał swoją ubóstwianą Meriem! Nie umarła zatem! Żyła, piękna i zdrowa, ale cóż mu z tego, gdy oto widział ją w objęciach innego! Ten człowiek zaś stał teraz blisko niego; Mordercza Ręka sięgnął po włócznię... Lecz czyż mógł zabijać istotę, kochaną przez jego Meriem? Niewątpliwie musiała ona kochać owego Tarmangani, inaczej nie byłaby przyjmowała jego pieścizot, ani oddawała pocałunków! Przez chwilę zdjęła go chęć, aby iść do Meriem, stanąć przed jej oczami,

przypomniawszy sobie jednak swój stan zdziwienia, swoje obecne położenie, ogarnął go wstyd i zaniechał owej myśli. Zbieg okoliczności przez długie lata uniemożliwił mu powrót do rodziców. Chłopięca żądza przygód zagnała go w dalekie strony, obawa, spowodowana zabiciem rzezimieszka, wpędziła go w czeluście dżungli. Złe przyjęcie, doznane od spotykanych Murzynów i białych ludzi, skłoniło go do unikania jednych i drugich i do uważania wszystkich za swoich wrogów. W jednej Meriem znalazł pociechę i towarzystwo, za którym tęsknił. Gdy został od niej oderwany, ludzie mu jeszcze bardziej zbrzydli i potomek arystokratycznego rodu Greystoków postanowił, że skoro stał się zwierzęciem, zwierzęciem pozostanie do końca swoich dni.

Teraz jednak, gdy zobaczył Meriem, zaczynał żałować swego postanowienia. Zobaczył istotę przewyższającą go pod każdym względem kulturą i ułożeniem. Nie, owa wykwintna panienska nie była przeznaczona dla niego, na wpół nagiego wyrzutka!

Postanowił zatem śledzić młodego Anglika i czuwać nad nim z miłości do Meriem, przypuszczał, że dziewczyna powróci jeszcze do niego, biada mu jednak, myślał, jeżeli miałby ją skrzywdzić.

W parę minut zatem, po powrocie Baynes'a do obozu

Hansona, zjawił się tam i Korak i zasiadł na drzewie, sprawując czaty.

Hanson o zmroku wyruszył z obozu wraz z jednym z czarnych pacholków.

Noc zapadła, a Baynes wciąż siedział w obozie, palił papierosy jeden za drugim, kręcił się niespokojnie, gdy zaś w oddali zabrzmiał ryk lwa, jął się rozglądać trwożliwie i przyniosłszy dubeltówkę zawołał jednego z czarnych, rozkazując mu dorzucić drewek do ognia. Lękał się najwidoczniej. Korak, widząc to, wydał pogardliwie usta. - Meriem zatem kochała tchórza? - pomyślał z żalem.

Hanson wraz z pacholkiem zajęchali na polankę.

Zostawiwszy chłopca na skraju dżungli, Hanson, prowadząc ze sobą jego konia, pojechał w stronę równiny.

Tam zatrzymał się nieco. Było już około dziewiątej, gdy spostrzegł samotną postać, cwałującą konno. Wkrótce

Meriem stanęła obok niego. Poznawszy Hansona, cofnęła się zdumiona.

- Pan Baynes nie mógł przyjechać, bo potłukł sobie trochę nogę - objaśnił Hanson - prosił, by pani przyjechała ze mną go pożegnać, śpieszmy się więc, aby nas nie przyłapano.

- Czy bardzo cierpi? - zapytała Meriem.

- Głupstwo - odparł Hanson - może się utrzymać na koniu,

ale przezorniej byłoby aby dziś nie próbował przejażdżki,

bo czeka go przecież długa droga.

- Tak, prawda - potwierdziła dziewczyna.

Hanson popędził konia, Meriem jechała za nim. Nie

zwracała wiele uwagi na kierunek drogi, nie wiedziała

bowiem dobrze, gdzie właściwie znajduje się obóz

Hansona. Gdy jednak przejechali całą noc i nad ranem

zatrzymali się tylko, by spożyć śniadanie, Hanson zaś

naglił do podróży, dziewczynę ogarnął dziwny niepokój.

- Nie miałam wyobrażenia, że obóz pana jest tak daleko,

odezwała się spoglądając z podejrzeniem na Hansona,

który teraz, gdy żółty puszek zarostu ocieniał mu twarz,

stawał się postacią dziwnie jej znajomą.

- Dałem im rozkaz, aby wyruszyli dalej o świcie, wiedząc,

że oboje z panią możemy ich dogonić z łatwością.

Jednakże dopiero nazajutrz podejrzenia Meriem nabrały

mocy. Gdy zapytała znowu, jak daleko jest obóz, Hanson

zapewniał ją, że parę mil drogi dzieli ich od celu podróży.

- Widocznie odbyli drogę z większą szybkością, niż to

mogłem przypuszczać - zauważył Hanson.

- Ależ oni wcale tędy nie przechodzili! - zawołała Meriem -

Gdzież ich ślady? - była bowiem dobrze obeznana z życiem

w dżungli, wiedziała jak rozpoznawać świeże i dawne ślady

i właśnie brak wszelkich śladów nasunął jej pierwsze

wątpliwości co do zamiarów Hansona.

- Ach tak? Czyż to możliwe?! - zagadnął szyderczo

Hanson. - Czemu się pani pierwszej nie spostrzegła? Byłbym pani wyjaśnił, że jedziemy zgoła inną drogą, ale że kiedyś może się na nich natkniemy.

Meriem zrozumiała już, że została oszukana i postanowiła uciec od Hansona przy pierwszej sposobności. Tymczasem przypatrywała mu się bacznie, chcąc przypomnieć sobie, gdzie i kiedy widziała już te tak znajome jej rysy.

Było już po południu, gdy wydostali się z dżungli, na wybrzeże szerokiej i spokojnej rzeki. Meriem spostrzegła obóz okolony ciernistą bomą.

- Jesteśmy nareszcie u celu - zawołał Hanson i wystrzelił w powietrze z rewolweru. W tej samej chwili nastąpił wielki ruch w obozie, czarni przybiegli nad brzeg rzeki - nie było jednak między nimi Morisona Baynes'a. Wreszcie, na rozkaz Hansona, podpłynęła ku nim niewielka łódka, która przewiozła ich na drugi brzeg, do obozu.

Meriem zapytała znowu o Baynes'a, uspokojona nieco widokiem obozu, co do istnienia którego miała wątpliwości. Hanson wskazał na namiot, stojący w samym środku ogrodzenia.

- Tam się on znajdzie - rzekł i, wprowadziwszy dziewczynę do wnętrza namiotu, w którym nie było nikogo, spojrzął na

nią szyderczo, śmiejąc się złowrogo.

- A teraz, moja panienko, mam cię w mej mocy, Morison

Baynes niech sobie czeka zdrów na twoje przybycie,

możemy co najwyżej przesłać mu zawiadomienie o naszym

ślubie! Ha! ha! ha! - śmiał się do rozpuku, klepiąc się pod

biodrach z wielkiego zadowolenia.

A Meriem! Próbowała wymknąć się z namiotu, ale żelazne

kleszcze jego palców schwyciły ją za ramię. Gdy się z nim

szamotała bezsilnie, wpatrzona w jego twarz, w pamięci jej

zaświtało wspomnienie podobnej, przeżytej ongiś sceny;

teraz dopiero poznała, z kim miała do czynienia. Hanson

był po prostu Szwedem Malbihnem, który to zabił swego

towarzysza, stojącego w jej obronie, a z którego rąk

wybawił ją Bwana.

Ogolona twarz nadawała mu inny wygląd, teraz zaś zarost

przywrócił mu dawną postać.

- Obecnie jednak - myślała z rozpaczą - nie zjawi się

Bwana, by stanąć w jej obronie.

ROZDZIAŁ XXI

W KTÓRYM TCHÓRZ STAJE SIĘ BOHATEREM

Czarny pacholek, którego Malbihn zostawił na skraju

dżungli, kazawszy mu oczekiwać na swój powrót,

przesiedział pod drzewem dobrą godzinę, gdy nagle

mruczenie zbliżającego się lwa zapędziło go na wierzchołek

drzewa, na które wspiał się ze zręcznością kota. W tej samej chwili lew ukazał się na polance i pochyliwszy się nad leżącym szkieletem antylopy, na którym pozostało sporo mięsa, jął go starannie ogryzać.

Zwierz posilał się aż do świtu; przez całą noc chłopiec siedzący na drzewie, rozmyślał nad tym, co by się mogło stać z jego panem i z dwoma wierzchowcami. Doszedł wreszcie do przekonania, iż został przez niego porzucony rozmyślnie, przeświadczenie to nie przyczyniło się do wzmożenia jego przywiązania do Malbihna, nienawidzonego przez całą karawanę.

Skoro słońce wstało, lew powrócił do dżungli, czarny zaś zeskoczył z drzewa, kierując się z powrotem do obozu. W głowie jego świtały najrozmaitsze pomysły zemsty, w sercu gorzała nienawiść do białego pana za jego okrutny postępek. O milę od polanki zauważył ślad dwóch koni, kierowanych na Zachód i zrozumiał teraz całą prawdę. Oto jego pan oszukał tamtego białego, uwożąc dziewczynę do swego obozu, położonego na zachodzie; polecił mu przy tym posuwać się w kierunku północnym, aby wpadł tym łatwiej w ręce białego Bwany, który niewątpliwie rozpocznie poszukiwania w tamtej stronie. Chłopak wyszczerzył wszystkie zęby, uradowany, że tak potrafił odgadnąć zamysły swego chytrego pana, po czym popędził

z zadziwiającą szybkością szlakiem wiodącym na północ.

Morison przepędził w obozie Szweda bezsenłą noc w niepokoju - zasnął dopiero nad ranem z wyczerpania.

Zaraz po wschodzie słońca obudził go naczelny przewodnik, przypominając mu, że należało ruszyć w drogę i to bez straty czasu. Baynes ociągał się, mówiąc, iż musi czekać na Hansona i na Meriem.

Przewodnik jał mu wystawiać niebezpieczne skutki marudzenia. Człowiek ten był na tyle wtajemniczony w plany swego pana, by wiedzieć, że musiał się on narazić Białemu Bwanie, że zatem może ich spotkać wielkie niebezpieczeństwo, jeśli pozostaną na jego terytorium.

Baynes wzdrygnął się cały na myśl, że Hanson znajduje się, być może, w mocy Bwany, który nie omieszka wyrzucić swej zemsty i na nim, jako na wspólniku handlarza.

- Tak - rzekł zdenerwowanym tonem - musimy stąd wyruszyć natychmiast. - Przewodnik tedy, zwoławszy całą karawanę, skierował ją na szlak północy.

Było już południe, gdy czarny goniec zziąjany i spocony, dogonił małą karawanę.

Skoro Baynes usłyszał wieści, przyniesione mu przez chłopca i zrozumiał, że handlarz Hanson użył jego osoby jako narzędzia do wykonania swoich planów, krew zawrzała w nim gniewem, a serce jego przejęła trwoga o

bezpieczeństwo Meriem.

- Czy wiesz, dokąd udał się twój pan? - zagadnął czarnego pacholka.

- Tak Bwano - brzmiała odpowiedź. - Udał się on do drugiego obozu, położonego nad wielką afi - rzeką, płynącą daleko stąd, w stronie zachodzącego słońca.

- Czy będziesz mógł mnie do niego doprowadzić? - zapytał znowu.

Chłopiec skinął twierdząco głową, rozumiejąc, że nadarza mu się nie tylko sposobność pomszczenia się na swoim znenawidzonym panu, ale jeszcze będzie mógł uniknąć gniewu wielkiego Bwany, który niewątpliwie podąży za karawaną, udając się na północ i wyrze zemstę na ludziach Hansona.

Morison polecił tedy przewodnikowi prowadzić karawanę dalej na północ, sam zaś z czarnym pacholkiem postanowił odszukać Hansona i pośpieszyć na ratunek Meriem.

Korak tymczasem widząc, że obóz, w którym przebywa Morison, rusza na północ w kierunku przeciwnym do miejsca pobytu Meriem, udał się na skraj dżungli, wyczekując, czy się nie ukaze na polance ukochana postać dziewczyny.

Meriem jednakże nie ukazała się wcale, natomiast nadszedł tam wysoki, barczysty mężczyzna w stroju barwy

khaki, w helmie na głowie, szukający pilnie śladów po ziemi, za nim zaś szła gromada sprawnych, czarnych wojowników.

Korak, siedząc ukryty wśród gałęzi drzew, przypatrywał mu się uważnie i długo. Spostrzegł, że ów człowiek, uczyniwszy znak swoim ludziom, skierował się na północ.

Gdy zniknął z oczu, Korak, przygnębiony dziwnym smutkiem, skręcił instynktownie na zachód i zapuścił się w dżungłę.

Baynes, postępując w ślad za swoim przewodnikiem, torował sobie drogę przez gęste zarośla, drapiące go kolcami po twarzy i rękach. Musiał w końcu zejść z konia i szedł pieszo za zwinnym Murzynem. Podczas długich godzin forsownego marszu, Morison rozmyślał nad losem Meriem, nad grożącym jej z rąk Hansona niebezpieczeństwem, wreszcie jął się zastanawiać nad tym, czy to właśnie nie on sam stał się przyczyną całego nieszczęścia. Ogarnęła go tedy wielka i szczerą skrucha, przeistaczająca jego uczucie do Meriem w głęboką miłość. Czuł teraz, że droższą mu jest od wszystkich znanych mu dziewcząt i kobiet, nie raziło go już jej niskie urodzenie i marzył tylko o tym, by móc wyrwać ją z rąk podstępnego Szweda.

Niepomny zmęczenia i trudu, okaleczony, z obolałymi

nogami, w podartym ubraniu, Morison Baynes nie przypominał w niczym papinkowatego arystokraty, ubranego według ostatniej mody, dbającego o swoje wygodę i bezpieczeństwo. Poczucie, że trudem i cierpieniem, choć w części, okupuje swą ciężką winę względem nieszczęsnej dziewczyny, podtrzymywało jego słabnące siły.

Skoro się ściemniło, zgodził się na postój i przespał kilka godzin, zmorzony forsownym marszem i niepokojem. Ta noc spędzona w dżungli, wywołała niezwykłą przemianę w tym tchórzliwym paniczyku.

Korak tymczasem dążył na zachód, tropiąc ślad Tantora, odnalazł go wkrótce i z uczuciem ulgi przytulił się do muskającej go pieśczołliwie trąby przyjaciela.

Daleko na północy, Wielki Bwana i jego ludzie trzymali się uparcie śladów uciekającej karawany Hansona, oddalając się coraz bardziej od dziewczyny, którą zamierzali ratować. A w domu białego Bwany, opiekunka Meriem, darząca dziewczynę macierzyńską miłością, wyczekiwała niecierpliwie powrotu małżonka, w przekonaniu, że wyprawa jego zostanie uwieńczona pomyślnym skutkiem.

ROZDZIAŁ XXII

ZAWZIĘTA WALKA

Meriem, szamocąc się z Malbihnem, zauważyła rękojęć

rewolweru, zwieszającego się mu u pasa. Udając tedy wyczerpanie, przestała się wyrywać z jego rąk, gdy zaś Malbihn rozluźnił nieco uścisk swoich palców, wyciągnęła nieznacznie broń, po czym, pchnąwszy go głową w brzuch, przewróciła go tym niespodzianym natarciem.

Nacisnęła cyngiel rewolweru: niestety! był nie nabity!

Malbihn, podniósłszy się, chwycił ją znowu. Wówczas, nie tracąc przytomności, wymierzyła mu silny cios w twarz rękojęścią broni i Malbihn padł znowu jak długi, ogłuszony i obezwładniony bolesnym uderzeniem.

Nie oglądając się za siebie, Meriem wybiegła z namiotu, służba Malbihna próbowała ją zatrzymać, na widok jednak rewolweru, którym wymachiwała groźnie, wszyscy rozstąpili się przed nią, i bez dalszych przeszkód, zdołała schronić się do dżungli. Tam - wskoczywszy na drzewo - pozbyła się spódniczki i obuwia i zaczęła rozmyślać nad położeniem.

Spojrząwszy na broń, którą się nie mogła posługiwać, powzięła zuchwale postanowienie powrócenia do namiotu

Malbihna i wyszukania tam nabojów, bez których wędrówka po dżungli, była niemożliwa: groziłaby jej śmierć głodowa lub pożarcie przez którego z leśnych drapieżników.

Sądziła, że wskutek silnego ciosu, jaki od niej otrzymał,

Malbihn nie żyje, zaledwie jednak wskoczyła na drzewo rosnące tuż nad ciernistą borną obozu, ujrzała go wychodzącego z namiotu. Cały był zakrwawiony i miotał gniewnym głosem przekleństwa na swoich podwładnych, rozpytując się widocznie o nią, gdyż po chwili wszyscy, ze Szwedem na czele, wybiegli szukać jej po dżungli.

Skoro się przekonała, że w obozie nie było nikogo, zeszła ze swej kryjówki i wślizgnęła się do namiotu Malbihna.

W kącie, koło łóżka polowego, stała skrzynka z rzeczami Szweda. Przypuszczając, że tam właśnie znajdują się naboje, Meriem jęła gorączkowo szperać wśród papierów i listów. Nagle natrafiła na starą, pożółkłą fotografię, przedstawiającą czteroletnią dziewczynkę, z przyklejonym do niej odcinkiem z gazety, którego Meriem nie umiała odczytać.

Gdzie i kiedy widziała tę fotografię? Przypatrzywszy się uważnie rysom dziewczynki, rozpoznała w niej siebie samą, jako małe dziecko.

Skąd się owa fotografia znalazła tu, w rękach tego człowieka? Co opiewał ów odcinek z gazety?

Wtem przyszły jej na pamięć naboje, znalazła je w tej samej skrzynce, wrzuciła do kieszeni i jęła się znowu przyglądać swej pożółklej podobiznie.

Głos powracającego Malbihna przerwał te rozmyślenia.

Wsunęła fotografię za bluzkę i uchyliwszy kotary, ujrzała Malbihna w towarzystwie czarnych, zmierzającego wprost do namiotu. Nie miała ani chwili do stracenia, podniósłszy płótno w głębi namiotu, wypełzła przez tę szparę, czołgając się na brzuchu, w chwili gdy Malbihn wchodził do swojej kwatery.

Z szybkością błyskawicy obiegła ciernistą bomę i, wskoczywszy na wysokie drzewo, rosnące opodal, ukryła się bezpiecznie w jego liściach. Niebawem posłyszała jak Malbihn, ujrawszy porozrzucane papiery, miota przekleństwa na służbę, wreszcie ujrzała, jak po chwili udał się znowu do dżungli, zostawiając tym razem trzech swoich ludzi na straży namiotu.

Po godzinie ukazał się znowu, rozczewieniony i zadyszany ze zmęczenia. Podeszedł do czółen, stojących na wybrzeżu rzeki i rozkazał swoim ludziom zająć je, pozostawiając jedno z nich na wodzie. Sam wsiadł również do czółna i wkrótce wszyscy zniknęli na zakręcie rzeki.

Był to nowy podstęp ze strony Malbihna, przypuszczał bowiem, że po kilku godzinach, dziewczyna znudzona bezcelową wędrówką po dżungli, wróci nad brzeg rzeki i będzie próbowała przedostać się na przeciwległe wybrzeże, aby tym sposobem przybliżyć się choć trochę do folwarku białego Bwany.

Przerachował się jednakże w swym obliczeniu, Meriem, zaledwie straciła ich z oczu, wskoczyła do czółna, wiosłując zawzięcie i, skoro zawracający żeglarze spostrzegli ją, znajdowała się zbyt blisko przeciwległego brzegu, by ją mogli doścignąć. Próżno Malbihn ciskał się i poganiał wiosłarzy, nadaremnie krzychał na nią, by się zatrzymała, próbował wypalić z karabinu, za każdym razem jednak dygocąca ze złości i z podniecenia ręka chybiała celu, i Meriem wkrótce zdołała wylądować, a wskoczywszy na drzewo, zniknęła niebawem w głębi dżungli.

Oddaliwszy się na kilkaset kroków, czując się bezpieczną od pogoni, rozejrzała się wokół. W tym miejscu znajdowała się dość obszerna polanka, na której stały lepianki krajowców, na wpół zrujnowane i opustoszałe.

Meriem, uszczęśliwiona, że będzie mogła bezpiecznie przenocować w jednej z chat, nie będąc napastowaną przez nikogo, udała się w stronę owej wioski, nie przeczuwając, że oczekuje ją tu równie groźne niebezpieczeństwo.

O milę stamtąd na wschód, postępując ciągle szlakiem wydeptanym przez Malbihna, szło dwóch ludzi: Murzyn i biały człowiek w podartym ubraniu, z zakrwawioną twarzą i pokaleczonymi od cierni rękami; z trudnością można było w nim poznać wymuskanego paniczyka, strojnego arystokratę, a jednak Morison Baynes, nabrał

wyrazu takiej szlachetności i męstwa, że nawet jego czarny

towarzysz przemawiał doń z szacunkiem i nieśmiałością.

Na daleki odgłos strzału Malbihna, mierzącego daremnie do Meriem, Baynes przystanął, spoglądając pytającym wzrokiem na Murzyna.

- Jużeśmy prawie u celu, Bwano - odezwał się czarny.

Baynes ruszył naprzód, podał karabin Murzynowi, a dla siebie zachował rewolwer. Po długim błędzeniu po zaroślach dżungli doszli wreszcie do otwartej polanki, nad brzegiem rzeki, gdzie w oddali widniała opustoszała wioska. Plusk wiosła na rzece zwrócił ich uwagę. Podbiegli obaj na wybrzeże, ujrzeli kilka czółen, w których siedział Malbihn i jego ludzie, dążący spiesznie do przeciwległego brzegu, do obozu. Byli już w kłopotcie, jak się do nich przedostać, gdy Murzyn zauważył czółno, pozostawione przez Meriem. Uszczęśliwieni z tej zdobyczy, wskoczyli do czółna, płynąc rażno w stronę obozu Szweda. Malbihn, spostrzegłszy czółno z dwoma ludźmi, zdumiony przestał wiosłować i zatrzymał się na środku rzeki. Jeden z otaczających go czarnych, poznał w towarzyszcu Baynes'a członka ich karawany. Malbihn nie dowierzał własnym oczom; nie przypuszczał ani na chwilę, że tchórzliwy Baynes był w stanie odbyć pieszo wędrówkę po dżungli z jednym tylko pacholkiem.

Teraz czólno przybyszów znajdowało się tak blisko, że można było prowadzić z nimi rozmowę.

- Czego chcesz?! - wrzasnął Malbihn potrząsając groźnie fuzją.

- Ciebie, łotrze! - krzyknął Baynes, dając ognia jednocześnie z Malbihnem.

Malbihn trafiony w piersi, padł na kolana i przewrócił się w czólnie. Baynes osunął się powoli w tył, zesztyniały i blady. Czarny wiosłarz zastanawiał się, co mu należy począć, o ile Malbihn nie żył, śmiało mógłby powrócić do swych towarzyszy z jego obozu, ale niepewny, co czynić, zatrzymał czólno na środku rzeki.

Spoglądał ze współczuciem na Baynes'a, nauczył się szanować go i cenić przez ostatnich kilka dni. Wtem zauważył, że młodzieniec porusza się. Wówczas Murzyn uniósł go ostrożnie i posadził. Stał przed nim, rozpytując go, gdzie został raniony, gdy nagle kula z karabinu Malbihna trafiła go w skroń; padł martwy zaciskając wiosło w ręce, Baynes obracając się z trudnością w stronę wybrzeża, ujrzał tam Malbihna, który - wsparty na łokciach - mierzył do niego z dubeltówki.

Ostatnim, rozpaczliwym wysiłkiem, Anglik położył się na brzuchu i pociągnął za cyngiel rewolweru, mierząc do Malbihna. Szwed odpowiedział wystrzałem. Baynes,

unoszony przez wartki prąd rzeki, wystrzelił jeszcze i tak dwaj ranni toczyli między sobą zaciętą walkę, aż dopóki czołno Anglika nie znikło na zakręcie rzeki.

ROZDZIAŁ XXIII

MERIEM WPADA W SIDŁA SZEJKA

Meriem przeszła prawie pół wioski, gdy nagle gromada Murzynów, w białych szatach, zastąpiła jej drogę, wychodząc z lepianek, opustoszałych na pozór. Próbowwała uciekać, ale żyłaste ręce pochwyciły ją silnie, gdy zaś spojrziała na tego, który ją przytrzymał, rozpoznała z przerażeniem srogie oblicze starego szejka.

Dawny, dziecinny lęk, oświadczył teraz dziewczyną, stała przed nim, niby winowajca przed surowym sędzią, czekając na wyrok śmierci.

- Powróciłaś zatem do twego plemienia, co? - zaharczał stary. - Powróciłaś jak żebraczka prosić o posilek i opiekę?

- Pozwól mi odejść stąd - zawołała dziewczyna. - O nic nie proszę, tylko o to, byś mi pozwolił wrócić do Wielkiego Bwany.

- Do Wielkiego Bwany? - wrzasnął szejka, wyrzucając szereg przekleństw i obelg na białego człowieka, którego lękali się i nienawidzili wszyscy przestępcy w dżungli. -

Miałabyś chęć do niego wrócić? U niego więc przesiedziałaś cały ten czas, odkąd uciekłaś ode mnie? A

przed kim to uciekałaś teraz przez rzekę, czy przed

Wielkim Bwaną?

- Przed Szwedem, którego kiedyś wypędziłeś z twej wioski

za to, że wraz z Mbeedą, chciał mnie wykraść od ciebie -

odparła Meriem.

Żrenice szejka błysnęły złowrogo; rozkazał swoim ludziom

zaczaić się w zaroślach, aby gdy Malbihn wyląduje,

uśmiercić go wraz z jego pacholkami.

Malbihn tymczasem zdołał już wylądować i, ukryty za

rozłożystym drzewem, był z daleka świadkiem spotkania

Meriem z szejkiem. Ponieważ Malbihn lękał się tylko

dwóch ludzi: Wielkiego Bwany i szejka, przeto nie

pozostawało mu nic innego, jak zmykać czym prędzej, by

nie wpaść w ręce straszego Araba. Wskoczył więc do

czółna zwołując swoją służbę; zdążył odpłynąć na środek

rzeki, gdy ten go zauważył, dał rozkaz do strzału, lecz

widząc, że nie dosięgają ich kule, zebrał swoją karawanę,

umieściwszy zaś swą zdobycz pod silną strażą, ruszył na

czele całej gromady kierując się na południe w stronę

rodzinnej wioski.

Ujrzawszy Meriem, uciekającą w czółnie przed pogonią,

uczynił na nią zasadzkę, spodziewając się okupu za białą

kobietę; gdy ją rozpoznał, nie dowierzał własnemu

szczęściu i postanowił strzec jej teraz pilnie, by nie

wyślizgnęła mu się z rąk.

Po dwóch dniach marszu stanęli wreszcie w małej wiosce,
ukrytej w głębi dżungli, gdzie upłynęło dzieciństwo
Meriem.

Mieszkańcy wioski, którzy nie brali udziału w wyprawie
szejka, przyglądali się z ciekawością białej dziewczynie;
stara Mabunu, jej okrutna piastunka wyszczerzyła
bezzębne dziąsła na powitanie, Meriem zaś zdawało się, że
lata radosnej swobody w dżungli przepędzone z Korakiem
i pobyt w domu Wielkiego Bwany były niepowrotnym,
szczęśliwym snem.

Meriem najchętniej przebywała w zacisznym ustroniu, za
namiotem szejka, pod wielkim drzewem, pod którym
bawiła się jako dziecko z ulubioną Geeką; tu pierwszy raz
spotkała Koraka. Tu spędzała teraz długie godziny na
tęsknych marzeniach o Bwanie, o "Duszcze", o Morisonie,
którego obraz jednak był przyćmiony zwinną i smukłą
postacią Koraka, przyjaciela lat dziecińczych. Często przy
tym, przyglądając się fotografii, znalezionej u Malbihna,
łamała sobie główkę, gdzie i przez kogo mogła zostać
sfotografowana jako dziecko w tym europejskim stroju.

Pewnego dnia, gdy tak siedziała zadumana, trzymając w
ręku swój wyblakły wizerunek, stanął przed nią Abdul
Kamak, młody Arab, przybyły do osady szejka podczas jej

dłużej nieobecności.

Abdul spoglądał nieraz na nią ze współczuciem, w którym przebijał się podziw dla urody dziewczyny. Pewnego dnia

Abdul Kamak zakradł się do schroniska Meriem i ujrzał

jak na jego widok pośpiesznie ukryła fotografię w

zanadrzu.

- Pozwól mi zobaczyć ten wizerunek - rzekł. - Czy

przedstawia on ciebie? Zwrócę ci go i nie powiem o tym

nikomu.

Meriem, otoczona wrogami, doznała uczucia pewnej ulgi

widząc, że znalazła się istota, przemawiająca do niej

życzliwie. Podalała tedy fotografię Arabowi.

- Tak, to ty jesteś, bez wątpienia - zawyrokował,

przyjrząwszy się jej uważnie - ale dlaczego córa szejka jest

tu przystrojona w szaty niewiernych?

- Nie wiem -. odparła dziewczyna.

Abdul Kamak zauważył teraz odcinek gazety, ponieważ

zaś przed kilku laty przepędził sześć miesięcy w Paryżu,

dokąd został sprowadzony wraz z kilkoma towarzyszami,

dla przyozdobienia pawilonu algierskiego na ówczesnej

wystawie światowej - nauczył się czytać po francusku;

udało mu się tedy wysylabizować treść artykułiku,

zawartego w odcinku.

- Czytałaś to? - zapytał.

- Nie umiem czytać po francusku - odparła dziewczyna.

Abdul Kamak stał w milczeniu, przypatrując się urodziwej dziewczynie. W głowie jego powstał pomysł: oto wyrwie ją z rąk szejka i poślubi, nie wyjawiając jej treści ogłoszenia w gazecie. Z czasem zaś zgłosi się z fotografią i odcinkiem po spadek jej należny, którym się z nią podzieli.

- Meriem - szepnął jej do ucha - serce moje jest twoim sługą, chciej mi zawierzyć. Zwrócę ci wizerunek, pod warunkiem jednak, że pójdziesz ze mną i zostaniesz moją małżonką. Wszakże twój rodzic, jest okrutny dla ciebie, ja zaś nienawidzę go na równi z tobą.

- Nienawidzisz szejka? - rozległ się złowrogi głos za nimi.

Abdul Kamak schowawszy w zanadrze fotografię, zwrócił się do starego Araba.

- Tak - odpowiedział - nienawidzę szejka! - tu powalił go na ziemię uderzeniem pięści, sam zaś wskoczył na konia, który osiodłany skubał opodal trawę; Abdul wybierał się bowiem owego ranka na polowanie, lecz zauważywszy Meriem, siedzącą samotnie pod drzewem, zsiadł z wierzchowca, aby się jej przypatrzeć.

Korzystając z chwilowego ogłuszenia szejka, młody Arab popędził do bram wioski, wystrzaleł z karabinu rozproszył czarne straże i, zanim szejk odzyskał przytomność, zdołał wysłać za nim pogoń, zniknął wkrótce

w dżungli.

Stary powrócił spiesznie do skulonej pod drzewem

Meriem.

- Wizerunek! - zawołał. - O jakim to wizerunku mówił z

tobą ten pies? Gdzie jest? Daj mi go tu natychmiast!

- Zabrał go ze sobą - odparła Meriem tępym głosem.

- Co było na nim przedstawione? - zagadnął znowu szejk,

chwytając dziewczynę za włosy i pociągając ją ku sobie.

- Ja, jako małe dziecko - wyjaśniła Meriem. - Wykradłam

to Malbihnowi, Szwedowi, z tyłu był przyklejony odcinek

gazety.

Szejk zbladł ze złości.

- Co było tam napisane? - zapytał chrapliwym głosem.

- Nie wiem, były to francuskie wyrazy, a ja ich odczytywać

nie umiem - rzekła dziewczyna.

Szejk doznał widocznej ulgi. Nieomalże uśmiechnął się do

Meriem i nie uderzył dziewczyny jak zwykle, rozkazując

jej tylko, aby z nikim nie wdawała się w rozmowę, prócz

niego i starej Mabunu.

Północnym zaś szlakiem pędził na spienionym rumaku syn

pustyni, Abdul Kamak.

*** * ***

Gdy czólno, uniesione prądem, oddaliło się od obozu

Szweda, leżący w nim Morison zapadł w odrętwienie, z

którego ocknął się dopiero o zmroku. Podniósł się nieco i, wpatrując się w gwiazdy migocące na niebie, jął rozmyślać o Meriem, o niebezpieczeństwie, na jakie została narażona z jego przyczyny i, chociaż rany dokuczały mu bardzo, postanowił, nie tracąc czasu, podążyć na jej ratunek.

Wiosło wpadło do wody razem z trupem zabitego przez Malbihna wiosłarza, jął tedy próbować wiosłowania dłonią i, acz wolniutko, łódź posuwała się naprzód, zbliżając się stopniowo do wybrzeża. Morison posłyszał ryk lwa, czatującego na lądzie, obmacał dubeltówkę, nie przestając jednakże wiosłować. Zbliżywszy się do brzegu, chwycił oburącz za grubą gałąź drzewa, zwieszającą się nad wodą i, odepchnąwszy nogami czółno, zawisł w powietrzu. Siły jednakże odmawiały mu posłuszeństwa. Z powodu głębokich ciemności nie zdawał sobie sprawy, czy znajduje się daleko od poziomu wody. Wtedy z nurtów rzeki wychyliła się paszcza potwora i dwa rzędy klów pochwyciły nogę Baynesa, pociągając go silnie ku sobie. Chwila jeszcze, a przyciśnięty bólem, puści gałąź, a wówczas...

- Do licha - odezwał się do siebie - ten lajdak trzyma mnie ostro - tu zaczął wyteżać siły, by wciągnąć się na gałąź, ale nadaremnie!

Wtem posłyszał szmer liści ponad sobą, poczuł że chwytają

go miękkie, ciepłe łapy, które pociągnęły go na sam

wierzchołek drzewa, sadowiąc go wygodnie pośród gałęzi.

ROZDZIAŁ XXIV

TANTOR SPRAWIA SAD NAD MALBIHNEM

Korak błędził bezcelowo po dżungli na grzbiecie Tantora, nie domyślając się, w jak straszliwych opałach znajduje się Meriem. Zatrzymał się pewnej nocy nad rzeka, gdzie miał zamiar łowić nazajutrz ryby, i ułożył się do snu na drzewie, gdy nagle słowa:

- Do licha! Ten łajdak ostro mnie trzyma - zabrzmiały mu w uszach.

Głos ten wydawał mu się znajomy. Spojrzawszy w dół, rozeznał w mroku postać człowieka, uwieszonego u gałęzi i szamoczącego się gwałtownie, jak gdyby chciał się uwolnić z kleszczy, pociągających go do wody. Korak jednym susem znalazł się przy Tarmangani, chwycił go wpół, wyrwał mu nogę z paszczy krokodyla, a zarzuciwszy go sobie na plecy nie zważając na opór, wciągnął go na drzewo i usadowił wygodnie na gałęzi. Numa, który upatrzył sobie Morisona, jako smaczny kęsek i czyhał na niego, by go schwycić, skoro wydostanie się na ląd, czuł się mocno zawiedziony, że człowiek-małpa sprzątnął mu tak sprawnie przed nosa zwierzynę; obchodząc drzewo dokoła, pomrukiwał złowrogo. Korak, uradowany z figla, spletanego mimo woli Numie, jał go wyzywać w małpiej gwarze. Słyszając te gardłowe dźwięki, Baynes był

przekonany, że został porwany przez goryla, szukał tedy rewolweru, gdy ku wielkiemu zdumieniu, posłyszał zapytanie, wypowiedziane czystą angielszczyzną: - Ktoś ty jest?

Baynes wzdrygnął się i o mało nie spadł z gałęzi.

- Na Boga! - zawołał. - Toś ty człowiek?

- A kimże, sądziłeś, jestem? - zapytał Korak.

- Myślałem, żeś goryl - odpowiedział szczerze Baynes.

Korak roześmiał się.

- Ktoś ty jest? - powtórzył pytanie.

- Jestem Anglikiem, nazywam się Baynes, ale kimże ty jesteś do licha - zagadnął Morison.

- Nazywają mnie Mordercza Ręka - odparł Korak, podając przywilej, nadane mu przez Akuta. Po chwili dodał, usiłując rozeznąć w mroku rysy uratowanego przez siebie człowieka:

- Tyś jest ten, którego widziałem na wielkiej równinie na wschodzie, całującego dziewczynę, kiedy to lew rzucił się na was?

- Tak - odparł Baynes.

- Co robisz tutaj?

- Dziewczyna została porwana, chcę ją wyratować.

- Porwana?! - powtórzył gwałtownie Korak. - Kto ją porwał?

- Handlarz, Szwed, imieniem Hanson.

- Gdzież on jest?

Baynes opowiedział Korakowi wszystko, co zaszło; zanim tedy zapanował świt Korak, ułożywszy wygodnie Baynes'a na drzewie, zaopatrzył go w wodę do picia, przyniósł mu świeżych owoców i oświadczył, że sam idzie po dziewczynę, która tutaj przyprowadzi.

- Ja również pójdę z tobą - nalegał Baynes. Jest to moim obowiązkiem, gdyż miała zostać moją żoną.

Korak wzdrygnął się z bólu na tę myśl, nie zdradzając się jednak przed młodzieńcem, próbował go przekonać, że rozsądek nakazuje, aby pozostał na miejscu, gdyż będąc osłabiony ranami, stanie się tylko przeszkodą w drodze.

- Idź zatem sam - odparł Baynes. - Ja pójdę również, gdyż jest to moim obowiązkiem.

Korak podążył spieszenie ku północy, za nim zaś w oddali, włókl się z wolna Baynes. Już pod wieczór, gdy Morison, zmorzony drogą, wypoczywał w zaroślach, minął go rozpędzony rumak z Abdul Kamakiem na grzbiecie.

Anglik słyszał wiele o straszliwym okrucieństwie Arabów, ukrył się więc przed nim starannie. Niebawem wypełził z gąszczy, zaledwie jednak uszedł kilkanaście kroków, został schwytany przez jeźdźców, wysłanych przez szejka w pogoń za młodym Arabem; kilku z nich, wsadziwszy go na

konia, popędziło z nim razem do wioski, pozostali zaś, podążyli za uciekającym Abdul Kamakiem.

Gdy Korak stanął nad rzeką i ujrzał na przeciwległym wybrzeżu obóz Malbihna, zastanowił się chwilę, w jaki sposób mógłby się tam przedostać. Nigdzie nie było widać czółna, płynąc zaś wplaw, mógł łatwo być pochwycony przez zamieszkujące rzekę krokodyle. Nagle, zwróciwszy się w stronę dżungli, wydał dziwny okrzyk, ostry i dziki. Po jakimś czasie zaszeleściły zarośla, słychać było trzask łamiących się gałęzi i oto z czeluści dżungli wyłonił się olbrzymi Tantor, torując sobie trąbą drogę wśród gęstwiny.

Wskoczywszy na grzbiet Tantora Korak nakazał mu przejść rzekę w bród i wkrótce znalazł się tuż przed borną obozu Malbihna.

Słoń swą trąbą sprawnie wylał otwór w ciernistym ogrodzeniu i po chwili, wśród wrzasków spłoszonych Murzynów, którzy jęli uciekać w popłochu poza bramę, Korak skierował swego przyjaciela do wielkiego namiotu, stojącego w samym środku obozu.

Malbihn leżał w hamaku przed namiotem. Czuł się osłabiony ranami i upływem krwi. Ze zdumieniem podniósł głowę, chcąc odgadnąć przyczynę wrzasków swoich ludzi, uciekających w popłochu, gdy nagle ukazała

się tuż przed namiotem olbrzymia postać słonia, lyskająca
nań złowrogo małymi ślepiami.

Zdziwienie jego podwoiło się, gdy obcy człowiek zeskoczył
z grzbietu słonia. Malbihn poznał w nim dziwnego
sprzymierzeńca kosmatych pawianów, który uwolniwszy
ich króla z klatki, poprowadził na niego i na Jenssena
rozjuszoną gromadę kosmatych potworów. Szwed zadrzał
z trwogi.

- Gdzie jest dziewczyna? - zagadnął go Korak po
angielsku.

- Co za dziewczyna? - Zapytał Malbihn, udając zdziwienie.

- Biała dziewczyna - odparł Korak. - Nie próbuj łąć
przede mną, łotrze. Wykradłeś ją podstępem od przyjaciół.
Ukrywasz ją tutaj, gadaj gdzie ona jest?!

- To nie ja! - zawołał Malbihn. - Pewien Anglik obiecał mi
nagrodę, jeżeli ją wykradnę. Chciał ją zabrać ze sobą do
Londynu. Nazywa się Baynes. Zwróć się do niego, jeśli się
chcesz dowiedzieć czegoś o dziewczynie.

- Wracam od niego w tej chwili - powiedział Korak. -

Przysłał mnie tu, do ciebie. Przestań kłamać i wyjaw mi
całą prawdę. - Tu zbliżył się, wyciągając groźnie pięści.

Malbihn zzieleniał ze strachu.

- Powiem ci wszystko! - zawołał. - Miałem tu dziewczynę w
moim obozie, ale to Baynes namówił ją do ucieczki,

obiecując poślubić ją w Londynie. On nic nie wie o jej pochodzeniu, ja jeden wiem tylko jaką wielką nagrodę przeznaczyła rodzina za odnalezienie zaginionej. Ja żądałem tylko nagrody, ale ona mi uciekła, odpływając w czółnie na przeciwległy brzeg. Udałem się za nią, ale zjawił się szejk, nie wiadomo w jaki sposób ją porwał, a mnie zmusił do ucieczki. Płynąc z powrotem do obozu, natknąłem się na Baynes'a, który zaczął do mnie strzelać.

Jeżeli chcesz odnaleźć dziewczynę, udaj się do wioski szejka, za którego córkę ona od dzieciństwa uchodziła.

- Nie jest więc córką szejka? - zagadnął Korak.

- Nie, bynajmniej - brzmiała odpowiedź Malbihna.

- Kimże więc jest? - zapytał znowu Mordercza Ręka.

- Gdy ją znajdziesz, wyjawię ci prawdę - rzekł. - Jeśli mi zapewnisz życie i jeśli podzielisz się ze mną nagrodą.

Jeślibyś mnie zabił, nie dowiesz się niczego o jej pochodzeniu, gdyż tylko jeden szejk zna tę tajemnicę, on zaś nigdy jej nie zdradzi. Dziewczyna sama nic o sobie nie wie.

- Jeżeli powiedzialesz prawdę, daruję ci życie - rzekł Korak.

- Udam się natychmiast do wioski szejka, gdybym tam nie zastał dziewczyny, skończę z tobą natychmiast po moim powrocie. Co zaś do tej tajemnicy, jeżeli dziewczyna tego zażąda, to potrafię ją od ciebie wydobyć. - To rzekłszy

Korak wszedł do namiotu, by się przekonać, czy Malbihn nie ukrył tam Meriem.

Przez ten czas Tantor zbliżył się do Malbihna i zaczął go starannie obwąchiwać trąbą. Malbihn drżał bezsilnie z trwogi. Nagle ślepie Tantora zaiskrzyły się złowrogo. Nareszcie natrafił on na zabójcę swojej samicy, która poległa z ręki Szweda wiele lat temu. Ale słonie mają dobrą pamięć i umieją mścić się za doznaną krzywdę. Dał tego dowód, chwytając trąbą Malbihna wraz z hamakiem i zanim Korak, zwabiony rozpaczliwym krzykiem Szweda, zdolał przybiec mu na pomoc, nieszczęsny zbrodniarz leżał na ziemi martwy, Tantor zaś pomrukując z zadowoleniem, zgniół wroga na miazgę.

Korak stał, spoglądając z żalem na straszną scenę; wolałby oszczędzić życie nikczemnika ze względu na tajemnicę, którą na wieki uniósł ze sobą.

Człowiek-małpa skinął teraz na słonia, nakazując mu przykłęknąć, wskoczył mu na grzbiet i kierując się w stronę wioski szejka, zniknął wkrótce przed oczu przerażonych Murzynów Malbihna.

ROZDZIAŁ XXV

ZWYCIĘSTWO TANTORA

Szejk przyjął z pogardą więźnia, przyprowadzonego mu przez dwóch ludzi, wysłanych wraz z innymi w pogoń za

Abdul Kamakiem.

- Ktoś ty jest? - zagadnął go po francusku.

- Sir Morison Baynes z Londynu - odparł więzień.

Tytuł brzmiał szumnie i staremu rabusiowi błysnęła myśl o okupie.

- Czego się tu rozbijasz w moim kraju? - mruknął.

- Nie wiedziałem, że Afryka do ciebie należy - odparł

Morison. - Poszukiwałem tu pewnej dziewczyny, uprowadzonej podstępem z domu przyjaciół. Ten, który ją porwał, zranił mnie, gdym go ścigał po rzece; wydostałem się na brzeg, gdzie twoi ludzie mnie złapali.

- Szukasz dziewczyny? - zagadnął szejk. - Może tej właśnie? - tu wskazał na krzaki rosnące za namiotem.

Baynes, spojrzawszy w tę stronę, wykrzyknął zdumiony imię Meriem, dziewczyna bowiem tam siedziała, odwrócona do niego plecami.

Na jego głos odwróciła się, wołając:

- Morison!

- Nie ruszaj się z miejsca i siedź cicho - mruknął stary

Arab. Zwróciwszy się zaś do Morisona, rzekł:

- Więc to ty jesteś tym chrześcijańskim psem, który mi wykradł córkę?

- Córkę? - zawołał Baynes. - Ona jest zatem twoją córką?

- Tak, jest moją córką - warknął Arab - nie dostanie jej

**żaden niewierny! Zasłużyłeś na śmierć, Angliku, ale jeżeli
zdołasz się wykupić, daruję ci życie.**

Baynes był zdumiony pojawieniem się Meriem u starego

**Araba: nie mógł zrozumieć, w jaki sposób znalazła się
tutaj. Nie śmiał teraz namawiać jej do ucieczki, sądząc, że
może dobrowolnie wróciła w rodzicielskie progi. Upłynęło
parę minut, nim zdobył się na odpowiedź, oświadczając
gotowość zapłacenia sumy, wymaganej przez szejka.**

**Chytry Arab podyktował mu list do konsula w Algierze i
choć Baynes twierdził, że znacznie szybciej otrzymałby
pieniądze od rodziny, zwracając się do Londynu za
pomocą radiotelegramu, wysłanego z jednego z
nadbrzeżnych miast portowych, tamten upierał się przy
swoim. Gdy list został podpisany, kilku ludzi na skinienie
szejka związało Baynes'a, umieszczając go - pomimo oporu
- w ciemnej, brudnej lepiance, stojącej na krańcu wioski.**

**Spędził tam kilka godzin w towarzystwie szczurów,
przebiegających chatę; robactwo, wylęgłe z brudu tam
panującego, dawało mu się również we znaki.**

- Boże! - zawołał. - Czymże zasłużyłem sobie na taką karę!

**Lecz odpowiedź na to przyszła łatwo. Czy nie słusznie
cierpiał za krzywdę, którą wyrządził biednej dziewczynie?**

**Postanowił zobaczyć się z nią, by przekonać się, jak się
tutaj czuje i czy przyszła tu z własnej woli. Ogarnięty tą**

myślą nie przestawał pracować nad oswobodzeniem się z więzów, udało mu się wydobyć już jedną rękę, gdy posłyszał gwar w sąsiednim namiocie. Poznał głos Meriem. By zwrócić jej uwagę, zaczął nucić pewną melodię, którą nieraz słyszał śpiewaną przez dziewczynę w domu Bwany. W tej chwili posłyszał wołanie Meriem:

- Żegnaj, Morisonie! - krzyknęła. - Jeśli Bóg się nade mną zlituje, zabierze mnie do siebie dziś jeszcze, inaczej czeka mnie straszny los.

Teraz dały się słyszeć gniewne przekleństwa mężczyzny, zaleciało go echo wymierzonego policzka i jęk pełen bólu.

Zadrzał z oburzenia i tym gorliwiej starał się rozplatać uciskające go sznury. Wreszcie usiłowania jego odniosły żądany skutek: wysunął się cichutko w ciemności nocy z lepianki, chcąc wejść do namiotu Meriem, by pośpieszyć jej na pomoc, lecz wysoka, czarna postać zagroziła mu drogę.

* * *

Gdy chodziło o pośpiech, Korak dowierzał tylko własnym siłom; odprawiwszy tedy swego olbrzymiego wierzchowca, skoro tenże przeniósł go na przeciwległe wybrzeże, puścił się sam w kierunku wioski szejka.

Doszedłszy do drewnianego ostrokołu, ogradzającego wioskę, zarzucił na wystający pal pętlę ze sznura, który

nosił u pasa, wyciągnął się na ostrokół i lekko zeskokczył na ziemię.

Rozpoczął tedy poszukiwania: skradając się ostrożnie, niby cień pośród mroków, panujących w osadzie szejka, wyęzając wzrok, nadsluchując i węsząc na wszystkie strony.

Odbijały mu się o uszy gwary rozmów, przeplatanych śmiechem Arabów, palących fajki przed chatami.

Z przeciwległego krańca wioski doleciała go znana mu ongiś melodia narodowego hymnu angielskiego "God save the King", śpiewana męskim głosem; w chwilę później rozległ się w odpowiedzi okrzyk dziewczęcy i Mordercza Ręka jął spieszenie iść w kierunku tych dwóch głosów.

Do przegrody, w której Meriem sypiała ze starą Mabunu, wszedł szejk i rozkazał dziewczynie przyjść do swego namiotu.

Przy kominku na dywanie siedział jego przyrodni brat Ali Ben Kadin, syn czarnej niewolnicy, wstrętny, ospowaty starzec.

- Przeznaczam cię na żonę dla mego brata - rzekł szejk - niemały to zaszczyt dla ciebie!

Meriem próbowała stawić opór, Ali jednakże siłą wyprowadził ją z namiotu do swojej siedziby, sąsiadującej z lepianką, w której mieszkał uwięziony Morison.

* * *

Skoro Baynes spostrzegł na swej drodze Murzyna, ogarnęła go wściekłość i, nie namyślając się wiele, chwycił go za gardło. Czarny jednakże stawiał mu silny opór i pchnął go parę razy w plecy długim nożem, który miał u pasa. Wówczas Baynes, odjąwszy jedną rękę od gardła przeciwnika, a zaciskając tym silniej drugą, jął szukać na ziemi jakiejś broni, dla uśmiercenia czarnego. Znalazł wreszcie wielki kamień, którym bez namysłu uderzył parę razy w skroń wojownika, ten powalił się bezwładnie na ziemię. Wówczas szybko skierował się w stronę namiotu, w którym nieszczęsna Meriem szamotała się z Alim.

Uprzedził go jednakże ktoś inny. Korak, Mordercza Ręka, odziany tylko w swą lamparcią skórę, wsunął się do namiotu i, zanim Ali zdołał się spostrzec, co mu grozi, chwycił go za gardło i jednocześnie wbił mu nóż w serce.

- Korak! - zawołała Meriem, na widok wysmukłego młodzieńca, do którego tęskniła długie lata.

- Meriem! - zawołał i już chciał ją chwycić w objęcia, gdy oto na progu namiotu stanął Baynes, zakrwawiony, z rozwichrzoną czupryną.

- Morison! - zawołała znowu dziewczyna.

Przez ten czas, trzy czarne Murzynki, pilnujące Meriem, uciekły z namiotu, by zwołać na pomoc mieszkańców

wioski. Korak, spojrzawszy na dziewczynę i na Baynesa, przypomniał sobie scenę, widzianą w lesie i smutek ścisnął mu serce.

Z wioski dochodził gwar głosów - to nadbiegali Arabowie, by pomścić śmierć Alego. Korak zwrócił się do Baynes'a z rozkazującym gestem:

- Śpiesz się! - rzekł, wskazując na otwór w tylnej ścianie namiotu. - Zaprowadź ją do ostrokołu, okrążając namioty z tyłu. Oto mój sznur, za pomocą którego możecie wciągnąć się na pole i zeskoczyć poza ogrodzenie.

- A ty Koraku? - zapytała Meriem.

- Ja muszę zostać - odparł człowiek-małpa. - Mam do pomówienia z szejkiem.

Meriem próbowała opierać się jego woli, ale Mordercza Ręka, chwyciwszy oboje za ramiona, wypchnął ich poza namiot; wkrótce zniknęli w mrokach.

- Uciekajcie prędko! - rzucił im jeszcze, sam zaś powrócił do namiotu, aby zatrzymać pogoń, która zbliżała się hałaśliwie.

Człowiek-małpa walczył mężnie, w końcu jednak musiał ulec przeważającej liczbie napastników; w każdym razie przetrzymał ich trochę, dając tym sposobem młodej parze czas do ucieczki. Chwilę później został związany i zanieiony do namiotu szejka.

Starzec przez jakiś czas przypatrywał się z nienawiścią Korakowi. Starał się obmyśleć najokrutniejsze męki, na jakie - według niego - zasługiwał ten, przez którego już dwa razy utracił Meriem. Gdy tak siedział, mierząc wzrokiem Koraka, milczenie zostało nagle przerwane przez odgłos trąby słonia, rozlegający się w dżungli, poza ostrokołem. Półuśmiech rozjaśnił lica Koraka. Zwróciwszy z lekka głowę w kierunku owych dźwięków, wydał dziki, niesamowity okrzyk. Jeden z pilnujących go Murzynów, uderzył go w usta, zmuszając do milczenia, nikt jednakże z obecnych nie mógł pojąć znaczenia tego okrzyku.

W dżungli Tantor przekręcił głowę, przysłuchując się dolatującemu go wezwaniu Koraka. Podążył w stronę ostrokołu i rzuciwszy się z rozpędem naprzód - rozwalil łbem jak taranem mocne ogrodzenie, czyniąc w nim wyłom, po czym popędził spieszenie przez wioskę.

Na środkowym placu osady stał Korak, przywiązany do pala. Wokoło niego wznosiły się wiązki chrustu i drzewa; na znak, dany przez szejka, Murzyni podłożyli ogień pod stos. Naraz Tantor zbliżył się do nich. Ludzie z krzykiem i przerażeniem rozbiegli się na widok olbrzyma puszczы.

Szejk pobiegł do namiotu po broń. Tantor, nie bacząc na ogień, zawinał na trąbę Koraka wraz z palem, do którego był przywiązany i tratując szejka, próbującego zagrozić

mu drogę, uniósł swego przyjaciela w głąb dżungli.

ROZDZIAŁ XXVI

WĘDRÓWKA BWANY PO DŻUNGLI

Meriem, oszołomiona niespodziewanym pojawieniem się

Koraka, którego uważała za umarłego, pozwoliła

Baynes'owi doprowadzić się do ostrokołu.

- Śpieszmy - rzekł Baynes, chcąc ją wciągnąć na plot.

Dziewczyna ocknęła się na jego głos. Wszakże miejsce jej

tam, przy walczącym Koraku!

- Biegnij sam! - odezwała się do Baynes'a. - I sprowadź na

ratunek wielkiego Bwanę.

- Opuściłem go jedynie, by ratować ciebie - rzekł,

wskazując ręką w stronę namiotu, w którym pozostał

Korak.

- Słyszałem, żeś nazwała go Korakiem, wiem teraz, że był

on twoim prawdziwym przyjacielem, ja zaś okazałem się

twym wrogiem, namawiając cię lekkomyślnie do

opuszczenia domu opiekunów. Byłbym cię ciężko

skrzywdził, nie kochałem cię bowiem prawdziwie. Dopiero

zbrodniczy postępek Hansona otworzył mi oczy na moją

własną nikczemność. Niepokój i trwoga o ciebie nauczyły

mnie kochać cię i cenić. Zrozumiałem, że byłem dotychczas

lekkoduchem i tchórzem. Postanowiłem cię wyratować,

aby móc na kolanach błagać o przebaczenie i prosić, abyś

została moją żoną.

- W jaki sposób znalazłeś się tutaj? - zagadnęła.

Baynes w kilku słowach opowiedział jej swoje przejścia, aż do tej chwili.

- Tchórzem nie jesteś, dałeś tego najlepszy dowód, dostając się tu mimo tylu przeszkód - szepnęła dziewczyna. -

Czyniąc zaś to wyznanie, dałeś dowód odwagi moralnej, którą więcej należy cenić od fizycznej. Nie byłabym nigdy w stanie pokochać tchórza. - dodała zamyślona.

- Więc mogę mieć nadzieję, że mnie pokochasz? -

zagadnął, przyciągając ją do siebie.

Odsunęła go delikatnie, ale stanowczo.

- Nie teraz jeszcze - rzekła.

Sama nie wiedziała dobrze, co czuje: przy ukazaniu się Koraka odżyło w mej całą mocą gorące przywiązanie do towarzysza lat dziecińczych, wypierając wszelkie inne uczucia i wrażenia.

Odgłosy krzyków w osadzie ucichły nagle.

- Zabili go! -jęknęła Meriem.

- Poczekaj na mnie - rzekł Baynes. - Pójdę się przekonać, co się stało.

- Pójdziemy oboje - odezwała się stanowczo.

Skierowali się tedy z powrotem w stronę namiotu, gdzie pozostawili Koraka. Po drodze musieli się kryć w cieniu

krzewów i drzew przed uwijającymi się tłumnie tu i tam mieszkańcami wioski. Zajrzawszy do namiotu przez otwór wycięty w tylnej ścianie przez Koraka, przekonali się, że namiot był pusty. Wyjrzeni więc ostrożnie przed namiot na plac i z piersi wyrwał im się jęk grozy i oburzenia.

Korak, przywiązany do pala, stał na stosie zapalonego chrustu. Wówczas to zjawił się Tantor, porwał przyjaciela wraz z palem, do którego był przywiązany i ruszył, obarczony tym ciężarem, w stronę dżungli, siejąc wokół postrach i zniszczenie. Konie, wielbłądy i osły, stojące u żłobów, rżały niespokojnie, szarpiąc postronki, niektóre, zerwawszy się, zaczęły uciekać w różnych kierunkach.

- Ach, żeby tylko dostać konie! - zawołał Baynes. Meriem pociągnęła go na kraniec wioski.

- Złap dwa konie - rzekła. - Wiem, gdzie schowane są siodła, poczekaj tu na mnie.

Nim zdążył odpowiedzieć, znikła w głębi jednego z namiotów. Baynes odwiązał od żłobu dwa konie, Meriem zaś pokazała się wkrótce, dźwigając dwa siodła.

Osiodławszy wierzchowce, popędzili cwałem przez wioskę.

Arabowie i Murzyni, ochłonawszy z pierwszego strachu, jęli zwoływać porozpierzchane zwierzęta, jeden z nich, poznawszy uciekających, dał do nich ognia, inni poszli za jego przykładem. Meriem z towarzyszem zdołali -

wyskoczyć przez wylom, uczyniony przez Tantora, i zniknąć przed ich zdumionych oczu.

Dążyli teraz wzdłuż rzeki na północ. Meriem wiedząc, że Korak znajduje się pod opieką Tantora, postanowiła odwieźć wyczerpanego ranami Baynes'a do folwarku, sama zaś zamierzała wrócić z Bwaną do dżungli, aby odszukać Koraka.

A Korak?

Tantor uniósł go w głąb dżungli i, chwyciwszy ostrożnie trąbą, złożył go na ziemię, stojąc przy nim na straży, podczas gdy młodzieniec nadaremnie usiłował rozluźnić krępujące go więzy.

Baynes i Meriem klusowali całą noc, nazajutrz zaś o świcie spotkali jeźdźców, udających się na południe. Był to Bwana na czele swoich czarnych wojowników.

Na widok Baynes'a zmarszczył brwi, powstrzymując jednakże gniewne słowa, cisnące mu się na usta, wysłuchał opowiadania Meriem. Skoro dziewczyna skończyła, zwrócił się do niej:

- Powiadasz, żeś spotkała Koraka? - zagadnął. - Widziałaś go w istocie?

- Tak wyraźnie, jak widzę ciebie Bwano - odparła. - Chcę teraz, abyś dopomógł mi odnaleźć go w dżungli.

- Czy i pan go widział? - pytał dalej Bwana, spoglądając na

Anglika.

- Tak, panie, widziałem go z bliska - odpowiedział

młodzieniec.

- Jak on wygląda? - badał dalej. - Ile może mieć lat, mniej

więcej?

- Powiedziałbym, że to młody Anglik w moim prawie

wieku, jeżeli nie starszy - objaśnił Baynes. - Jest bardzo

muskularny i niezmiernie opalony.

- Czy pan zauważył, jakiego koloru ma włosy i oczy? -

pytanie to rzucił Bwana mocno podnieconym tonem.

- Korak ma czarne włosy i siwe oczy - wyrwało się Meriem.

Bwana zwrócił się do przewodnika karawany.

- Odwieszysz do domu pannę Meriem i pana Baynes'a -

rzekł. - Ja idę w dżungłę.

- Pozwól mi iść ze sobą Bwano! - jęła prosić Meriem. -

Wiem, że idziesz szukać Koraka, pragnę i ja ci

towarzyszyć.

Bwana ogarnął dziewczynę smutnym, ale stanowczym

wzrokiem.

- Miejsce twoje - stwierdził - jest przy tym, którego

kochasz.

Sporządzono naprędce lektykę, w której zajął miejsce

ślaniający się z wyczerpania Morison, i mała karawana

ruszyła w kierunku domu, podczas gdy Bwana, zostawszy

sam, rozebrał się i, ukrywając ubranie w dziupli rozłożystego drzewa, puścił się w drogę, skacząc z gałęzi na gałąź. Koźła skóra przykrywała mu biodra, opasany był długim sznurem, u którego zwisał długi, ostry nóż - straszliwe narzędzie śmierci. Z rozkoszą wchłaniał rozszerzonymi nozdrzami powietrze dżungli, mrużył oczy z zadowolenia. Od czasu do czasu zatrzymywał się, by rzucić w przestrzeń dziki, niesamowity okrzyk. Po jakimś czasie drugi, taki sam okrzyk doleciał do niego z wielkiej odległości. Było to wyzwanie małpiego samca. Uśmiech rozjaśnił mu twarz; puścił się teraz w kierunku, z którego doleciało go to echo.

Korak, po dłuższym postoju, przemówił do Tantora w jego gwarze nakazując mu udać się wraz z nim w kierunku północno-zachodnim, gdzie znajdowały się osady ludzkie.

Od czasu do czasu rzucał porozumiewawczy okrzyk w małpiej mowie, mając nadzieję, że zostanie usłyszany przez dawnego druha, który może zdoła rozwiązać jego więzy, tak jak to uczynił ongiś, gdy Jack został skrępowany przez Paulwiera. Akut posłyszał wołanie i jął dążyć w stronę głosu. Ktoś inny w dżungli posłyszał je również.

Skoro Bwana rozłączył się z karawaną, Meriem jechała ze spuszczoną głową, milcząca. Nagle, korzystając z chwili roztargnienia przewodnika, jadącego za nią dla większego

bezpieczeństwa, zeskoczyła z siodła i jednym susem znalazła się na drzewie; stamtąd małpimi skokami torowała sobie drogę z gałęzi na gałąź, w głąb dżungli, przejęta myślą o odnalezieniu Koraka. Przewodnik, spostrzegłszy jej nagle zniknięcie, szukał jej wszędzie, wreszcie - wysławszy na zwiady kilku ludzi - sam z resztą i gorączkującym Baynes'em pośpieszył do folwarku.

Pędziła na zachód, przypominała sobie bowiem, że w tej stronie Tantor i jego towarzysze ukrywali się najczęściej.

Posłyszawszy okrzyki w małpiej gwarze, podwoiła szybkość. Zaleciała ją teraz woń słonia, przekonała się tedy, że jest na właściwym tropie.

Jakoż niebawem ujrzała Tantora dźwigającego na łbie Koraka, przywiązanego do pala i przytrzymującego ciężar swoją wielką trąbą.

- Korak! - zawołała dziewczyna spomiędzy liści.

W tej samej chwili słoń złożył swój ciężar na trawie i stanął w postawie obronnej, lękając się napaści wrogów na swego przyjaciela.

Człowiek-małpa, poznawszy głos dziewczyny, zadrzał ze wzruszenia.

Dziewczyna zeskoczyła na ziemię, chcąc podbiec do Koraka, by uwolnić go z więzów. Tantor jednakże zwrócił ku niej łeb, trąbiąc groźną przestrogę.

- Schroń się na drzewo, ale prędko! - krzyknął Korak. - On cię gotów zamordować!

Meriem zwróciła się do słonia:

- Tantor! - zawołała. - Dobry Tantor! Czyż mnie nie pamiętasz? To ja, mała Meriem, jeździłam dawniej na twoim wielkim grzbiecie. - Słoń jednakże nie przestawał trąbić gniewnie, gdyż każda istota ludzka prócz Koraka była mu teraz wrogiem.

Korak ze swej strony próbował go uspokoić, wszystko na próżno. Meriem schroniła się na drzewo, spoglądając z rozpaczą na skrępowanego Koraka, któremu nie mogła przyjść z pomocą.

Wreszcie człowiek-małpa, aby zmylić czujność Tantora, polecił Meriem udać, że odchodzi, sam zaś poprosił towarzysza by udał się do pobliskiego źródła i naczepał mu wody w trąbę.

Słoń zgodził się i ruszył w stronę źródła; nie dowierzając jednak, że Meriem odeszła, ukrył się w zaroślach i postanowił przeczekać chwilę. Gdy ujrzal ją, gdy wychodząc z ukrycia, zbliżała się ku Korakowi z długim nożem w ręku, wyskoczył z krzaków z przeraźliwym rykiem, rzucając się na drobną postać dziewczyny.

ROZDZIAŁ XXVII

NA ŁONIE RODZINY

Korak próbował uspokoić głosem groźnego opiekuna, aby go powstrzymać od napaści na dziewczynę, ale nadaremnie: straszny zwierz zbliżał się do uciekającej przed nim Meriem, wydając groźne pomruki. Jeszcze chwila, a porwie ją na trąbę i rozszarpie w kawały! Korak pierwszy raz w życiu zaznał trwogi, próbował zamknąć oczy, myśląc, że wszystko już stracone, gdy oto z drzewa, pod które Meriem podbiegła, zeskoczył biały olbrzym, na wpół nagi, i stanął przed słoniem. Biodra miał opasane kozłą skórą, u pasa zwisał mu się długi sznur, za który zatknięty był ostry nóż. Zwróciwszy się do Tantora, wydał krótki rozkaz i wielki zwierz zatrzymał się w swej pogoni. Korak odetchnął z ulgą, przypatrując się zaś obrońcy Meriem, o mało nie krzyknął z radosnego zdumienia. Tantor, mrucząc gniewnie, stał przed nieznanym i machał niespokojnie trąbą. Wówczas biały olbrzym przemówił do niego parę słów, ślepią zwierza przestały błyszczeć złowrogo i łagodny jak baranek, szedł teraz ślad w ślad za nowym przybyszem, kierującym się do Koraka.

- Meriem! - zawołał zaraz olbrzym, jak gdyby przypominając sobie o jej obecności.

- Bwana! - zawołała uradowana dziewczyna, podbiegając do niego.

Tantor spojrział pytającym wzrokiem na Bwanę, lecz ten

uspokoił go gestem i słoń pozwolił się zbliżyć dziewczynie.

Oboje teraz podeszli do leżącego na trawie Koraka, którego oczy błyszczały zdumieniem, szczęściem i skruchą.

- Jack! - zawołał biały olbrzym, klękając przy Morderczej Ręce.

- Ojczy! - wykrztusił Korak wzruszony. - Dzięki Bogu, żeś to ty nadszedł. Nikt inny w dżungli nie byłby umiał poskromić Tantora!

Bwana rozciął szybko więzy Koraka. Gdy zaś młodzieniec, zerwawszy się na nogi, zarzucił ojcu ręce na szyję, ten zwrócił się do Meriem.

- Zdaje mi się - rzekł surowo - że ci kazałem wracać do domu.

Korak spoglądał na nich zdumiony. Czuł wielką chęć porwania dziewczyny w ramiona, powstrzymało go jednak wspomnienie wykwintnego Morisona i myśl, że on sam przecież jest na wpół dzikim człowiekiem-malpą.

Meriem spojrzała błagalnie na Bwanę.

- Wszak powiedziałaś - rzekła nieśmiało - że moje miejsce przy tym, którego kocham - tu wzrok jej, rozjaśniony blaskiem szczerego uczucia, ogarnął tkliwie Koraka, który klękawszy przed nią, ucałował z prawdziwą czcią jej małą rączkę.

Nagły pomruk Tantora zwrócił uwagę; słoń obrócił łeb w

stronę zarośli i wkrótce wszyscy ujrzeli wielką małpę, wychylającą się spośród liściastych drzew. Małpa przypatrywała im się przez chwilę, wreszcie wydała radosny okrzyk, zeskakując na ziemię, za nią zaś nadbiegły inne jej podobne, skacząc i krzycząc jak ona.

- Tarzan, Tarzan, pan dżungli!

Był to Akut i jego plemię; wielkie antropoidy płasły teraz naokoło naszej trójki, wydając dzikie wrzaski, ażeby objawić swoją radość.

Korak położył pieszczotliwie rękę na ramieniu ojca.

- Jeden jest tylko Tarzan - rzekł. - Nikt nigdy mu nie dorówna!

W dwa dni później cała trójka zeskoczyła z drzewa na skraju równiny, skąd widać było dym z kominów folwarku

Bwany. Małpi Tarzan przywdział ubranie, ukryte w dziupli, ponieważ zaś Korak nie chciał pokazywać się matce w stroju dzikiego człowieka, a Meriem znów nie chciała go zostawić samego, ażeby, jak tłumaczyła, nie uciekł czasem do dżungli - Bwana udał się sam do folwarku po konie i odzież.

"Moja Duszka" spotkała go u furtki, ogarniając go pytającym, niespokojnym wzrokiem z powodu nieobecności Meriem.

- Gdzież ona? - zapytała drżącym głosem. - Muwiri

powiedział mi, że uciekła do dżungli, mimo twego zakazu.

Ach, Janie, nie mogę znieść myśli, abym i ją miała stracić!

- Tu lady Greystoke wybuchnęła płaczem i przytuliła się do męża, który zawsze był jej ostoją, w ciężkich przejściach życiowych.

Lord Greystoke podniósł jej głowę i patrzył w jej oczy rozpromieniony.

- Co się stało, Janie? - zawołała. - Masz dobre wieści? Nie dajże mi czekać na nie.

- Chcę się upewnić, czy będziesz w stanie znieść najlepszą nowinę, jakąśmy kiedykolwiek usłyszeli - rzekł.

- Radość nigdy nie szkodzi - odparła. - Znalazłeś ją więc? - Nie chciała marzyć o innym, nieziszczalnym, jak sądziła, szczęściu.

- Tak, Janko - rzekł głosem drżącym ze wzruszenia - znalazłem ją i... jego!

- Gdzież on jest? Gdzie są oni? - zapytała.

- Na skraju dżungli. Nie chciał ci się pokazać na wpół nagi, wysłał mnie tedy do domu po ubranie dla siebie.

Klasnęła w ręce w uniesieniu i jęła biec ku domowi.

- Czekaaj! - zawołała. - Mam przechowane wszystkie jego ubranka, przyniosę ci jedno z nich.

Tarzan roześmiał się, powstrzymując żonę w zapale.

- Jedyne ubranie, w które się zmieści, to moje - rzekł. - O

ile nie będzie na niego za ciasne. - Twój mały wyrósł jak
dębczak, moja droga.

W godzinę później Korak, Mordercza Ręka, zajechał
konno przed dom rodzicielski i rzucił się do nóg matce,
której obraz nie zatarł się nigdy w jego chłopięcym sercu.

Wreszcie matka zwróciła się do Meriem, a w spojrzeniu jej
malowało się serdeczne współczucie.

- Moja mała - rzekła - wśród ogólnej radości ciężkie
zmartwienie spadło na ciebie. Pan Baynes nie przeżył
swojej ciężkiej rany.

Oczy Meriem wyrażały smutek, ale nie było tam wyrazu
rozpaczy po stracie ukochanej istoty.

- Żal mi go - odezwała się z prostotą. - Byłby mnie ciężko
skrzywdził, ale odpokutował za to w zupełności. Myślałam,
iż miałam dla niego głębsze uczucie. Z początku był to
urok nowości, następnie odczułam szacunek dla jego
moralnej odwagi, z jaką przyznał się do winy i dla
fizycznego męstwa, którym chciał wynagrodzić uczynione
zło. Nie była to jednak miłość. Zrozumiałam dopiero, co to
znaczy kochać, gdy się dowiedziałam, że Korak żyje - tu
zwróciła się z uśmiechem do młodzieńca.

Lady Greystoke spojrziała szybko w oczy synowi,
przyszłemu dziedzicowi arystokratycznego nazwiska i
fortuny Greystoke'ów. Nie przychodziła jej na myśl

różnica pochodzenia między nimi. Wedle niej Meriem była godna zostać synową, szło tylko o to, czy Jack ją kocha.

Wyraz jego oczu był dostateczną dla niej odpowiedzią, przygarnęła ich tedy w ramiona, tuląc do kochającego serca.

- Teraz - zawołała - mam prawdziwą córeczkę!

W kilka dni później, odpocząwszy nieco, wybrali się do najbliższej misji, gdzie młoda para wzięła ślub; stamtąd zaś udali się wszyscy do najbliższego portowego miasta, aby wsiąść na statek, który ich zawiózł do Anglii.

Byli w domu zaledwie od tygodnia, gdy lord Greystoke, otrzymał wieści od dawnego swego przyjaciela, admirała d'Arnota.

Przyniósł je wraz z listem polecającym generał Armand Jacot. Lord Greystoke znał go ze słyszenia, generał Jacot był bowiem z rodu książąt de Cadrenet, a tylko republikańskie przekonania zniewoliły go do rezygnacji z tytułu, używanego w tym rodzie przez przeszło czterysta lat.

- Nie masz miejsca dla książąt w Rzeczypospolitej! - zwykł był mawiać.

Lord Greystoke przyjął szpakowatego, postawnego wojaka w swojej bibliotece. Po paru minutach rozmowy poczuł do niego wiele sympatii.

- Pozwoli pan, że mu opowiem swą historię od samego

początku - ozwał się generał Jacot. - Drogi nasz admirał

powiedział mi, że nikt tak jak pan nie jest obznajmiony z

warunkami i stosunkami Środkowej Afryki. Wiele lat

temu córeczka moja została porwana, prawdopodobnie

przez Arabów, podczas gdy dowodziłem Legią

Cudzoziemską w Algierze. Uczynione były wszelkie

możliwe starania celem odnalezienia jej, lecz wszystko na

próżno. Fotografia jej ukazała się w najpoczytniejszych

pismach całego świata, dziecko jednakże zniknęło bez

śladu. Tydzień temu przyjechał do Paryża pewien Arab, o

podejrzany wyglądzie, imieniem Abdul Kamak.

Oświadczył mi, że znalazł moją córkę i że może mnie do

niej zaprowadzić. Udałem się z nim do admirała d'Arnota,

który, jak mi wiadomo, podróżował swego czasu po Afryce

Środkowej. Z opowiadania Araba admirał wywnioskował,

iż miejsce pobytu mej córki znajduje się w sąsiedztwie

pańskich posiadłości, doradził mi tedy, abym natychmiast

zwrócił się do pana osobiście o radę.

- Jaki dowód przyniósł panu Arab, co do tożsamości córki

pana? - zagadnął lord Greystoke.

- Nie miał on żadnego dowodu, dlatego to sądziłem, że

lepiej się z panem naradzić, zanim przedsięwezmę

wyprawę w tamte strony. Być może, iż odnalazłszy

przypadkiem tę fotografię, podstawił kogo innego, w

nadziei otrzymania znacznej nagrody.

- Czy pan ma tę fotografię przy sobie? - zapytał Greystoke.

General wyjął z kieszeni kopertę, zawierającą starą,

pożółkłą fotografię i podał ją lordowi Greystoke.

Przypatrując się fotografii, lord Greystoke uśmiechnął się

do siebie. Nacisnąwszy dzwonek, rozkazał ukazującemu się

służącemu, aby poprosił młodą panią Greystoke do

biblioteki.

Dwaj mężczyźni siedzieli w milczeniu. Dobre wychowanie

nie pozwalało generalowi Jacot okazać rozczarowania,

jakiego doznał, na skutek tak obojętnego traktowania

sprawy przez Greystoke'a. Chwilę później pojawiła się

Meriem.

Lord Greystoke i general Jacot powstali i podeszli ku mej.

Anglik nie wymówił ani słówka, chcąc zauważyć wrażenie,

jakiego doznał Francuz na widok synowej lorda.

General Jacot, spojrzawszy na Meriem, zwrócił się do

lorda.

- Jak dawno pan wie o tym? - zapytał z lekką wymówką w

głosie.

- Od chwili, gdy mi pan pokazał tę fotografię - odparł

Aglik.

- To ona - rzekł Jacot, hamując wzruszenie - oczywiście, że

mnie nie poznaje! Moje dziecko - przemówił do Meriem -

jestem twoim...

Ona jednak przerwała mu, rzucając mu się na szyję z

radosnym okrzykiem.

- Wiem już, wiem! Przypominam sobie wszystko!

Stary żołnierz przytulił córkę do siebie w gorącym uścisku.

Jack Clayton wraz z matką zostali wezwani do biblioteki,

radując się, że Meriem odnalazła wreszcie rodziców.

- Pomyśl tylko, nie poślubiłeś wcale arabskiej sierotki, czyż

to nie miła niespodzianka? - zagadnęła figlarnie Meriem

Jacka.

- Nic to dla mnie nie znaczy! - odparł Mordercza Ręka. -

Pozostaniesz dla mnie zawsze moim klejnotem, własną,

ukochaną Meriem, wszystko mi jedno, czy jesteś Arabką

czy też zwyczajna Tarmangani.